

ZYGMUNT SARNECKI.

ZŁOTE SERCE

POWIEŚĆ

II.

M Ł O D O Ś Ć.

WE LWOWIE.

KARŁADEM KSIĘGARNI GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA.

Z drukarni Władysława Łozińskiego.

Zarządca W. J. Weber.

1885.

CZEŚĆ DRUGA

MŁODOŚĆ

XI.

Są chwile....

Są chwile w dziejach ludzi, miast, krajów i narodów kiedy — jak w przyrodzie w skwarny dzień lipcowy — wszystko zapowiada burzę, kataklizmy i zniszczenie. Słońce — zda się — świeci pogodnie i wesoło, a jednak jakaś mgła — niby muślin olbrzymiej franki — zasłania je, spuszczać się z niebieskiego stropu nad ziemski widokrąg. Mgła ta przezroczysta, zmienia się w obłok, naprzód biały, następnie szary, wreszcie czarny, rozpościera się jak wielka ciemna opona, zakrywa tarczę słoneczną, powleka sklepienie błękitne kirem grobowym, rozdzierającym się wprawdzie niekiedy, lecz nie na to, aby przez rozdarcie wpuścić jasny promień nadziei... o! nie... Chmury otwierają się tylko dla czerwonej łuny błyskawic i ognistych zygzaków piorunu.

W chwilach takich nie się nie dzieje z inicjatywy człowieka i ludzi, chociaż ten i ów, krzyżąc głósniej od innych, ogłasza się za wodza i kierownika. Fatalność przyspiesza, wikła i rozwiązuje wypadki.

Burzę narzuca przeznaczenie, nieubłagane i konsekwentne, bo z przyczyn wyrosłych w bliższej lub dalszej przeszłości wysnuwające wyrok dla dnia dzisiejszego i dla przyszłości. Zwyklę — kiedy już burza zaskoczy — niepodobna zmienić lub cofnąć podobnego wyroku, choć to jeden to drugi, patrząc na zbliżającą się ulewę i powódź, z łożysk wyprowadzającą rzeki i rzeczutki, chciałby postawić tamę wylewowi, zatrzymać zniszczenie, wznosząc groble ochronne. Taką, zbyt późno rozpoczętą robotę, wezbrany potok zdarzeń porywa i unosi, mnożąc tylko ofiary. Przeznaczenie uszanować zwykło tylko ciche, mozolne, gruntowne, Herkulesowe, z świadomością celu oddawna podjęte prace, w których przejrzyć się może jak w zwierciadle i przyznać im skuteczną moc historycznego początkowania.

Jakkolwiek powieść nasza nie wzlataje w wysokie sfery, gdzie dziejowe chmury ścierają się z sobą, gdzie huczą grzmoty narodowych przeznaczeń, chociaż jak wazki i nikły strumień płynie po dnie niegłębokiem — w które patrzeć można spokojnie, bez zawrotu głowy i bez zbyt bolesnego ściśnienia serca — nie jest w stanie.... nie śmie jednakże, pominać chwili przed burzą i burzy samej, nie tak dawnej i niezapomnianej dotąd, te bowiem pośrednio i bezpośrednio wpłynęły na losy osób, istotę i treść jej stanowiących, druzgocąc i topiąc jednych, wyrzucając drugich na dalekie i nie-swoje brzegi. W społeczeństwie naszym nie ma prawie rozdziału między życiem publicznem i życiem domowem, jak gdzieindziej. U nas — na znacznych obszarach rodzinnego kraju — brak jawnych objawów pierwszego, koncentruje słabe jego tętna w drugim, łącząc oba tak ściśle, że najskromniejsze i najprostsze opowiadanie — jeśli ma być prawdziwem — musi, dotykając tej struny, i z tamtej chociaż cichy dźwięk wydobyć.

Tak więc ... w chwili, do której opowieść nasza dobiega, chociaż w naturze włada zima, choć wichry północne wieją, niosąc z sobą tumany śniegów — w świecie niematerialnym panują letnie upały. Atmosfera, przepełniona elektrycznością, zapowiada burzę dziejową. Duszno, ciężko.... Chmury nadciągają zewsząd czarne i groźne. Lada moment grzmot się rozlegnie i grom uderzy.

Nie bardziej wrodzonego, naturalniejszego i powszechniejszego, od miłości do ziemi rodzinnej. Najchłodniejsze, do gruntu wyziębione serca — w danej chwili — czują się opanowane tą świętą namiętnością.

Karol, chociaż samolub, a może dlatego właśnie, że samolub — po niefortunnych próbach dobicia się kariery w górze — porwany został ogólnym prądem. Popisywanie się żoną i przez nią dojście do znaczenia — na co liczył — zapatrując się na środek podobny po francusku — nie powiodło się zupełnie, jak to od razu po jej powrocie przewidział. Pretensjonalna paryska mieszcanka — *eun bourgeoisie* — wydała się w urzędowych sferach niedystygowaną, nieładną i śmieszoną. Z lekceważeniem odepchnięto oboje.

Amelia, której z początku wstydził się trochę nawet wśród równych, ale którą kochał całą zmysłową, lubieżną potęgą wskrzeszonej miłości, odzyskiwała powoli nad egoistą wpływ swój przemożny. Egzaltowana, zapalająca się łatwo, powierzchowna, płytka, przeceniająca zdolności i wymarzone przez siebie zasługi męża dla sprawy publicznej, w kole zacnych i sercem rządzących się kolegów biurowych Karola — jako Francuzka — uwieńczona świetlaną aureolą, ciesząca się mirom wielkim i uważana poniekąd za wyrocznie, bez trudu popychała go w kierunku prawie dlań obcym,

ale łechcącym jego miłość własną, popularnością, jakiej pragnął w zamian za zawody w innych ambitnych nadziejach. Karol, szarpany kłopotami i długami zaciągniętymi lekkomyślnie przed przybyciem żony z Paryża na urządzenie wspaniałego mieszkania i na kosztowne próby zbliżenia się do sfer wysokich, które go — jak to już powiedzieliśmy — odepchnęły, obchodził się z dozgonną towarzyszką swoją nieraz niegodziwie. Lekcewazył ją wobec dziecka, poniewierał, wyszydzał, bił nawet po pijanemu — bo teraz znowu częściej upijać się zaczął — ale słuchał i ulegał prawie zawsze, bo pragnął jej pieszczot rozkosznych, bo wierzył, że na nowej drodze, po której kroczył obecnie, ona jedna zdolną jest go doprowadzić do celu rojeń dumnych.

Dom Karolostwa wydawał się czasem domem waryatów, a czasem piekłem. Działy się tam niekiedy rzeczy niepojęte.

Matka — pomimo, że jej Staś dawał ciągłe dowody przywiązania bez granic — w głębi serca zachowała żal do syna, że jej odrazu nie poznał, że Bolewską „mamą“ nazywał i kochać nie przestał, wdzięczny za wszystko dobre, jakie mu staruszka wyświadczyła. Amelia, chociaż z natury szlachetna i czuła, chociaż Staś był dla niej po Karolu skarbem najdroższym, zarazem jednakże gwałtowna, namiętna i niesprawiedliwa, uważająca się w duchu za coś wyższego od całego polskiego otoczenia — nie chcąc i nie mogąc dać tego uczuć Karolowi i obcym — całą swą wewnętrzną pogardę dla zwyczajów, obyczajów i charakteru narodowego przelewała na chłopca. W gniewie i złości, do jakiej ją mąż zbyt często doprowadzał, mściła się na Stasiu za doznane przykrości. Zwała wyrostka: „małym barbarzyńcą“, „polskim pastuchem“, „wilkiem“,

„niedźwiedziem“.... „niewolnikiem“. Odrywała od ulubionych rysunków, napędzając do gimnastyki.

Mówiła zwykle:

— Albo który z was w tym zimnym, lodowatym kraju może wznieść się w boskie, ciepłe, słoneczne sfery artyzmu. Nie wołam ciągnąć wóz natchnionego Feba. Wy jesteście w stanie tylko: pić, bić i kochać... nie więcej, nie więcej.

Gimnastyka, którą i Karol gorąco polecał, rozwijała siły fizyczne Stasia, ale przy zmianie obchodzenia się i nowym systemie wychowania, umysł jego zaczął znowu ugorować. Oderwany od towarzystwa pani Irenej — do której bardzo rzadko wolno mu było zaglądać — stracił możność nabywania tanim kosztem wiadomości. Dawniej w długich rozmowach ze staruszką zapoznawał się z historią ziemi ojczystej, z literaturą polską i z geografią. Dziś mechanicznie tylko odrabiał zagadnienia matematyczne, z dnia na dzień przez ojca mu zadawane, lub dopełniał ćwiczeń łamanych na drabince sznurowej i na trapezie. Nadto, Amelia używała go do najprostszych posług domowych. Kazała mu mieszkanie zamiatać, kurze ścierać, samowar nastawiać, myć naczynia kuchenne, nosić wodę i słać łóżka. Sama, egzaltująca się za najbliższym powodem, wszelkie porywy i uniesienia „złotego serca“ wyśmiewała niemal z cynizmem brutalnym, twierdząc, że co pięknem i dobrem jest dla wybrańców takich jak Francuzi, śmiesznem się jej wydaje u młodego i nieokrzesanego Polaka. Cały ten sposób postępowania, niezupełnie ludzki i całkiem niepedagogiczny, nie zniechęcał wprawdzie Stasia do matki — której kochać nie przestawał — ale zmusił go zamknąć się znowu w sobie, sposepnieć, spochmurnieć, zdziczeć i — co gorzej — szukać rozrywki i swobody na mieście w pośród „pocziwych

koleżków*, o których tak łatwo w Warszawie. Ci ostatni nie zdołali go zepsuć zupełnie, zamęcili jednak do-
tąd czystą jak kryształ duszę.

Wpływ Karola na Stasia nie był lepszy od wpły-
wu Amelii — przeciwnie gorszy nawet, bo jeszcze
mniej konsekwentny, jeszcze bardziej nielogiczny.

Samolub ambitny, zawiedziony w swojej ambicyi,
zawsze prawie rozdrażniony i niezadowolony, kochał
syna.... ale po swojemu, więcej z dumy niż z potrzeby
serca, więcej dla siebie niż dla niego. Przedewszystkiem
Staś — ile razy go nie zahukano i nie sponiewierano
zbytecznie — był zręczny, sprytny, zwinny, żwawy,
ojciec zatem mógł przez niego załatwić nieraz niejedną
ważną sprawę, niejedno trudne polecenie. Młodzienia-
szek, dla wszystkich prawie dziecko, przemknął się w naj-
niebezpieczniejszych i najdrażliwszych okolicznościach
niespostrzeżony, niepodejrzany, wtedy kiedy czło-
wiek starszy byłby odrazu zwrócił na siebie uwagę. Za
to sam tylko Karol zbierał wawrzyny, suto wynagradza-
jąc syna, jeśli wieczorem przycisnął go do serca, pokle-
pał po ramieniu i powiedział, krzyżując na piersiach
ręce po napoleońsku :

— Z ciebie będzie kiedyś podpora mojej starości.

Staś rósł przy tych wyrazach i byłby — uszczę-
śliwiony łaską i dobrocią rodzica — chętnie życie
swe oddał za Karola, zwłaszcza, że niejasno wpraw-
dzie, ale rozumiał, że coś niezwykłego dzieje się w o-
koło, że przez wszystkich ukochany przechodzi straszne
jakieś przesilenie, że coś gotuje się — co historia
zmuszoną będzie na kartach swych zapisać.

Niezawsze jednak klepał Karol syna po ramieniu,
niezawsze zwał „podporą swojej starości“, niezawsze
do piersi przyciskał.. Niekiedy wracał późno w noc do
domu — zły, zziębnięty, pijany.

Oczekiwano na niego z niecierpliwością i obawą, bo w owych czasach — wśród kobiet i dzieci — strach i niepokój były uczuciami powszedniemi, wpływającemi z toku zdarzeń i wypadków.

Amelia — coraz namiętniejsza z wiekiem — przepadała za mężem; Staś zaś wielbił, ubóstwiał ojca — nie tak wprawdzie jak Janię — ale na równi z matką i panią Ireną. Chłopiec krytycyzmem nie grzeszył, nie robił porównań; wiedział, że rodziców kochać należy, więc kochał bez zastrzeżeń, bez rozumowania, bez walk wewnętrznych i certowań się z przepelniającem serce uczuciem. I matka i syn oka nie zmrúżyli, dopóki Karol nie zjawił się w mieszkaniu. Ten, zgryziony prawdopodobnie, jakimś ogólniejszym lub osobistym zawodem — może i nieufnością tych, którzy mieli prawo i obowiązek niezupełnie mu dowierzać — wchodząc, już kłął i piorunował. O lada co zaczynała się sprzeczka, której ofiarą padała zwykle żona pierwsza. Jak grad sypały się kułaki. Amelia z płaczem uciekała do sypialnego pokoju. Wtedy, rozbestwiony trunkiem egoista, zabierał się do syna, który w czasie bójki umiał się zawsze wkłęcić między matkę a ojca, aby część razów, dla matki przeznaczonych, przyjąć na swoją twarz i plecy.

— A to ty?! poczekaj... poczekaj — wołał Karol — zobaczymy, czyś równie dobry matematyk jak obrońca.

Chwytał go za uszy i wciągał do salonu.

— Dawaj wczorajsze zagadnienie.

— Chłopiec przynosił kajety, tabliczkę łupkową, ołówki i pióra.

— Oto jest — mówił, podając zeszyt.

— To!!... ależ to zabawka dla dzieci, arytmetyka!. . takie w pieluchach rozwiązywałem. Oho! wielka

mi sztuka, żeś zrobił dobrze... Spróbuj no się z tem poborykać panie malarzu.

I kreślił na tabliczce lub papierze zagadnienie z wyższej matematyki, o którym Staś — z natury rzeczy — nie mógł mieć wyobrażenia.

Wyrostek wiedział, co go czeka, — siedział zatem i udawał, że myśli, że głowę sobie łamie nad rozwiązaniem.

Czasem fortel się powiódł. Karol znużony szedł spać, lub biegł przeproszać żonę, aby w jej pieśczętach szukać zapomnienia trosk i kłopotów, aby w nowym upojeniu utopić przykre rozczarowanie pierwszego — ale czasem z dzikim uporem, właściwym szaleństwu, wypływającemu z nadużycia alkoholicznych trunków, stał nad chłopcem jak włodarz i wrzeszczał:

— Żwawo! prędziej ośle! prędziej próżniaku!

Widząc, że Staś kreśli cyfry i litery fantastyczne, niebędące z sobą w najmniejszym związku, bił syna bez miłosierdzia, bez litości, aż nieraz krew spływała z twarzy, a całe ciało pokrywało się ciemnymi lub tęczkowymi sińcami. Byłby go zabił niezawodnie, niczem nieopamiętany, gdyby Amelia nie ukazywała się wreszcie w bieli, w stroju nocnym i nie wyrwała Stasia z rąk zezwierzęconego okrutnika. Wtedy smutny, rzewny, żałujący swoich wybuchów, szedł prowadzony przez żonę za rękę jak dziecko rozkapryszone, mrucząc z cicha:

— Ach! żeby się to życie raz skończyło!

I dla tych ostatnich wyrazów, wypowiedzianych z nieopisanym bolem i żalem — więcej nerwowym niż istotnym — syn i żona przebaczali mu prawdopodobnie jego okrucieństwo, kochając dalej i wielbiąc jak najlepszego z ludzi.

W takim domu, jak rodzicielski, w takim piekle, jakie w nim panowało nieustannie, edukacja Stasia, wyprostowana i wprowadzona na dobrą drogę przez panią Irenę, zaczęła się znowu krzywić i paczyć, zwłaszcza, że i wpływy zewnętrzne fatalnie na nią oddziaływały.

Chłopiec prawie zawsze wychodził sam na miasto, posyłany przez ojca w sprawach ważnych, przez matkę po sprawunki, a nadto na lekcye gimnastyki i rysunków, Amelia bowiem nie mogła znieść pana Artura w mieszkaniu, dowodząc, że młody malarz nie posiada ogłady i szyku francuskich artystów. W powrocie ze swoich wycieczek, wstępował Staś do kawiarni na Sewerynowie lub Ordynackiem, gdzie nań oczekiwali towarzysze, równi wiekiem, ale starsi w zepsuciu. W popisach trapezowych był ich mistrzem; żaden z koleżków w zręczności i sile wyrównać mu nie mógł, ale w swawoli i hulance wszyscy rej nad nim wodzili, wszyscy go przewyższali, wyzywając do naśladownictwa. Zawsze dobry i rządzący się sercem, dzielił się z nimi ostatnim groszem, jak: kiedy niekiedy dostawał od ojca i matki... ba! nie dzielił nawet, oddawał wszystko, co miał przy sobie. Oni płacili mu dług wdzięczności, ucząc rozpusty, rzucając na pastwę najbezdusznieszego i najohydniejszego wyuzdania, płynącego rynsztokami Warszawy po ciemnych zaułkach i brudnych, oddalonych od środka miasta uliczkach. Chłopiec nie przestawał być czysty duchem, ale zmysłowy jak rodzic, przybliżał chętnie — a niestety zawczasie — namiętne usta do czary, napełnionej po brzeg mętami. Niewinność jego, dobroć serca, były celem żartów cynicznych w kole „pocziwych koleżków“, nigdy jednak nie ściągały szyderstwa na samem dnie kału miejskiego. Nigdy nieszczęśliwe wydziedziczone nie wyśmiewały Stasia, bo nigdzie

może cnota nie ma tak gorących czcicieli, jak wpośród potępionych, pogrążonych w błocie społeczeństwa. Wznoszą one dłonie i oczy w niebo, tonąc w brudnej otchłani, nad wejściem do której żarzą się ognistemi zgłoskami wypisane Danteskie wyrazy: *Lasciate ogni speranza voi che intrate*. W tej kloace obrzydłej — wzniesionej u nas przez obce żywioły, wytworzonej jako ujście dla zarazy, zaszczerpionej przez obce wpływy od blisko lat pięćdziesięciu — odnaleźć można często proste i szlachetne instynkta naszego ludu. Dzięki tym instynktom, niemal zawsze — w najobrzydliwszem otoczeniu — czystość duchowa chłopca budziła ogólne uwielbienie, a religijność jego, miłością Jani w Krasnosójkach natchniona, następnie podniesiona i uszlachetniona naukami zacnej Litwinki, stawała się dlań tarczą, zasłaniającą przed bezwzględną moralną zagubą. Zepsucie cofało się nieraz przed świętymi stygmatami, jakie nosiła na sobie dusza Stasia, często wodzona na pokuszenie i bałamucona, nigdy jednak nieupadająca zupełnie.

Pewnego dnia, kiedy Staś późnym wieczorem powracał do domu, po załatwieniu jakiegoś tajemniczego polecenia ojca, dwóch koleżków - urwiszów — znanych mu dobrze ze ślizgawki na Oboźnej i z „gimnastyki“ na Sewerynowie — spotkało go na ulicy.

— Jak się masz, Łamignacie! — zawołali oba razem.

Łamignatem nazywano Stasia za jego zręczność akrobatyczną.

— Jak się masz Kurta, jak się masz Małpa! — odparł chłopiec, witając „łobuzów“ przezwiskami, jakie nosili z dumą, bo nadane im były po przygodach, które uważali za zaszczytne i chwały pełne. /

Jeden, złapany na gorącym uczynku jakiejś swawoli, chcąc uniknąć grożącej mu kary, wyrwał się z rąk opiekuna czy przełożonego i pozostawił mu w dłoni tylko połę długiej odzieży. Sam umknął „z duszą i w spencerze“, jak to barwnie opowiadał, urozmaicając różnemi dodatkami pierwszą wersyę. Od tego czasu nosił miano „Kurty“ Drugi uciekł z rodzicielskiego domu i w jarmarcznym cyrku — jakiegoś kielkującego zaledwie Salomońskiego — obsyty skórą, udawał dwa tygodnie małpę ku uciechu ludowej gawiedzi. Obaj uczęszczali niby do szkół, rzeczywiście zaś wałęsali się od rana do wieczora po mieście, wyzyskując takie, jak Staś „złote serca“.

— Gdzie idziesz? — zapytali.

— Do domu.

— Bodajcie z twoim domem. A masz pieniądze?

— Cztery złote i groszy dwadzieścia.

— To chodźmy do Kintzlowej na kawę ze śmietanką. Pyszna kobieta, daje ci panie olbrzymią szklanę z kożuchem i sucharkiem za dziesięć groszy. Usługuje przytem śliczna kawiareczka, cud dziewczyna, istne cacko.

Stasiowi oczy zabłysły ogniem.

— Daleko? — spytał.

— Dwieście kroków od Chmielnej i waszego mieszkania.

— Kiedy wracam z pilnym interesem.

— Puść w trąbę interes.

— Nie mogę.

— Boisz się starego.

— Nie boję się... ale nie chcę mu zrobić przykrości i zawodu. Ręczę, że na mnie czeka.

— Zajdź na chwileczkę tylko; zafundujesz kawę, poznasz się z Zuzią i pójdiesz sobie do licha ciężkiego, kiedyś taki sumienny.

Chłopiec dał się skusić.

Weszli do niskiego, parterowego, długiego, źle olejnymi lampami oświetconego lokalu, ciągnącego się wzdłuż wąskiego chodnika. Na zewnątrz, przy szklanych, parapetowych drzwiach, opatrzonych od środka brudnymi, muślinowymi firankami, przybite były dwie czarne tablice, dwa szyldy, dwa godła zakładu. Na jednej pendzel domorosłego artysty wyobraził duży imbryk porcelanowy w niebieskie kwiaty i takąż filiżankę, napełnioną szumiącą mleczną czekoladą. Na drugiej dymił samowar mosiężny, otoczony szklankami, z zanurzonemi w wypełniającej je herbacie łyżeczkami srebrnymi. Obrazy te odmalowane były wiernie i efektownie. Pod spodem bielily się drukowane litery, głoszące w języku polskim i rosyjskim co następuje:

Tu dostać można

KAWY. CZEKOLADY. HERBATY.

i

różnych zakąsek.

Dalej w szerz tablic ciągnęła się linijka z dużą kropką w środku, po której:

P A C Z

i

rozmaite goronce

T r o n k i.

Ortografia odpowiadała warszawskiemu sposobowi wymawiania ostatnich wyrazów

Za napisem inna malatura przedstawiała dwa skrzyżowane kije bilardowe, otoczone białymi, złotymi czerwonymi i niebieskimi bilami. Jeszcze niżej, powyż-

szych emblematów kawiarnianych dopełniały obwarzanki i precelki, symetrycznie i wdzięcznie związane różowemi i złotemi wstążkami.

W pierwszym pokoju, za bufetem — zastawionym butersznytami, serdelkami, kiełbaskami parowemi, jajami ugotowanemi na twardo, szynką pokrajaną w okrągłe plasterki, /flaszkami z Miętową, Goldwaserem i Kimlem, pomarańczami, jabłkami, kawiozem w małej baryłeczce, śledziami marynowanemi, pławiącemi się w słoju w białej posoce — siedziała czerwona, opasła, jeszcze dość przystojna jejmość, w czepeczku kokieteryjnie przekrzywionym nad czołem i przyozdobionym ponsowemi sztucznemi makami. Chłopcy, wchodząc skłonili się pani Kintzlowej uprzejmie, za co ta odkiwnęła im głową z miłym na ustach uśmiechem, niewyłączającym jednakże z gestów, postawy i wyrazu twarzy pewnej godności i powagi, jaką chętnie przybierają warszawskie kawiarniane damy i właścicielki jadłodajnych zakładów, zasiadając z dumą na swoich niedziedzicznych tronach.

Knajpa — była to bowiem knajpa w najgorszem znaczeniu tego wyrazu — łączyła w sobie podwójny charakter czwartorzędnej restauracyi i pokątnej kawiarni — lupanaru. Konsensa ówczesne, szersze, swobodniejsze i mniej kosztowne niż dzisiaj, pozwalały na jednoczenie rozmaitego rodzaju przedsiębiorstw, zbliżonej do siebie natury.

W bocznym pokoju na lewo stał w pośrodku bilard ogromny, o zbrukanem suknie, przy którym kilku mężczyzn, odrażającej powierzchowności, rozgrywało polską partję.

Zrzuciwszy zwierzchnią odzież, pozostali w kolorowych kamizelkach i koszulach nieśnieżnej czystości. Na fizyonomiach ich, pospolitych, wyczytać można

było upadek moralny, służalstwo i ślady niskiej, nie-
cnej rozpusty.

— Trzy kawy ze śmietanką — krzyknął dono-
śnym głosem Kurta, do cicho przesuwającej się przez
„salę bufetową“ dziewczyny.

— Gdzie podać? — spytała Zuzia.

— Tu — wskazał Staś na pokój bilardowy i zbli-
żył się do drzwi otwartych, nad którymi zwieszał się
czerwony, kamlotowy lambrekin, szychowym objęty
galonem, pokryty dawno nieotrzeptywanym kurzem.

Dziewczyna spojrzała znacząco w oczy dwom to-
warzyszom nowego gościa i cofnęła się w tył parę kro-
ków. Chłopcy pospieszyli za nią, a kiedy już we czworo
znaleźli się w dość znacznej odległości, równie od gra-
jących, jak od gospodyni, tronującej za bufetem, Zuzia
rzekła stłumionym głosem :

— Nie, nie.. tam nie trzeba, nie można.

— Dla czego? pytał Kurta.

.. Łapacze! — szepnęła i znikła w głębi framugi,
rodzaju alkowy, za którą na jesion pomalowane, szerokie
podwoje prowadziły do kuchni.

W żargonie ludowym warszawskim „łapacz“ ozna-
cza agenta policyi tajnej.

Za chwilę potem, w drugiej bocznej izbie, znaj-
dującej się na prawo, a oddzielonej od bufetu tylko
gościnnie rozwartym łukiem arkadowym — także obra-
mowanym czerwonym lambrekinem — podała Zuzia
zamówioną kawę. W izbie nie było wcale konsument-
tów. Tak Kintzłowa jak i goście przy bilardzie łatwo
mogli widzieć, co tu się dzieje, nie słysząc jednakże zni-
żonym tonem prowadzonej rozmowy. Chłopcy zasiedli
ochoczo w około okrągłego stołu, zasłanego obrusem
bawełnianym, różowym, wyciskany w białe fanta-
styczne kwiaty.

— Czy podać ciastka? — spytała kawiarka, znająca widocznie gusta młodych kundmanów.

— Prosimy — zawołał chłopiec zwany Małpą i wskazując na Stasia, dodał: — On funduje. Przedstawiamy ci śliczna Zuziu faceta, który bardzo ładnie rysuje, i gotów kiedyś zrobić twój portret, jeśli będziesz dla niego dobrą.

— Ja panieza znam.

— Znasz mnie? spytał — Staś, z ciekawością przypatrując się dziewczynie, istotnie ładnej

Wśród twarzyczki okrągłej i świeżej jeszcze, chociaż już zbledzonej bezsennością i długiem w noc czuwaniem, pożółkłej trochę od światła lamp, które jej częściej od blasków dnia przyświecały, iskrzyły się żywe czarne oczęta, przesłaniane tylko kiedy niekiedy — jakby mgłą — jakimś zadumaniem, jakąś tęsknotą za czemś nieokreślonym, czego dusza może pragnęła, a w zakładzie pięknej p. Kintzlowej znaleźć nie mogła. Usta jak krew rumiane, otwierały się nad dwoma rzędami zębów równych, zwartych i białych — ale rozwarcie ich nie wytwarzało owych dołeczków figlarnych, takich uroczych i wesołych przy lada uśmiechu. Przeciwnie... ile razy wargi Zuzi poruszyły się wolno czy szybko, wnet dwa duże zmarszczki przecinały jej jagody, zmarszczki dziwne bo przedwczesne, bo na tak gładkich licach głęboko wryte, bo nadające tym licom wyraz smutku i zniechęcenia. Zuzia podobną była do różyczki zerwanej i włożonej w szklanę, co to chociaż ma wody podostatkiem, chociaż słońce muska przez okno jej główkę ciepłymi jasnymi promieniami, wędnie powoli, bo sztuczne życie, do życia jej nie wystarcza.

— Znam, znam z widzenia — mówiła — i mamę i ojca. Widuję często na ulicy... i przez okno mego pokoju... Taki dobry panicz, syn godnych obywateli

nie powinien zadawać się z Kurta i Małpą, i nie powinien naśladować ich złych przykładów!... To nie dla panicza towarzystwo!...

— Cóżto on jaki księżę, królewicz, czy co... a my chamy, hę?! — zapytał oburzony Kurta, ale nie otrzymał odpowiedzi, bo właśnie w tej chwili pani Kintzłowa skinęła na dziewczynę i wskazała jej wzrokiem zabierających się do wyjścia gości z bilardowego pokoju.

— Co panowie płacą?

— Trzy kieliszki śliwownicy, cztery herbaty z arakiem i dwie partye bilardu.

— Kto płaci?

— Ja — odparł jeden z łapaczów, wysoki, cienki, chudy, o twarzy dzióbatej — zgrali mnie panienko jak szewca; nie mam szczęścia do polskiej partyi.

Uśmiechnął się, zadowolony ze swego dowcipu, wyjął zatłuszczony woreczek i wysypał z niego na dłoń drobną monetę.

— Oto co się należy; to dla ciebie moja sroczko, tylko za napiwne muszę dostać buziaka.

Objął wpół, niebroniącą się dziewczynę i złożył na jej policzkach dwa głośne pocałunki.

— Za takie pyski świeże, nie żal-by było postawić butelkę szampitra... ale dziś nie mogę, dalibóg nie mogę, nie mam czasu.

Poczem zwrócił się do swoich towarzyszy, którym widocznie przewodził, i rzekł:

— Panowie psy... dalej do psiej roboty!

Włożył na głowę brudny, wysoki kapelusz; przechodząc przez tak zwaną „salę“, uchylił go przed gospodynią. Kintzłowa odpowiedziała mu miłym uśmiechem i pełnym uprzejmości ukłonem. Otworzył oszklone drzwi wchodowe i wysunął się na ulicę. Podwładni mu akolici ceremoniowali się czas jakiś, ustępując sobie

kroku przy wyjściu, ale głos przewodcy, wzywający tonem rozkazującym, wyciągnął ich przed kawiarnię.

Zuzia, pozornie obojętna i spokojna przy uścisku i pocałunkach, jakiemi ją chudy jegomość zaszczycił, skoro tylko zniknęli za drzwiami, otarła twarz fartuszkami ze wstrętem i oddała właścicielce zakładu otrzymane pieniądze. Kintzłowa, zsypując do koszyczka srebrną i miedzianą monetę, wycedziła przez zęby:

— Dobrze, że się przecie wynieśli... Skoczno Zuziu i zobacz, czy odeszli daleko.

Razem z opuszczeniem lokalu przez nieproszonych gości i grzeczny uśmiech znikł z jej twarzy czerwonej.

— Zuzia cicho otworzyła drzwi i wybiegła na ulicę. Upłynęło z ćwierć godziny, zanim wróciła.

— Poszli sobie? — spytała dama w czerwonych makach na głowie, ujrawszy dziewczynę na progu.

— Poszli — odparła blejsza niż zwykle kawiarka.

— Na złamanie karku! — rzekła sentencyonalnie gospodyni i powstawszy z miejsca, poważna jak rzymska matrona, majestatycznym krokiem udała się do kuchni dla wydania poleceń na noc, kawiarnia jej bowiem zwykle dopiero około drugiej, trzeciej po północy zaczynała się szczerlnie napełniać. Protegowana w cyrkule. mogła ją trzymać otworem aż do świtu.

Zuzia spostrzegłszy „panią“ znikającą w framudze, szybko zbliżyła się do stołu, przy którym trzej chłopcy zapijali kawę zajadając słodkie, drożdżowe rogaliki i „papatacze“. W oczach jej, migocących jak dwie gwiazdeczki, malowało się widoczne wzruszenie.

— Niech panicz śpieszy do domu, bo oni poszli aresztować ojca panicza.

— Mego ojca! — zawołał Staś, jakby rażony piorunem, zrywając się na równe nogi.

— Tak.

— Biegnę.

Rzucił na stół garść drobnych.

— Kurta! zapłać za mnie... ja lecę..

Głos jego drżał, w piersi serce kołatało i ścisnęło się okropnie. Lękał się, czy jego opóźnienie nie pogorszyło położenia.

— My z tobą — powiedział Małpa — możemy się na coś przydać w potrzebie.

Zuzia wstrzymała wszystkich.

— Czekaście! Słyszałam co mówili... Podśluchiwałam. Dom wojskiem i policją otoczony... Oni... ci co tu byli... ukryją się w podwórzu... Każdego, co zechce wejść do rodziców panicza, zatrzymają na dole, zaarrestują, aż do przybycia jakiegoś starszego... wojskowego, oficera... na nic by się zatem nie przydało dzwonić teraz do bramy... Trzeba będzie dostać się tam inaczej... ale jak?!

Zamyśliła się i zmarszczyła czoło. Dwie rysy około ust, od ciągłego drzenia warg zdawały się jeszcze bardziej zagłębiać na bladej twarzyczce.

— Z okna w moim pokoiku dostać się można na dach sąsiedniego domu, bo chociaż ulicą do mieszkania panicza będzie ze dwieście kroków, przez podwórka dużo bliżej... Ztamtąd po rynnie już łatwo... Tylko kto to potrafi?!

— Ja! — krzyknął Staś.

— On Staś, gimnastyk zawołany! — powtórzyli przytwierdzając koledzy.

— To dobrze, to dobrze... Panicz pójdzie ze mną, wy zaś ruszajcie wprost do bramy, zadzwoncie i pytajcie o Stasia — poprawiła się — o panicza. — Zaarrestują was i będą badać; to zajmie kilka minut, tymczasem Staś — poprawiła się znowu — panicz, będzie

już u siebie, uprzedzi ojca i mamę i do przyjęcia nie-
miłych gości przygotowuje....

Kurta poklepał Zuzię protekcyjonalnie po ramieniu.

— Widzę dziewczyno, żeś nie w ciemię bita, żeś
nie fryc wcale. Komenderujesz jak jaki generał.

— Proszę... zróbcie jak mówię.... i w drogę.

Kurta i Małpa wyszli z kawiarni.

— Teraz dziecko moje, muszę panią poprosić do
bufetu.

W wyrazach „dziecko moje“, które po raz pierw-
szy z ust jej wyszły, dźwięczała jakaś czułość głębo-
ka, jakaś życzliwość bez granic... a jednak nie namię-
tność, nie upojenie zmysłów.

Wybiegła do kuchni. Za chwilę wtoczyła się
z nią razem majestatyczna Kintzłowa.

— Proszę za mną — rzekła Zuzia do chłopca.

— A pieniądze? — spytała gospodyni.

— Oto są — odparła dziewczyna zebrawszy dro-
bne ze stołu i kładąc je na bufecie.

Stasiowi zdawało się, że Zuzia położyła znacznie
więcej niż to co przed chwilą posiadał, ale zastanawiać
się nie miał czasu.

Leciał, przeskakując po trzy schody na raz, za-
mknącą przed nim jak błędny ognik przewodniczką.

Na trzeciem piętrze weszli do ciemnego pokoiku.
Zuzia otworzyła okno i wyrzała na podwórze.

— Patrz panicz, jedni stoją pod bramą i stróż
z nimi; drudzy ukryli się koło stajen i wozowni...
Tam rynna, o której mówiłam.... tuż zaraz koło okna
sypialnego pokoju panicza, gdzie klęcząc przed porcela-
nową figurką Matki Boskiej z dzieciątkiem Jezus na
rękę, modlisz się co wieczór....

Westchnęła głęboko.

— To ty się na mnie patrzysz czasem? — spytał Staś ciekawie.

— Zawsze... od czasu jak raz zobaczyłam. Żeby nie wiem co pani na dole wymyślała do roboty, wpadam tu choć na chwilę, aby popatrzeć jak się panicz modli... bo i ja kiedyś się modliła.. Teraz się nie modłę..

Westchnęła znowu.

— Ale nie czas na rozmowy. Widzisz panicz ten dach tuż pod nami — wychyliła się do pasa. — Dzięki Bogu, chociaż księżyc świeci, ciemno na nim zupełnie... Nasz dom zasłania i taki czarny cień rzuca... Panicz idąc, możesz ciągle na tych w dole się oglądać; oni panicza nie zobaczą... Byle tylko dostać się do rynny, to już reszta dla kogoś, co umie gimnastykę, rzecz niezmiernie łatwa, bo przecie niewysoko... a lufcik otwarty... Widzę jak się kołysze...

— Rozumiem, rozumiem moja Zuziu... i dziękuję.

Chciał ją objąć i pocałować. Odepchnęła go obydwoma rękami.

— Nie.. nie.

Ta która przed chwilą pozwoliła się ucałować publicznie człowiekowi obcemu i wstrętnie brzydkiemu, odepchnęła teraz chłopca z jakimś oburzeniem wewnętrznym, jakby czuła się niegodną, aby takie czyste — modlące się — usta dotknęły jej twarzy.

Staś zwiesił nogi przez okno i lekko na dach zeskoczył.

Na ulicy, Kurta — który w kawiarni zdawał się i ognisty i chętny do oddania przysługi przyjacielskiej — ochłonął i ostygł nagle.

— Cóż ty myślisz iść do bramy i dzwonić? — spytał towarzysza.

— A jakże, przecież to nasz obowiązek... Przyrzekliśmy; nie ma rady... musimy.

— Głupiś!... Kto będzie wiedział potem, co się tam stanie, czy byliśmy, czy nie... A może się stać coś strasznego.

Na Józefku *vel* Małpie, skóra pocierpła.

— Jakto!... żartujesz?..

— Także sobie dobry jesteś!... Nie pora na żarty.... Za bramą gotowi mnie obić i wsadzić do kozy.... Niecierpię basów, nienawidzę kozy... A mnie to po co?

— Ależ przyjaźń... koleżeństwo....

— Ba! fraszki!

Po chwili tłómaczył:

— Zresztą Łamignat, ani mój przyjaciel, ani kolega. Nic dla mnie ważnego nie zrobił... nigdy się nie poświęcił. Pożyczył mi wprawdzie parę złotych... no! to mu ich nie oddam... — Rozśmiał się głośno z swojego konceptu. — Do szkół nie chodziliśmy razem, a że razem rysujemy u pana Artura i razem bywamy na gimnastyce, to zbieg okoliczności... Powiesz, że funduje mi czasem, to jeszcze nie racya, abym za niego łba nadstawiał. Łeb wart więcej od kawy ze śmietanką.... Idziesz?

— Idę.

— To bądź zdrów.

— Ależ tak się nie godzi.... co sobie Zuzia pomysli?

— Pal licho Zuzię. Może ci się zdaje, że dbam o nią?... Grubo się mylisz, nie dbam wcale. Niech sobie sama broni swego panicza, kiedy go traktuje jak jakiego księcia, a nas jak charłaków.

— Więc nie chcesz mi towarzyszyć?

— Wszędzie, byle nie tam. Radzę ci, miej rozum, zrób jak ja.... Zawróćmy w przeciwną stronę.

Kuszony wahał się. Nie był tchórzem, lubił Stasia, koleżeństwo cenił, zresztą czuł się owiany atmo-

sferą, jaka wówczas panowała, wszechwładnie w sercach i umysłach wszystkich... ale rady Kurty posiadały praktyczność, która chłodnemu jego mózgowi narzucała się swoją logiką. Po krótkiej walce wewnętrznej, między tem, co uważał za obowiązek święty, a tem, do czego go namawiał „pocziwy koleżka“, wybrał jednakże pierwsze.

— Rób co chcesz... ja idę.

— Szczęśliwej drogi.

Kurta znikł na zakręcie ulicy.

Nie bez obawy i wzruszenia zadzwonił Józef do bramy.

Chwilę panowała cisza; potem dał się słyszeć szept i ciężkie stąpanie. Klucz w zamku zazgrzytał i furtka w szerokich wrotach uchyliła się cokolwiek. Z po za niej ktoś ukryty zapytał:

— Kto tam?

— Swój.

— Do kogo?

— Do pana Stanisława Mowelskiego.

— Na trzeciem piętrze, drzwi w środku.

— Wiem — odpowiedział chłopiec i wszedł, z pozoru przynajmniej dość spokojnie i odważnie.

Silna jakaś ręka zatrzasnęła za nim drzwiczki. Na podsieniu otoczyli go żołnierze i żandarmi.

— Kim jest Stanisław Mowelski? — spytał wojskowy wyższego stopnia, tego samego chudego, ospą oszpeconego mężczyzny, którego niedawno widzieliśmy w kawiarni.

— Syn, proszę pana pułkownika, ale nie ma go w mieszkaniu, jeszcze nie wrócił.

Oficer przemówił do przybyłego.

— To pan tu poczeka — i po krótkim namyśle dodał: — Po co pan do niego o tak spóźnionej porze?

— Staś jest moim kolegą. Przygotowujemy się razem do egzaminu; przyszedłem odrobić z nim matematyczne zadanie...

Kłamał... Wyrazy z trudnością wychodziły mu ze ściśniętego gardła, głos drżał jak w febrze, zęby szczykały, pomimo że je ścisnął z całej mocy.

— Pan widzę się lęka... Nie ma czego się obawiać; panu nie stanie się nic złego, tylko ponieważ mamy interes na górę do ojca pańskiego kolegi, więc pan tu pozostanie pod strażą, dopóki nie powrócimy.

Głos przemawiającego był stanowczy i zimny, ale łagodny.

— Mitrofan! Timofiej! Uważajcie na tego młodego człowieka, proszę jednak obchodzić się z nim z grzecznością, nie czynić najmniejszej przykrości, to nie przestępca... zabłąkał się tu przypadkiem w niewłaściwej porze i koniec. Rozumiecie.

— Rozumiemy, wielmożny panie — odpowiedzieli równocześnie dwaj żołnierze.

— Gdyby chciał uciekać... nie puścić ale zachować się grzecznie.

— Słuchamy wielmożnego pana.

— My zaś teraz, skinął na dwóch żandarmów i na agenta policji tajnej, o dzióbatej twarzy — chodźmy na górę.

Kroki wstępujących na schody głucho się rozlegały wśród pogrążonego w śnie i ciszy domu. Spokój zdawał się niczem nie zamacony... ale tak się tylko może zdawało, bo prawdopodobnie niejedno ucho słyszało co się dzieje, niejedno serce biło spieszniej niż zwykle, niejedna myśl z bolesnym móżdżkiem rozwiązywała pytanie: „tu — czy nie tu?“

Przy drzwiach na trzecim piętrze oficer zadzwonił. Po uciszeniu się dzwonka kilka minut panowało milczenie.

— Nie spodziewają się nas — szepnął agent i zatarł ręce.

Wojskowy przeszył go pogardliwym wzrokiem i targnął powtórnie za dzwonek. Słyszeć było, że ktoś się do drzwi zbliżył.

— Kto tam? — zapytano z wewnątrz.

— W imieniu panującego i prawa. proszę otworzyć.

Szczęknęła zasówka zatrasku i klucz obrócił się w zamku. Drzwi się rozwarły, przy nich stał Staś ze świecą w ręku, blady, ponury, z błyskawicą w oku.

— A ten tu jakim wszedł sposobem — mruknął łapacz i nachylając się do ucha oficera rzekł: — Proszę pana pułkownika, stróż mnie zapewniał, że go nie było w domu, że wyszedł przed wieczorem i nie wrócił do-
tąd.. Ja sam, o ile mi się zdaje, widziałem go przed godziną w kawiarni...

— Mniejsza o to — zwrócił się do chłopca i spytał: — Gdzie pan Karol Mowelski?

— Mój ojciec w swoim gabinecie... tam... tam...
ale z nim mama... nie ubrana.

— Poproś pan matki, aby raczyła się ubrać.

Staś wyszedł.

— Wy — rzekł pułkownik do żandarmów i agenta — zaczniście rewizję od salonu, który musi być tu gdzieś blisko...

— Znam rozkład mieszkania — powiedział wysoki, chudy mężczyzna i ruszył na lewo wraz z żandarmami, którzy zapalili latarnie.

Oficer stał w przedpokoju czas jakiś, pogrążony w dumaniach.

Staś wrócił.

Rodzice mogą pana przyjąć — i otworzył drzwi do ojca pokoju.

W środku gabinetu stał Karol, pozornie spokojny, milczący, z okiem błędnem, szklannem. Prawą ręką objął Amelię i przyciskał ją do piersi, lewą skinął na Stasia, aby się zbliżył, a kiedy syn jednym skokiem doń przypadł, objął go za szyję i ustami dotknął jego czoła. W takiej chwili i chłodny egoista, czuł że ma serce i że to serce druzgocze się w łonie.

— Co skłania pana do wizyty o nocnej godzinie? — zawołała Amelia po francusku.

— Rozkaz.

— Rozkaz? — powtórzyła, nierozumiejąc znaczenia krótkiej odpowiedzi, jakkolwiek wojskowy wyraził ją w jej rodzinnym języku.

— Tak pani.... rozkaz. Z polecenia wyższej władzy, mam być obecny odbywającej się tu rewizyi i aresztować jej męża.

— Bez wyroku.... nie mówiąc co mój Karol zawinił?

— Bez wyroku.... Nie nie wiem; jestem tylko wykonawcą....

— I pan podjąłeś się wykonania takiego rozkazu?

— Muszę słuchać!

— Och! to okropne!

Nieszczęśliwa kobieta, złamana boleścią, zanadto silnie przejęta grozą sytuacji, zapomniała o frazesach, o patosie, wysunęła się mimowcili z objęcia męża i padła na krzesło, zanosząc się od płaczu. Staś łez nie ronił, nie szlochał, nie jęczał, ale coś strasznego działo się w jego sercu, coś, co opisać trudno. Sciskał dłoń ojca i wzrokiem zdawał się zapytywać, co czynić należy.... Jeden błysk zachęty w oczach Karola, a rzuciłby się naprzód... ale spojrzenie tego ostatniego nic nie

mówiło. Kiedy niekiedy tylko usta jego drgały, jakby wyrazy cisnęły się na wargi, lecz wola je zatrzymywała.

— Ciężki obowiązek — szepnął pułkownik, patrząc na tragiczną grupę — ale to mój obowiązek... Państwo mi przebać... inny z mniejszą może względnością byłby się z niego wywiązał.

Wtem weszli do pokoju żandarmi i agent.

— Wszystko przeszukane... Nic, nic nie znaleźliśmy, bo przed chwilą spalono w piecu stos papierów. Przerzuciłem popiół... ale gdzie zaś... ani jednej literki. Spodziewano się nas i uprzątnięto dowody oskarżające. Na rysunkach leżących na stole pod oknem w sąsiednim pokoju znalazłem ślady nóg i lufcik otwarty. To ten panicz — wskazał na Stasia — wszedł widocznie przez okno jak kot i ojca uprzedził. Przepraszam, że ośmielam się doradzać, ale zdaje mi się, że wypadłoby koniecznie i jego zaaresztować.

— Nie mam na to rozkazu — odparł sucho oficer — a zwykłem to tylko robić, co mi każą.

Agent policji tajnej przygryzł wargi i spytał:

— Czy i tu rewidować?

— Zrewidować.

Poszukiwania nie doprowadziły do niczego, okazały tylko, że w obszernym lokalu, umeblowanym zbytkownie, nigdzie, w szafach, komodach, biórkach, stolikach i ich skrytkach nie było, nietylko papierów kompromitujących ale nawet i pieniędzy. Z jednej szufladki wyrzucono kilka dziesięciogroszówek i trochę miedziaków... To był cały majątek nieszczęśliwych.

Amelia rzuciła się na szyję mężowi i łkając ścisnęła go nerwowo.

— Co ja bez ciebie pocznę... co ja pocznę biedna kobieta!

— Mąż pani przekona władzę o swej niewinności i prawdopodobnie powróci — pocieszał wojskowy.

Amelia szlochała, Karol blady i zmieniony milczał, Staś — pomimo wrodzonej dobroci serca — zaciskał pięście, rzucając w około ogniste spojrzenia.

Oficer, sam znużony okropną sceną, wyjął zegarek.

— Czas uchodzi.... Daruj pani, ale muszę wyrwać męża z jej objęć.... Jestem niewolnikiem rozkazu.

Po tych wyrazach, ostatnie pożegnania Amelii i Stasia z ciągle niemym, zdrętwiałym Karolem stały się jeszcze bardziej rozdzierające. Karol, dotąd gładki, nigdy może — w wysokim i szlachetnym stopniu — niepodzielający bezinteresownej miłości żony i syna, uczuł, że przedłuża ich i swoją torturę, wyrwał się zatem gwałtownym ruchem gorąco kochającym go istotom i, stając obok pułkownika, rzekł drżącym od wzruszenia głosem :

— Panie pułkowniku, chodźmy już.... chodźmy ! Agent i żandarmi ujeli go pod ręce i wyprowadzili na schody.

Amelia załamała dłonie. Chciała się ruszyć biedna za mężem.... i nie mogła; centnarowe ciężary w stopach zdawały się ją przykuwać do podłogi. Oficer zbliżył się do niej i szepnął po cichu :

— Pani jesteś bez środków, bez pieniędzy.... wiem, że pierwsze chwile w takich razach są ciężkie.... Pozwól mi przyjść sobie z pomocą.... pożyczyc.... — i sięgnął ręką w zanadrze po pugilares.

Amelia spojrzała na niego straszonym, piorunującym wzrokiem. Krew uderzyła jej do głowy; łzy, nagle wstrzymane, wyschły w jednej chwili na jej licach; energicznym ruchem wskazała mu drzwi, wołając :

— Wychodź pan... precz!... Chyba nie wiesz, że jestem Francuzką! Obelgę dodajesz do strasznego ciosu... Ależ to nieczemność godna takiego jak pan kata!

Pułkownik zmięszany cofnął się, kłaniając. Wyskoczył z przedpokoju na schody, gdzie Staś zwieszał się przez poręcz, zatrzymując ojca, uprowadzanego przez żandarmów.

— Wracaj pan do matki — rzekł z twarzą, rumieńcem wstydu oblaną — ona pana teraz więcej potrzebuje...

Zszedłszy na dół, uwolnił Józefka i wyszedł z więzieniem na ulicę, otoczony żołnierzami, żandarmami i agentami policji tajnej.

Kiedy odgłos ich kroków ucichł, dom pozornie spokojny napełnił się życiem. Mieszkańcy jego spieszyli na trzecie piętro nieść pomoc i słowa pociechy.

XII.

Sam jeden.

W kilka miesięcy potem co powyżej, wywieziono Karola na Wschód... daleko.

Biedna Amelia legła na łożu boleści, otaczana codziennie czułemi staraniami syna... niekiedy i innych dobrych osób... pomiędzy którymi, Bolewska — pomimo podeszłego wieku — siadywała najczęściej u wężłowa chorej, dzieląc się z nią skromnem swoim mie-niem jak siostra lub matka i wyręczając Stasia, potrzebującego choć chwilowego wypoczynku.

Stan zdrowia Amelii był bez nadziei. Wiedzieli o tem wszyscy, prócz Stanisława.

Od rana do wieczora pozostawał na jej zawołanie, zamknięty z nią razem w ciasnym, ubogim, dusznym pokoiku, do którego trzeba było się przenieść po opuszczeniu wspaniałego mieszkania i sprzedaży zbytkownych mebli.

Gościnności, ofiarowanej przez panią Irenę życzliwie, Amelia przyjąć nie chciała, czuła się bowiem tak obcą w świecie polskim, tak do niego zniechęconą, tak mu nawet wrogą, że wszelkie zetknięcie się z „cudzoziemcami“ było jej uciążliwem. Odwołała się kiedyś

o pomoc do teścia, pana Filipa Mowelskiego, ale ten na list adresowany do niego, do Krakowa, nie odpowiedział ani słówkiem. To, — słusznie poniekąd — zwiększyło gorycz w jej zbolałym sercu. Leżąc w łóżku — dopóki mogła — pisywała do pani Lepelletier do Paryża, w korespondencyi tej znajdując jedyną osłodę. W pismach swoich wylewała cały nadmiar smutku, żalu, niezadowolenia, gniewu i wzgardy dla społeczeństwa, które tak jej, jak i Karola ocenić nie umiało, które zajęte gojeniem tysiącznych ran świeżo poniesionych, nie spieszyło do jej stóp z oznakami wdzięczności i hołdów, jakich się spodziewała. Zapewniała — a raczej nie wiedziała pewno — że rodacy jej, w stokroć szczęśliwszem od nas znajdujący się położeniu, wiele, bardzo wiele winni byli temuż społeczeństwu, a niedość sumienni dłużnicy, z wierzytelności nie uścili się zupełnie; — nikt jednak im tego nie wyrzuca i nikt bezwzględnie nie ściga potępieniem.

Egoizm narodów, jak egoizm pojedynczych indywidualów, karzą prędzej czy później wypadki.. nawet w epokach, kiedy zasada: „dobrze zrozumiana miłość zaczynać się powinna od siebie“ — uważaną jest za jedyną rozumną, jedyną budzącą i utrzymującą życie.

Z nienawiści Amelii do wszystkiego co polskie, nie był i Staś po części wyłączony.

Chwilami, nieszczęśliwa męczennica, rozpaczona matka, czuła się istotnie matką i tuliła syna do łona, okrywając gorącemi pocałunkami twarz jego wybladłą i zmęczoną ciągłym czuwaniem; ale zwykle trwało to bardzo krótko. Rozdrażniona dolegliwościami fizycznymi prześladowała go szyderczemi nazwami. Niekiedy odpychała Stasia ze wstrętem, wyrzucając mu jego narodowość i pochodzenie, jego brak dowcipu, jego dobroć dla wszystkich, a obojętność dla babki — której

Stan nie pamiętał wcale — oraz nieczułość dla niej samoj, pomimo, że chłopiec dnie i noce spędzał u jej boku, czyniąc wszystko, co było w jego mocy, aby ją rozerwać pocieszyć, zabawić, uleczyć.

O uleczeniu jednak, mowy być nie mogło.

Otyłe, ciężkie, silnie rozwinięte ciało, nadwątlone moralnymi przeciwnościami i udręczeniami, stawało się coraz bezwładniejszym, a duch słaby i pospolity nie był w stanie pokrzepić go i podtrzymać. Puchlina skrępowała nogi i powoli posuwała się ku sercu.

Od Karola listy nie przychodziły. Nieszczęśliwa kobieta martwiła się tem coraz bardziej, przyczynę milczenia przypisując zapomnieniu i obojętności.

Kto wie?... może się nie myliła w tym względzie. Mąż jej należał do kategorii natur wyjątkowo samolubnych, które pod naciskiem i brzemieniem niepowodzeń psują się i chłodną, w których egoizm wrodzony, potęguje się wraz z wzmaganiem się niedoli. Oddalony od swoich, od ich pieczęci i poświęceń, rzucony w obce otoczenie, wyzuwał się z przywiązania rodzinnego, wynaradawiał — uczuciami przynajmniej i kierunkiem przekonań — nie goniąc myślą nawet za opuszczeniem. Zdawało mu się, że smutne położenie, w jakim się znajduje, dostatecznie go tłómaczy i usprawiedliwia przed ludźmi, z sumieniem zaś własnem tak łatwo wchodził w układy, tak mało potrzebował sobie zadawać trudu, aby pozostać z niem w zgodzie, że nie czynił żadnych usiłowań, aby wyrwać się z zinnego odrętwienia, w jakie popadł na dalekiej obczyźnie.

— Cała sztuka życia, dopóki tleje choć iskra nadziei — myślał — polega na zasypaniu oczu bliźnich złotym piaskiem... Straciłem już wszelkie nadzieje, które wiązały mnie z ojczyzną i moimi, po co mam

się fatygować... a że wegetuję to nie przecie ciekawego, abym miał o tem donosić.

I wegetował istotnie, jak zwierzokrzew lub roślina... wegetował, człowiek niegdyś zdolny, wykształcony, bystry, rzutny, który w innych, normalniejszych okolicznościach i w innym kraju, nie byłby niezawodnie ani prorokiem ani zbawcą ludzkości, ale mógłby stać się użytecznym i oddawać usługi ziemi rodzinnej i społeczeństwu.

Brak listów od Karola, jego przedłużające się milczenie było dla Amelii najsroższym ciosem. Wśród całego znienawidzonego narodu, jedyny człowiek, który jej istotną wyrządził krzywdę, który ją zawiódł, bo pojąwszy za żonę, nie podniósł duchem do moralnego stanowiska żony, ten jeden właśnie jaśniał dotąd w jej oczach wszystkimi blaskami ideału. Kochała go, tęskniła doń, on jeden uosabiał jej szczęście na ziemi. Niechby wrócił i bił codziennie, niechby zabił nawet, aby tylko wrócił, aby go mogła choć na chwilę do łona przytulić i rozpalone gorączką usta do jego ust przycisnąć. Och! gdyby nie ta choroba, przykuwająca ją do łóżka boleści jużby dawno pojechała na kraj świata, wyszukałaby go, odnalazła i stała się znowu jego niewolnicą i panią; wierzyła bowiem — pewną była, że gdyby ją miał przy sobie, wnet by do niej należał.

Tymczasem stan jej zdrowia pogarszał się z dniem każdym. Już i Staś widzieć zaczynał, że drogie dlań życie ucieka. Smutny, przygnębiony, nadludzkie siły zdawał się czerpać w sercu, aby podołać trudnemu zadaniu czuwania nad chorą — nad tak strasznie chorą — moralnie i fizycznie zarazem. Jak młoda matka dba o niemowlę ukochane, tak on dbał o swoją matkę. Do przesłania łóżka i zmienienia bielizny brał ciężką i

otyłą kobietę delikatnie na ręce i przenosił na szezłąg, na którym naprzód urządzał wygodne poślanie. Sam przygotowywał dla niej kąpiele, sam ją do wanny wkładał i z wanny wyjmował, sam podawał lekarstwa, gotów zawsze za lada skinieniem zerwać się z fotelu, w którym na chwilę spoczął, aby w oczach wyczytać, z wyrazu twarzy się domyślić, czego nieszczęśliwa potrzebuje. Pani Irena, nieraz i chętnie, spieszyła mu z pomocą, ale staruszka męczyła się zbyt szybko, a przytem Amelia niezyczliwym spoglądała na nią wzrokiem. Cierpiąca, wyobrażała sobie, że Bolewska odebrała jej przywiązanie syna, niedomyślając się nawet, że nie syn jej, ale ona syna nie kochała jak należy, bo wszystkie uczucia jej duszy pochłonęła samolubna, namiętna miłość do Karola.

Kiedyś pani Irena przyprowadziła z sobą siostrę miłosierdzia i zostawiła ją w pokoju chorej, zabawiwszy sama chwilkę tylko, aby nie drażnić Amelii.

Zakonnica należała niegdyś do świata; znała jego ułudy i rozczarowania, nadto mówiła po francusku niby rodowita Francuzka, przyjętą zatem została jako przedstawicielka ojczyzny dalekiej, a kochanej — może niemądrze, ale szczerze. Słowa jej serdeczne, ciepłe, pełne wyrozumiałości, nader korzystnie oddziaływały na egzaltowaną. Chociaż dogorywała powoli, temperament namiętny potrzebował, aby jego uniesienia i porywy przedzgonne skierowane zostały ku innemu wyższemu celowi, ku czemuś, co uskrzydlać duszę, odrywa ją od ziemi bez bólu, bez jątżenia ran krwawych. Szarytka spełniła tę misję po mistrzowsku.

Rozgorączkowana, majacząca Amelia uspokajała się pod wpływem łagodnych i godzących ją z niebem wyrazów. Zdawało się, że wyrazy te niesprzeciwiające się wprost rozkiełznanej wyobraźni, niestawiające jej

oporu i tamy, lecz zwracające imaginację w sfery czystsze, doskonalsze i szlachetniejsze, jak rosa błogosławiona spadały na dyszącą żarem pustynię namiętne-
go serca. Dla ciała nie było już ratunku; leczone jako ciało tylko — więc leczone źle — skazane było na śmierć nieuchronną, ale dusza, dotąd wzburzona, w ukojeniu niespodzianem odzyskiwała swą pierwotną prostotę i czystość, godziła się z przeznaczeniem i wyjednywała przebaczenie, sama wszystko i wszystkim przebacząc po chrześcijańsku. Amelia zrozumiała, że rozkosz poświęcenia, chociaż gorzka, chociaż zaprawiona octem i piołunem, darzy upojeniem szlachetniejszym i trwalszym od wszystkich samolubnych namiętności. Przywoływała syna do siebie, pieszczotami bez końca wynagradzając za doznane od niej przykrości i upokorzenia. Błogosławiła go, pocieszała, kiedy w łzach tonął, wskazywała drogi proste — a tak zgodne z pragnieniami jego serca — drogi, o istnieniu których dowiedziała się zapóźno, aby niemi sama kroczyć mogła.

Tak upłynęło dni kilka.

Choroba wzmagała się, a przesilenie, oczekiwane przez lekarzy, zdawało się już bardzo bliskiem.

Pewnego poranku siostra miłosierdzia, widząc Amelię drzemiącą w osłabieniu śmiertelnem, rzekła do Stasia:

— Niech pan pójdzie po księdza... Ostatnia chwila się zbliża.

Młodzieniec jęknął.

— O! nie mów tego pani... to okropne!... Mylisz się pewno?!

— Niestety! nie mylę się, nie. Wszakże rzemiosłem mojem jest czuwać nad choremi bez nadziei... Spiesz się, spiesz.

Staś poraz pierwszy od bardzo dawna wybiegł na ulicę.

W głowie mu się kręciło, w uszach szumiało, tęczowe barwy migotały przed jego zapłakanymi oczami, nie wiedział gdzie iść, w którą stronę się udać, do którego kościoła skierować kroki. Szedł na oślep. Twarz jego wyrażać musiała pomieszanie zmysłów i boleść okropną, bo mijająca go na chodniku Zuzia, przerażona widokiem tej twarzy, zatrzymała go nagle.

— Paniczu.... co panu ?

Staś spojrzał na nią wzrokiem błędnym i odparł:

— Matka mi kona.... szukam księdza.

— Wróć panicz do domu... ja polecę.

Staś nie rzekł i słowa, nie podziękował nawet, tylko zawrócił się jak automat i po chwili wbiegł zdyszany do mieszkania. Niemał upadł przy łóżku umierającej, szepejąc po cichu do zakonnicy siedzącej obok na kresle :

— Nie znalazłem ... nie mogłem znaleźć... ale ktoś po niego poszedł.... Przyjdzie.

Wierzył, że Zuzia dotrzyma przyrzeczenia, chociaż od owej nocy w której uwięziono mu ojca nie widział jej wcale. Wierzył, bo ta wiara narzucała się jego umysłowi wszecńwładnie, chociaż nie płynęła z zastanowienia się i rozumowania. Nie był w stanie zastanawiać się, rozumować.

Istotnie kapłan przybył po chwili.

Siostra miłosierdzia i Staś ustąpili mu miejsca, udając się do ciasnej kuchenki, służącej za przedpokój i gdzie w kącie, z twarzą zasłoniętą rękami, stała Zuzia pokorna i cicha.

Zakonnica zbliżyła się do niej.

— Czego chcesz moje dziecko ? spytała tonem łagodnym.

— Przyprowadziłam księdza... Czekam, bo może będę na co potrzebna... Czy mogę zostać?

— Zostań — krótko odparła szarytka.

Staś nic nie słyszał, co się w około niego działo. Duchem utonął w przyległym pokoju. Minuty wlekły się dlań czarne, nużące, długie — jak lata.

Nagle drzwi się rozwarły, a w nich stanął sędziwy duchowny, z włosiem siwym, niby aureolą wieńczącym mu jasne czoło, ten sam, który prowadził kondukt żałobny na pogrzebie ojca Jani.

— Pogodzona z Bogiem, skończyła swój żywot doczesny — rzekł cicho.

Krzyk okropny wyrwał się z piersi młodzieńca, wybiegł z kuchenki, rzucił się na łożo śmierci i zaczął ciało matki okrywać pocałunkami. Potem, wyczerpany widocznie długiem znuzeniem i męczarnią serdeczną — jakby nagle siły utracił — zsunął się na ziemię w postawie klęczącej, wołając :

— Matko moja ! jestem sam jeden .. sam jeden na świecie !

Głowę zwiesił na piersi, zdawało się że zasnął czy pogrążył w bolesnem dumaniu, które bywa snem na jawie srodze cierpiących.

W tej chwili przez okno, uwolnione od firanek i rozwarte, wbiegło wesołe słońce i oświeciło całą pełnią blasków pokój mały.

Zakonnica poważna, spokojna, z wyrazem nieskończonej łagodności na licach poprawiała zmarłej głowę na poduszkach. Przy drzwiach klęczała Zuzia i modliła się gorąco z wzniesionemi w górę oczami, jakby śmierć osoby jej obcej i nieznannej otworzyła niespodzianie upusty pobożności, zamkniętej w jej duszy oddawna. Teraz fale tej pobożności — przerwawszy powstrzymujące je tamy — rozlewały się wezbranym potokiem.

Staś, siostra miłosierdzia, nieboszczka i wydziedziczona, łączyli się w jeden obraz, żywymi promieniami słońca radośnie obłany; obraz z różnych żywiołów ułożony, a jednak.. taki jednolity. U progu wieczności, w dziedzinie zgonu i smutku, żalu i rozpacz, promienie niebieskie i modlitwa świadczyły o wieczności nadziei i wiary.

XIII.

Wśród ludzi.

Po śmierci matki, Stanisław, pogrążony w smutku, zamykał się czas pewien, stroniąc nawet od Bolewskiej, do której był szczerze przywiązany; lecz młodość i serce, dopraszające się obcowania z ludźmi, a przytem potrzeba zajęcia i pracy — kojącej najsroźsze cierpienia.... w świat go wyciągnęły.

Towarzystwo pani Ireny i szkoła rysunkowa — do której się zapisał — byłyby mu może wystarczyły, ale poczciwa Litwinka, wkrótce po pogrzebie Amelii opuściła Warszawę i udała się do Krakowa, opatrzwszy naprzód sierotę w szczupły zapas pieniężny na kilka miesięcy i w dobre rady na życie całe. Nadto przyrzekła z nim korespondować i donosić o Jani, za którą Staś tęsknił ciągle, chociaż pisać do niej nie śmiał.

Rozstając się z wychowankiem, mówiła Bolewska:

— Przykro mi bardzo opuszczać cię mój Stasiu i pozostawiać samego, właśnie w chwili ciężkiego twego zmartwienia i smutku, ale widzisz drogie dziecko, jestem już stara; ani moralnie ani materyalnie nie nawieleci się przydam, a tu mi duszno, ciężko, oddech nie mogę. Chciałabym zaznać trochę wypoczynku przed

zgonem, a kto wie, może z daleka będę mogła być dla ciebie użyteczniejszą niż z bliska.

Istotnie, zacna staruszka, wybierając się w drogę myślała wprawdzie o kościele Panny Maryi i okatedrze na Wawelu — gdzie wśród wspomnień tak błogo się modlić — o mogile Kościuszki — gdzie pierś swobodniej napełnia się powietrzem z gór płynącym — ale przede wszystkim, postanowiła zapukać do spiżowego serca pana Filipa Mowelskiego, dziada Stasia, a także i do serduszka Jani, aby zobaczyć co się w niem dzieje, czy się nie zmieniło przypadkiem, czy zawsze to same: czyste, dobre i kochające.

— Jak się w Krakowie zagospodaruję, a będzie mi dobrze, kto wie, czy cię do siebie nie sprowadzę.

To mówiąc, ucałowała czule ukochane go pupila, odprowadzającego ją na kolej, wsiadła do wagonu rzeska, pełna nadziei... I pojechała.

Staś myślał, wracając do miasta:

— Mój Boże! jaki ten Kraków musi być cudny i miły, kiedy mi tak wszystkich drogich zabiera... Gdybym mógł! — tu westchnął — ale nie mogę.

Nie mógł istotnie — był bowiem popisowym i wkrótce miał stawać do wojska.

Ciągnął go nadto świeży grób matki, na który zanosił kwiaty i wieńce; zatrzymywała nadzieja, że ojciec, chociaż na listy nie odpisuje, prędzej czy później będzie ułaskawiony i powróci... a jednak, Karol nie dał dotąd znaku życia, nie odpowiedział mu nawet na pismo, donoszące o śmierci Amelii.

W szkole, z każdym dniem postępy Stasia w rysunkach stawały się widoczniejsze; profesorowie darzyli go uznaniem i pochwałami, towarzysze mu zazdrościli. Zaczął malować udatne obrazki, które przyjmowano na wystawę Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych,

a nawet je sprzedawano. Mógł już obywać się bez pomocy Bolewskiej, mógł iść po drodze życia o własnych siłach — i gdyby nie to, że wszystko, co zarobił, rozdawał kolegom i biednym, byłby w stanie wcale przyzwyczoicie się utrzymać.

Pod tym względem jednak nie było środka skłonić go, aby o sobie przedewszystkiem pamiętał.

Mieszkanie jego zamieniło się w rodzaj karawan-seraju, w którym kto chciał gościł i gospodarował dnie, tygodnie, niekiedy miesiące całe. Bardzo często wracając późnym wieczorem do domu, zastawał Staś jednego z kolegów w swoim łóżku. Wtedy, z wrodzoną sercu swemu delikatnością, nie budził śpiącego, lecz cichuteńko kładł się na kanapce, a gdy kanapka była zajęta — bo i tak się nieraz przytrafiało — wyciągał się, jak długi, na dywaniku, na podłodze, szczęśliwy, że rano będzie się mógł zbudzić wcześniej i przygotować śniadanie dla nieproszonych gości.

Kieszeń jego, była kieszenią wszystkich — najmniej jego własną. Każdy z niej czerpał, dopóki tylko cośkolwiek się w niej znajdowało. Nieraz miał w portmonetce tyle tylko, ile wystarczało na obiad, a poproszony o pożyczkę, oddawał co posiadał, nie troszcząc się wcale, że będzie musiał sam głód znosić. Nie łudził się nadzieją zwrotu lub wzajemnej przysługi w przyszłości, bo przeszedłszy już dość ciężką szkołę życia — nie orzeł, ale inteligentny — znał trochę ludzi i wiedział, że na ich wdzięczność i życzliwość rzadko kiedy liczyć można. Pomimo to zdawało mu się, że ubliżyłby sobie, gdyby wstrzymał rękę chętną do datku, do jałmużny, do przyjaznego uścisku, wtedy nawet, kiedy ścisnął dłoń, która go zdradziła lub zawiodła. Myślał zawsze o tych, co dali mu dowody przychylności, jak: Kubuś, Kaśka w Krasnosójkach, Jania, Bolewska, Zuzia —

przypominając sobie ich dobroć, zdawało mu się, że nigdy nie zdoła im wyrównać, że nigdy dostatecznie nie spłaci długów, jakie u nich zaciągnął, nawet spłacając je codziennie innym, wszystkim otaczającym, wszystkim bliźnim.

To też kto go znał odwoływał się do niego, żądając przysług rozmaitych, a on chętnie je oddawał, niejednokrotnie z narażeniem własnego życia lub zdrowia. Ba! nie potrzeba było nawet doń się odwoływać, dość, żeby się dowiedział, iż ktoś cierpi, że jest nieszczęśliwy, że potrzebuje wsparcia i pomocy, ratunku i pomocy, a wnet śpieszył z sercem na dłoń. Dwóch tonących wyciągnął z nurtów Wisły, jakąś żebraczkę na Pradze, zapomnianą w drewnianem domostwie, zewsząd objętą pożarem, wyniósł z płomieni na rękach. Jeden z biedaków, którego wyłowił z wody, przychodził potem do niego niemal co tydzień, mówiąc:

— Dałeś mi życie, dajże teraz na życie.

Staś uśmiechał się na takie, wcale logiczne *dictum* i dzielił się z nędzarzem czem miał, często ostatnim groszem.

W domu, w którym mieszkał, pod strychem, zajmowała małą izdebkę chora, sparaliżowana staruszka z kilkunastoletnim wnukiem, wielkim pustakiem i urwiszem, który od rana do wieczora bąki zbijał, uczyć się i pracować nie chciał, a o babkę wcale nie dbał; przeciwnie wyzyskiwał jej smutne położenie, zabierając jej lwią połowę tego, czem dobroczynność publiczna nieszczęśliwą darzyła. Pewnego dnia rozpustny chłopak, zsuwając się po poręczy od schodów, spadł na sam dół, na kamienną posadzkę i zabił się na miejscu. W kamienicy powstał rejwach niemały. Wszyscy lokatorowie się zbiegli, wszyscy oglądali pogruhotane ciało, wszyscy zdarzenie komentowali, kiwając głowami, niko-

mu na myśl nie przyszło pójść na górę do biednej paralityczki, kochającej „swego łobuza“ jak babki łobuzów kochać zwykły, i przygotować ją do smutnej wieści. Jeden Staś to uczynił; godzinę u niej siedział i oględnie, z najczulszą delikatnością o wypadku zawiadomił, zapewniając, że przyjdzie co rano przygotować i sporządzić jej skromne pożywienie. Nie dość na tem, kiedy policya i władze sądowe zeszyły na grunt dla odbycia sekcyi, pragnąc uwolnić chorą od niemiłego i bolesnego widoku, ofiarował na ten cel swój pokój. Chociaż bardzo wrażliwy, asystował lekarzowi w czynności. Później, ciało — którego żaden z mieszkańców domu dotknąć nie chciał — umył starannie; sam je złożył do przyniesionej trumny, kilka świec zapalonych w około ustawił i noc przy zabitym przepędził.

Była to noc okropna. Z powodu upałów, jakie wówczas panowały, należało okno otworzyć. W kamienicy starej, sąsiadującej z kanałem miejskim, roiło się od szczurów i myszy. Z tego powodu lokatorowie trzymali mnóstwo kotów. Niektóre z nich, źle żywione, zaniedbane i opuszczone przez właścicieli, zdziczały zupełnie, wałęsając się za strawą z dachu do piwnic i z piwnic na dach. Światło w oknie i cisza panująca u Stasia przyciągała wygłodzone zwierzęta. Jeden z kotów, śmielszy i dzikszy od innych, wdrapał się po rynnie, wskoczył do pokoju i rzucił się na spoczywające w trumnie ciało. Staś istną walkę stoczył z nim musiał, aby go oderwać od smutnych szczątków. Choć go za drzwi wyrzucił, całą noc oka zmrużyć nie mógł, bo ciągle widział w oknie straszne ślepie kocie, a dzikie miauczenie drapieżnego stworzenia rozdzierało mu uszy. Czuwał nad nieboszczykiem, bronił; bo wrodzona mu dobroć serca, opierała się na kilku wyrozumowanych zasadach, jak na głazach, stanowiących podwaliny jego

przekonań. Jeden z tych głązów zwał się: „czcią dla umarłych“.

Pomimo pobłażania dla ułomności ludzkich, pomimo że nigdy nie moralizował i nigdy nikogo nie nawracał, zasad wyznawanych trzymał się ściśle i według nich regulował swoje przyjaźniejsze lub mniej przyjazne sentymenta. Nie mówił o nikim źle; krzywdy sobie czynione i wyzyskiwania, których ofiarą padał niemal codziennie, przebaczał łatwo — ba! nie zwracał nawet na nie uwagi — ale nie darował szkody wyrządzonej nieszczęśliwym, niewinnym, bezbronnym lub takim, którzy się sami bronić nie umieli. Oszczerstwom, wygłaszanym w swojej obecności, wręcz zaprzeczał ze stanowczością i odwagą rycerską. Nigdy nie kłamał i kłamstwem się brzydził, zwłaszcza, jeśli w kłamstwie — słownem czy pisanem lub drukowanem — był cel złośliwy, odarcie kogoś z czci, podkopanie opinii ucziwego człowieka, prywata nikczemna. Wtedy potwarcy — a nawet tylko plotkarzowi — ręki nie podawał, co nie przeszkadzało, że w danej chwili, jeśli zdarzyła się sposobność skrycie oddać potępionemu przez siebie przysługę w potrzebie, oddawał ją bez namysłu i wahania, bo mniemał, że najsurowszy sąd o ludziach, nie wyłącza litości, która zawsze powinna kierować naszymi czynami.

Dlatego też może, koledzy garnęli się do niego, ale go nie lubili tyle, ile na to zasługiwał. Tylko w bardzo szczupłym kółku wybranych cieszył się uznaniem i sympatją. Ogół towarzyszków — już nie mówiąc o takim Urbanku, zwanym Kurtą, ani o Józekku, zwanym Małą — ale ogół przeciętny (zawsze prawie u nas lepszy niż gorszy), ten ogół — powiadam — go lekceważył, bo większość, egoistycznie sobą zajęta, nie zadawała sobie pracy, zapoznać się z nim przez obserwację i ocenić go należycie. Wielu umysłem —

nawet wyższym — zdaje się, że obserwacya, wyborna jako tło studyów dla powieściopisarza i autora dramatycznego, w życiu potocznem nie na wiele się przyda, że pociecha z niej w praktyce nieduża — otóż ci się mylą i grubo. Stosunki społeczne i towarzyskie uprościłyby się i niezawodnie złagodniałyby także, gdyby ten i ów, nie żaden dramaturg i romansorób, lecz zwykły śmiertelnik, badał rozważnie, bezstronnie swego sąsiada, swego ekonoma, a nawet lokaja. Z powodu tego braku zamiłowania do badań nad ludźmi, o Stasiu mówiono: „dobry chłopiec“ — czasem nawet — „złote serce“ — ale dalej życzliwość dłań nie sięgała, zwłaszcza że położenie, w jakim się znajdował, nie wynosiło go na wyższe stanowisko światowe, a ubóstwo, to dobro które czynił nieustannie, tak ograniczało, że prawie wszystkim wydawało się ono małym, pospolitem i drobnem. Niestety! równie młodzi jak starzy, jesteśmy jednacy! — lubimy wielkie miary. Ten, co garncem tysiące korcy namierzy, wyda się nam mniejszym od onego, co raz sypnie, lecz łasztem.

W ocenianiu talentu towarzyszków swoich z ławki szkolnej i w ogólności młodych artystów, nikt od Stasia nie był sumienniejszym i bardziej bezstronnym. Z bezstronnością tą łączyło się także wiele dobroci i wyrozumienia. Wszystkich kosztem swoim podnosił, a oceniając prace kolegów szukał w nich przede wszystkim stron dodatnich. Żaden nie płacił mu wzajemnością. Niemal każdy starał się wmówić w krytyków, znawców, lubowników sztuki i publiczność, że zdolnościom malarskim Stasia brak siły i polotu, że technika jego nosi na sobie ślady zbytniego mozołu, że nie jest oryginalnym, że waha się między manierą francuską a rodzimą, chociaż ta rodzima, spowinięta wówczas jeszcze w pieluchy, ledwie słabe oznaki życia dawać

uczynała. Koledzy jego sami — bardzo powierzchownie wykształceni lub niewykształceni wcale — rozprawiali na mieście głośno, że Stanisław nauk wyższych nie skończył, że nie umie, że nie rozwinięty umysłowo arcydzieł stwarzać nie jest w stanie. Pomimo to, prawie wszyscy, potajemnie, udawali się do niego po radę, po wskazówki, po informację, jak tę lub ową trudność techniczną pokonać, jak nadać swoim kompozycjom wdzięk wytworny, jakim on celował, jak wybrnąć z chaotycznego pomysłu, który błysnął przed oczami ich duszy, ale w wykonaniu nie umiał przybrać artystycznego ciała. Staś nigdy nikogo nieoddalił z kwitkiem, każdemu pomógł, każdego zachęcił do pracy, wskazując, co w rozpoczętem dziele usunąć należy, a co pozostawić. Czasem cały obraz przerobił i poprawił, nigdy się z tem przed publicznością nie szczycąc. Ciesząc się rozgłosem i powodzeniem drugich, sam nie uciekał się do sztucznych środków reklamy. Brzydził się nimi — chociaż jak każdy prawdziwy artysta — z przyjemnością witał uznanie, jeśli samo przyszło go znaleźć. Pochwały nie wbijały go w dumę, ale krzepiły, budziły wiarę w siebie, w siły własne, dodawały otuchy do wytrwania — bo na dnie jego aspiracyj artystycznych i żądzy sławy — tkwiło jedno wielkie pragnienie: dorównać moralnie Jani, okryć się chwałą, aby stać się jej godnym. W pragnieniu tem chęć posiadania cudnej dziewczynki, grała nader podrzędną rolę. Staś — który przeszedł już przez kał uliczny — o miłości miał jeszcze pojęcia litewskie, błękitne, eteryczne; dlatego też afekt jego nosił na sobie charakter całkiem idealny, bezcelowy. Kochał Janię całą duszą, nie myśląc nawet, że mogłaby kiedyś zostać jego żoną. Przedewszystkiem uważał ją za przyjaciela i współzawodnika, któremu sprostać pragnął. Z zapalem szedł drogą

życia do celów artystycznych, aby dojść do tej wyżyny duchowej, na którą — według jego przekonania — Jania się już wdarła.

Od czasu przybycia Bolewskiej do Krakowa, Staś miewał o Jani częstsze wiadomości. Życie panienki upływało monotennie, spokojnie i cicho. Uczyła się rysunków — co Stanisława ucieszyło mocno — słuchała wykładów słynnych profesorów. Spędzała wolne od zajęć chwile w kole rodzinnem, dość dla niej obojętnem i niepojmującym jej wcale. Byli to jednak ludzie dobrze wychowani i uprzejmi, towarzystwo ich zatem mogło od biedy wydawać się znośnem. W liście pocztowej Litwinki, znajdował się czasem dopisek krótki, rączką Jani nakreślony. Dzień, w którym nadszedł list z Krakowa z podobnym dopiskiem, był dla Stasia dniem szczęścia i radości.

I z Paryża, od pani Lepelletier, otrzymywał Stanisław także częste pisma. Babka wzywała go do siebie, namawiała, aby przyjechał, aby w „stolicy światła“ kształcił się w malarstwie, „w niej tylko bowiem można zostać wielkim i bogatym“. Wyraz bogaty, zawsze był dwukrotnie podkreślony. Pomiedzy wierszami łatwo było wyczytać, że stara kobieta — trochę już zdziciniła — kocha wprawdzie wnuka, ale znajdując się w trudnem położeniu finansowem, liczy na jego pracę i pomoc. Staś, leciałby na skrzydłach, aby stać się jej użytecznym, ale — jako popisowemu — odmówiono pasportu. Biedny uczeń skromnej „Szkoły rysunkowej“, pozbawiony wszelkich relacyj wpływowych i stosunków urzędowych, nie mógł marzyć o otrzymaniu go, nawet za pośrednictwem jakiejś przemożnej protekcji. Któżby go protegował?... takiego odosobnionego biedaka.

Przed zbliżającym się Bożem Narodzeniem, samotność wydała mu się najcięższą. Nikt nie pomyślał za-

prosić go na wigilię. Smutno mu było, że nie będzie miał z kim się przełamać opłatkiem, a chociaż kawałek posłał Bolewskiej w liście, z nadzieją, iż ona część z niego Jani udzieli, jednakże przekonanie, że będzie sam, zupełnie sam, zakrwawiała mu serce.

Pewnego wieczora, na tydzień przed świętami, wracał z Powązek, gdzie mogiłę matki oczyścił ze śniegu i przybrał zielenią sosnową i gdzie na grób ojca Jani, rzucił wieniec z bukszpanu... Szedł zadumany, kiedy nagle go ktoś zatrzymał. Była to zakonnica, która czuwała nad Amelią w czasie jej ostatniej, śmiertelnej choroby.

— Dzień dobry... Dawno już pana nie widziałam, a mam do niego interes.

— Czem siostrze służyć mogę? — zapytał.

— Urządzamy szopkę dla naszej ochronki... Pan podobno maluje?

— A tak, maluję.

— Czybyś nie był dobry i nie wymalował nam dekoracyj do żłobka Dzieciątka Jezusa i do dyalogu, jaki sieroty odegrać mają?

— Owszem chętnie... jeśli tylko potrafię.

— Potrafisz. potrafisz niezawodnie... Widzi pan... jego mam przyjemność znać... i z dobrej strony nawet... kogo innego zaś... obcego.. nie śmiałabym... może nie chciałabym wprowadzić do klasztoru, bo chociaż pod tym względem reguła nasza nie krępuje nas zbyt... ale zawsze... w dzisiejszych czasach...

— Rozumiem.

— Więc mogę na pana liczyć?

— Kiedy przyjść trzeba do roboty?

— Im prędzej tem lepiej.

— Może jutro?

— O! tak... jutro... Bóg zapłać!... sieroty będą obowiązane...

— Sierocie — przerwał Stanisław.

Wymówił to tak prosto i rzewnie, z takim głębokim smutkiem, że siostra miłosierdzia, wzruszona, ścisnęła mu rękę z uczuciem i rzekła:

— Bóg pocieszy! — i po chwili dodała — czekać będę jutro.

Myśl malowania dekoracyi do szopki uśmiechała się Stasiowi. Całą noc tylko o tem marzył.

Miał przed sobą tydzień wolny, bo w szkole tak profesorowie jak i uczniowie rozproszyli się po mieście i kraju, wyjeżdżając na przedświąteczne wakacje, — mógł zatem czas swój poświęcić zajęciu, które go nęciło tematem wdzięcznym i pełnym prostoty, a zarazem i celem pięknym.

Religijnym był głęboko, chociaż prawie bezwiednie; religijnym zrobiła go Jania więcej może niż matka pani Ireny.. Wyobraźnia jego lubowała się w przedmiotach, które poznał w oświeceniu, w jakim mu je imaginacya dziewczynki przedstawiła.

Rano — wesół i rzeźki — pobiegł na Tamkę do zakładu św. Kazimierza.

Siostra Aniela przyjęła go niezmiernie życzliwie. Zaprowadziła do kościoła naprzód i wskazała miejsce, w którym żłobek się ustawia.

— Tu nie będzie dużo pracy — mówiła — tu musimy trzymać się tradycyi i zwyczajów dawnych.. Zresztą posiadamy zeszłoroczne dekoracye, potrzeba je będzie tylko trochę odświeżyć i nic więcej.

Z świątyni udali się razem do gmachu. Wybrano dużą salę na drugiem piętrze, w której stanąć miała szeroka estrada, a na niej wzniesć teatrzyk.

— W głębi, pragnę szopki... W niej świętej rodziny, z całym swym uroczem otoczeniem: z pasterzami i ich zwierzętami, z trzema królami idącymi za gwiazdą... Na proscenium, w którym kulisy powinny mieć kształt palm, aloesów... roślinności pustyni... odegra się dyalog biblijny... Jedna z naszych towarzyszek umyślnie go w tym celu układa, wykonują zaś nasze dziewczynki i kilku chłopców z ochronki Jachowicza przy Freta ulicy...

Staś dumiał i rozważał milcząco.

— Jakże?... może się wahasz, może odmawiasz? — pytała z niepokojem siostra Aniela.

— Nie, nie.... tworzyłem pomysł, obrachowywałem przestrzeń... A czy jest wszystko, czego będę potrzebował do roboty?

— A jakże.... wszystko.... I pracownia przygotowana już czeka.

— I pracownia?

— Tak.... tuż obok..

— Chodźmy do niej zatem.

— Chodźmy.

Przeszli salę i kurytarz. Siostra Aniela zapukała do jakichś drzwi, które się rozwarły. Staś ujrzał się w izbie dużej, obszernej, o właściwym, północnym świetle, potrzebnem do malowania. Rozpięte na blejtrach płótna, stołki rozmaitego kształtu i wysokości, drabinka składana, garnki z rozrobioną klejową farbą, szerokie jak szczotki pędzle, słowem cały warsztat dekoracyjnego malarstwa znajdował się tu w zupełnym komplecie. Przy drzwiach stała zakonnica, z twarzą w dłoni ukrytą, pogrążona w dumaniu czy w cichej modlitwie.

— Prawda że nic nie brak ?

— Zdaje się, że nic — odrzekł Stanisław.

— No... teraz do roboty!

Klasnęła w dłonie z zadowoleniem i, zwracając się do trzymającej się w cieniu zakonnicy, powiedziała:

— Podaj mistrzowi kredkę do rysowania; pewno zechce on naprzód rzucić na papier główny zarys swojej kompozycji.

Przy wyrazie „mistrz“ Staś się uśmiechnął i chciał już nań jak na żart żartem odpowiedzieć, kiedy ujrzał, że wezwana przez Anielę siostra miłosierdzia, cała drżąca, zbliżyła się doń z głową spuszczoną w ziemię. Postawa jej wyrażała pokorę niezwykłą, bijące mocno łono — silne wzruszenie.

— Co to znaczy? — spytał zdziwiony.

— Spójrz — rzekła siostra Aniela.

Młodzieniec, delikatnie podniósł głowę pochylonej.

— Zuzia szarytką! — krzyknął.

— Tak paniczku — odparła wydziedziczona — za twoją sprawą, dzięki twemu pacierzowi...

— Ach! jakże to dobrze!... jakże to dobrze! — powtarzał Stanisław, patrząc w śliczną twarzyczkę, obramowaną jak aureolą białymi skrzydłami kornetu.

Zuzia cudnie wyglądała w habitcie. Pogoda ducha starła z twarzy znużenie przedwczesne; na licach niegdyś poźółkłych wykwitł obecnie rumieniec zdrowia; — oczęta czarne, żywe i teraz wprawdzie przesłaniała mgłą tęsknoty czy zadumania, ale wyczytać w nich można było, że dusza posiada, czego pragnęła, że dobrze jej w eiszy klasztornej, dobrze w szpitalu przy małych i niewinnych dzieciach.

— Bóg cię nią wynagrodził — rzekła siostra Aniela, wskazując na Zuzię — to Bóg łaskaw, i w z martwieniu pocieszysz także.

Dziś — jak ona wczoraj. — Stanisław ścisnął wyciągnięte do siebie ręce w swoich dłoniach z rozrzwinięciem wzruszony do głębi. Nie mógł słowa przemówić, ale dziękował wzrokiem.

XIV.

Pod karabinem.

W kilka tygodni potem wszedł Stanisław do kancelaryi Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, niosąc swój nowy obrazek, przedstawiający: „Wieczernę w Ochronce w wigilię Bożego Narodzenia“.

Rodzajowa kompozycya wyobrażała grono sierót, siedzących w około długiego stołu. Na twarzyczkach dzieci malowała się radość i wesołość. Usługiwały im dwie siostry miłocierdzia: Aniela i Zuzia.

Młody artysta, w świeże wspomnienie, odwzorowane na płótnie z prawdą i wdziękiem, wlał to przede wszystkim, co pan Artur nazywał „malowanem sercem“, obrazek bowiem był istotnie bardzo miły i pojętny.

Sekretarz instytucyi, prawdziwy znawca, powitał Stasia uprzejmie.

— Ładne, ładne.... bardzo ładne — rzekł — ale dziś jeszcze nie wystawimy. Dobrze jednak, że się pan zjawił, właśnie bowiem w tej chwili znajduje się na wystawie pewien amator, który pragnie nabyć pańskie „Gęsi na pastwisku“.... Chciałby coś utargować, ale

trzymaj się ostro i nie spuszczaaj prędko z ceny... Może zapłacić, ma *Geld*... zaprezentuję pana.

— Trzymać się ostro... łatwo to powiedzieć, trudniej wykonać, zwłaszcza, że potrzebuję *Geld*... Wolałbym, żeby pan sam był łaskaw mówić za mnie...

— No, no, jakoś to będzie, lecz chodź... Potrzeba dać się ludziom poznać; znajomości z czasem się przydadzą. Pan się zanadto zamyka i stroni od ludzi możnych...

Wziął Stasia pod rękę i weszli razem do długiej, wąskiej sali od góry do dołu zawieszanej obrazami.

— Patrz... stoi tam w głębi, za trzecią arkadą... Przygląda się pańskiej kompozycji... Odsuwa się i przysuwa...

— Ten ruchliwy, otyły jegomość... Obok niego dama.

— Tak, to właśnie kupiec na „Gęsi“, a dama, to jego żona... Widzi pan, oni oboje przepadają za gęsiami; to już tak u nich we krwi — rozśmiał się głośno. — Śliczna kobieta... nieprawdaż?... On podobno zazdrosny... i cóż dziwnego?... stary, brzydki, ona zaś Rachela, istna Rachela. Wyszła za niego, bo bogaty, bardzo bogaty... Ale, ale, nie traćmy czasu i korzystajmy z dobrego usposobienia... Widzę, że się rozpalił.

Zbliżyli się do pary, wskazanej przez sekretarza.

— Pan Stanisław Mowelski, artysta malarz... pani i pan Goldenkrantz, znany amator, protektor sztuki krajowej.

Staś ukłonił się grzecznie, ale bez uniżoności. Miał kark twardy, gnący się niełatwo. Jakkolwiek nie posiadał obycia się światowego, jakkolwiek lekliwy trochę i nieśmiały, rumienił się po uszy w obcym sobie towarzystwie, jednakże postawą i ruchami, wcale dystyngowanymi, wyróżniał się korzystnie z pośród rzeszy młod-

szych artystów. Parobeczka z Krasnosójek nie znać już w nim było zupełnie.

Na osobach, którym go sekretarz Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych przedstawił, wywarł przyjemne wrażenie. Szczególniej pani Goldenkrantz, podniósłszy do oczu lornetkę, zmierzyła go od stóp do głów badawczo, a kiedy spuściła szkła — bujające się teraz na złotym łańcuchu — łatwo było wyczytać w jej wesołym spojrzeniu uznanie i zadowolenie prawdziwej znawczyni.

Na ukłon odpowiedziała uprzejmem skinieniem głowy i uśmiechem wielce życzliwym. Ubrana wykwiłtnie, zdawała się zalotną... i kto wie?... może trochę złośliwą, chociaż obecnie jak kotek chowała pazurki, wyciągając do zarumienionego młodzieńca, śliczną, delikatną, wypieszczoną, niby aksamit miękką rączkę, zdobną w brylanty i drogie kamienie. Właśnie na moment przedtem zdjęła z niej rękawiczkę, żeby poprawić rozpinającą się pod szyją broszę.

Była to kobieta... lat, około czterdziestu, ale rzeczywiście piękna i przedziwnie zakonserwowana. Dla niewprawnego oka mogła liczyć rok dwudziesty piąty lub najwyżej dwudziesty ósmy. Wysoka, szczupła w samą miarę, o szyi ponętnej, zapowiadającej gors rozkoszny, o talii giętkiej, brunetka o bujnych włosach niemal szafirowych — kiedy się na nie patrzyło pod światło, — wijących się nad intelligentnem czołem w drobne, kręte pukielki, o oku czarnem, dużem, ognistem, o ustach rozwartych, dyszących zmysłowością, musiała zachwycać i zachwycała jeszcze pewnie, zwłaszcza, że cerze śniadej, powleczonej na jagodach lekkim rumieńcem, umiała sztuką nadać puszystą świeżość brzoskwini.

— Hi, hi, hi, to pański obrazek te „Geśi“? — spytał pan Ignacy Goldenkrantz, uderzając jednym łokciem Stanisława, drugim żonę i śmiejąc się śmiechem cienkim, piskliwym, ale zarazem jakimś ciepłym i szczerze jowialnym.

Pan Ignacy w niczem nie był podobny do swojej żony Felicji. Niski, krępy, tłusty, nosił na twarzy wyraz naiwnej poczciwości, jednajacej mu sympatyę ogólną, pomimo, że był bardzo śmieszny i brzydki. Na krótkiej szyi kołysała się na lewo i prawo głowa ogromna, jak dynia spłaszczona, choć okrągła; policzki błyszczały od czerwonej krasy życia, łysinę wieńczyła w około girlanda rzadkich, szpakowatych włosów. Oczki szare, małe, żywe, nie wydawały się głupie, przeciwnie błyszczały sprytem i wesołością. Na wydatnym, zaokrąglającym się brzuszku, kołysał się gruby, podwójny łańcuch złoty od zegarka i mnóstwo breloków. Śmiał się prawie ciągle, rozszerzał łokcie — jak ptak skrzydła do lotu — uderzając niemi sąsiadów nieustannie; z połowicy oka nie spuszczał, rzucając na nią wzrokiem podejrzliwym.

— Co pan chce za ten obrazek? — pytał. — Ten obrazek mi pasuje. Nie wiem tylko... hi, hi, hi... czy cena będzie pasować.

Staś milczał. Był w okropnym kłopotcie, — nie wiedział co powiedzieć. Nakoniec wykrztusił:

— Cena napisana na kartce, pod ramą.

— Tak, ale to tylko dla głupich, dla gapiów, co nie kupują. Ja, widzi pan, kupuję często i płacę gotówką.

Stuknął prawym łokciem młodego artystę, a lewym sekretarza, zajmując między nimi nagłym ruchem środkową pozycję.

— Widzi pan, ja się znam na różnicy między tem, co się pisze, a tem, co się bierze.

W ustach innego, słowa te obraziłyby pewnie, ale Goldenkrantz wymawiał je bez najmniejszej arogancji — właściwej ludziom jego sfery, — wyrzucał je szybko z ust z taką zabawną dobroduszością, z takim gorączkowym a szczerym zapałem, że niepodobna było przedewszystkiem brać go na seryo, a później, za złe mu policzyć jego dziwnego sposobu wyrażania swoich myśli.

— Doprawdy, nie wiem, co żądać — jękał Staś zupełnie zbity z tropu — może pan sekretarz zechce...

— A nie, to już do panów należy — niby protestował reprezentant instytucji. — Zetknąłem amatora z artystą, radźcie sobie sami, załatwajcie interes bez pośrednictwa.

— Ileż pan daje? — zapytał Staś nieśmiało.

— Hi, hi, hi... sto rubli.

Cena oznaczona na kartce, opiewała: dwieście.

— Więcej pan dać nie może?

— Mogę, ale nie chcę... hi, hi... Rozumie pan: nie chcę.

Felicja uśmiechała się, patrząc na zakłopotanie Stasia. Ten uśmiech ładnej kobiety, jeszcze bardziej go mięszał. Bładł i czerwieniał naprzemian, zdawało mu się bowiem, że pani Goldenkrantz przypisuje mu zamiar wyzyskania bogatego męża. Wszelkie pieniężne układy uważał za rzecz niemłą, poniżającą; nigdy w życiu nie targował się jeszcze; postawiony zatem nagle w niespodziewanem i nader przykrem położeniu, czuł się upokorzony. Gdyby nie wstyd jakiś, z którego sobie sprawy nie zdawał, a który go zatrzymywał na miejscu, uciekłby niezawodnie, aby się tylko od tych nieznośnych certacyj uwolnić.

Sekretarz domyślając się wreszcie, co się dzieje w duszy Stasia, uznał za stosowne interweniować.

— No, no, panie Goldenkrantz, krakowskim targiem przecinam różnicę na dwoje. Daj pan stopiędziesiąt.

— Tak pan mówi, panie sekretarzu.... ha! cóż robić?... to muszę. Niech będzie stopiędziesiąt.... hi, hi, hi.... Czy zgoda?

-- Zgoda — odparł Stanisław, oddychając głośno, jakby się zbył ciężaru przygniatającego mu piersi, albo uwolnił od dławiącej go zmory.

Goldenkrantz uściskał mu dłonie z widoczną radością i sięgnął po pieniądze do pugilaresu. Wtedy i usta Felicji się rozwiązały.

— Tyle prawdy, tyle natury w pańskiej kompozycji.... aż mi przykro, że się mąż targował... Wierzaj pan, że mi bardzo przykro.... Co to za doskonały rysunek, co za pyszny koloryt!

— Pani nadto łaskawa — szepnął Staś, spuszczać w ziemię oczy.

— Spodziewam się, że nasza znajomość na dzisiejszym dniu się nie skończy; proszę nas odwiedzać.... Przyjmujemy w sobotę wieczorem.... Ignasiu, zaprosze pana.

— Jakże nie mam zaprosić.... zapraszam, zapraszam — mówił Goldenkrantz, wsuwając w rękę Stasia banknoty. — Przyjdź pan bez ceremonii, nawet bez fraka; my żyjemy popularnie... Posłuchasz pan muzyki, bo moja Felcia gra jak anioł, jak święta Cecylia.... poznasz ludzi bogatych, co się nic a nic nie znają na obrazkach... hi, hi, hi.... ale chętnie kupują i dobrze płacą, gotówką....

Smiał się ciągle. W śmiechu jego brzmiała nuta tak życzliwa, tak przyjazna, tak pełna dobroci, że nie

podobna było ani się dziwić, ani żartować, ani gniewać, ani obrażać.

— I ja się jeszcze panu nieraz przydam — paplał dalej — bo to u artystów... już ja wiem... bywa rozmaicie, hi, hi, hi... bywa na wozie i pod wozem... Cóż przyjdiesz pan?

— W przyszłą sobotę służyć państwu będę.

— Pomówimy o sztuce — wrzuciła słówko Felicya.

— O! Felcia moja! jak z nut mówi o sztuce... Ona strasznie wykształcona i sztuką zajęta... Ale teraz do widzenia, do soboty... bo mnie już pilno.

Pani Goldenkrantz wyciągnęła do Stasia rączkę, dotąd jeszcze nieosłonioną rękawiczką.

— Tylko się pan nie spaźniaj.. Już o ósmej czekamy na miłych gości.

Stanisław uściskał dłoń podaną, kłaniając się odchodzącym grzecznie.

Tłuścioch potoczył się naprzód wraz z żoną, ale coś sobie przypomniał, bo parę kroków dalej przystanął.

— Panie sekretarzu, dziś mi pan odeśle moje „Gęsi“?... bo to już teraz nie pańskie... ani pańskie — dodał zwracając się do malarza — tylko moje „Gęsi“.

— Dziś niezawodnie.

— Nie zapomnij pan... hi, hi, hi... bardzo proszę.

Kiedy niedobrana para znikła w drugiej, wstępnej sali, sekretarz rzekł do Stasia:

— Co pan chce!... gdyby nie tacy jak on, niktby ani jednego obrazu nie kupił Szydzą z niego ludzie, nie warci mu butów czyścić... Ja sam nie mogę się wstrzymać czasem od żartu na jego *conto*... ale co prawda to prawda, muszę mu oddać sprawiedliwość... obowiązek wspierania sztuki krajowej pojmuję on lepiej

od niejednego z naszych. — zaciął się, a potem westchnął — Ot! lepiej nie mówmy o tem, bo mnie szewskie pasy porywają, kiedy o takich rzeczach myślę.

Pocziwy sekretarz machnął ręką; — a kiedy w dwóch zbliżyli się do schodów, rzekł jeszcze:

— Odwiedź ich, odwiedź, to się przyda... Teraz zaś bądź zdrow i pracuj, bo masz talent. Nie zatrzymuję cię dłużej... dla ciebie czas drogi, a i ja mam nawał roboty... Trzeba przecie o was wszystkich pamiętać... „Wieczerzę w Ochronce“ jutro wystawię.

Dłonie ich zwały się z sobą w szczerym uścisku.

Po pierwszej wizycie — na sobotniej wieczornej recepcyi u Goldenkrantzów — Stanisław stał się w ich domu częstym gościem. Serdeczna życzliwość, okazwana mu przez gospodarza, była dlań główną atrakcją, chociaż i rozrywka, jaką znalazł, przyczyniła się niemało, że spieszył chętnie co sobotę — a nawet i w inne dni tygodnia — na Senatorską, do bogatego i wytwornie urządzonego salonu, gdzie słuchał muzyki i mógł porozmawiać swobodnie o sztuce, literaturze i sprawach bieżących, w gronie wesołym i lubiącym się bawić. Poznał tam, oprócz milionowych — lub przynajmniej milionowe odsetki wydających — bankierów, krociowych kupców i przemysłowców — przychodzących dla wista z licytacją i dobrej kolacyi, — oprócz urzędowego świata i wojskowych, oprócz złotych i pozłacanych pasożytów, oprócz motyli światowych — mniej więcej różnojęzycznej i kosmopolitycznej czeredy — cały zastęp muzyków, literatów i dziennikarzy, przyciąganych wdziękami, dowcipem i inteligencją pani Felicyi — która, pomimo nadzoru zazdrosnego męża — umiała się otaczać całym dworem admiratorów i wielbicieli. W hazardownej grze z nimi — grze zajmującej ją niezmiernie — wśród tysiącznych, drobnych i krótkotrwałych

intryg miłosnych, zalotna kokietka nie stawiała na kartę serca, chociaż ryzykowała reputację. Serca nie miała wcale, dogadzała tylko swojej próżności wrodzonej i chwilowym zachciankom, tem bardziej dla niej słodkim, o ile były owocem zakazanym.

Urodzona w nędznej, zapleśniałej mieścinie krajo-wej, w lichej austeryi, cuchnącej śledziem i cebulą, wcześniej — bo w piętnastej wiosnie życia — wyszła za mąż za jakiegoś trzeciorzędnego wekslarza w Berlinie, który umyślnie — po cudną, czarną perłę — do Łysob- byk przyjechał. W stolicy cesarstwa niemieckiego wy-kształciła się bez wielkiej pracy umysłowej, tak pię- kna jej główka była bystrą i otwartą, tak cywilizacya zachodnia odwrotną — ale błyszczącą — stroną me- dalu zachwyciła i oczarowała na wpółdziką Łysobyczan- kę. Wszystko złe, kryjące się w mętach postępu, przy- lgnęło do niej łatwo. Ambitna, pragnąca się bawić, jaśnieć na świeczniku i używać, popychała męża do przedsięwzięstw niebezpiecznych, szalonych, rezultatem których było w końcu... podstępne bankructwo. Biedny małżonek umarł, w więzieniu. Po smutnej katastrofie, młoda jeszcze wówczas wdówka, opuściła Berlin, przy- była do mieszkających w Warszawie krewnych, u któ- rych poznał ją stary i bogaty Goldenkrantz, a zako- chawszy się w niej na zabój, ożenił, nie namyślając się długo, pomimo, że niemal wszyscy odradzali mu ten związek, z wielu względów nierówny i nieodpowie- dni. Ale od kiedy świat światem, adwokat Amor, prędzej słuchany bywa od mecenasa-Minerwy, która mentorować może tylko tym, nad którymi figlarny syn Wenery dosyć się już naznęcał.

Felicya, jak w pierwszym tak i w drugim mał- żeństwie bezdzietna, nie krępowana świętymi obowiązka- mi matki, szukała szczęścia tam, gdzie go znaleźć nie

można, w uczuciach powierzchownych, przemijających, aby tylko dogadzały jej zmysłowości i kobiecej dumie. Sięgała — jak dziecko po cacko — po panów i niewolników, chętnie zaprzęgających się do jej rydwanu. Każdy był dobry, byle przyozdobił jej cugi: nazwiskiem, tytułem, sławą lub talentem. Czas jakiś cieszyła się powodzeniem ogromnem, czas jakiś wszystkim jej pragnieniom stawało się gwoździem, czas jakiś życie pletło się różnobarwną girlandą przygód i awantur, mniej więcej sentymentalnych, mniej więcej głośnych. Zakochany Goldenkrantz — jak każdy zakochany — długo był ślepy, nic nie widział, niczego się nie domyślał. W końcu przejrzał, a niechęć w związku małżeńskim grać roli piątego koła u woza, swobodę i wolność połowicy ograniczył, rozciągając nad jej postępowaniem ścisłą i baczłą kontrolę. Wiedział, że jest śmieszny, że służy w mieście za cel ironicznych lub żartobliwych pocisków, postanowił więc — już może mniej kochając żonę niż dawniej — nie ściągać na siebie większej śmieszności. Zapowiedział, że przy pierwszej intrydze, odkrytej i ujawnionej, rozwiedzie się i przekwitającą magnifikę pozostawi na koszu. O rozwód u izraelitów bardzo łatwo, pani Felicja zatem — przyzwyczajona do zbytku i wygody, a nie posiadająca własnego majątku — uznała za właściwe kapitulować, rachując się ostrożnie z surowemi wyrokami męża. Pomimo to kokietowała, tylko już platonicznie, dla honoru domu i aby nie wychodzić z rutyny. Salon jej przepęłniało zawsze kosmopolityczne towarzystwo, oraz artyści i literaci. Niemal co dziesiąty gorzał dla niej miłością bez granic, albo przynajmniej gorącą miłość udawał, nie kochać się bowiem w pięknej gospodyni, uważanem tu było za przestępstwo przeciw lokalnym prawom *savoir-vivre* ściśle obowiązującym wszystkich gości.

Skromny, nawet trochę dziki Staś, zapowiadający przytem wielki talent i już znany w szerszych kołach publiczności, nadto wcale ładny chłopiec, a dzięki przymusowej gimnastyce w Krasnosójkach i dobrowolnej w Warszawie, rozwinięty fizycznie jak Herkules, wpadł od razu w oko pani Felicyi. Z początku onieśmialo go to i wstydziło, później pochlebiało miłości własnej i bawiło. zwłaszcza, że natura uczuć jego dla Jani nie obowiązywała go wcale do wierności i do zaparcia się żądź wszelkich. Nie przypuszczał, aby miłość, jaką dla niej serce jego pałało, była czem innem, jak przyjaźnią lub bratnią przychylnością. Pomimo jednakże magnetycznego pociągu, który go zbliżał nieraz — mimowiednie — do pięknej Felicyi, im więcej i lepiej poznawał Goldenkrantza, tem dalej odsuwał się od jego żony i jej pokus ponętnych. Polubił szczerze swego ciągle śmiejącego się protektora. Pod powierzchownością, istotnie komiczną, odczuł w głębi jego żydowskiej duszy wyższe przymioty: zacność, prawosć, bezinteresowność, nawet delikatność niezwykłą. Wobec przeświadczenia o tem, myśl zdrady odepchnął ze wstrętem. Goldenkrantz mógł być karykaturą dla całego świata, dla Stanisława był druhem. Nie wprawdzie dotąd dla niego nie zrobił, bo nabycie „Gęsi na pastwisku“ uważać należało raczej za dobry interes, niż za poparcie, a gościnne przyjmowanie u siebie, za wzajemną wymianę uprzejmości towarzyskich, ale Staś czuł, że bankierzysko było mu szczerze życzliwe, wolałby zatem dać sobie uciąć prawą rękę, niż zakłócić jego spokój domowy. Wdzięczny z natury, najlżejszy objaw przychylności okazanej sobie zwiększał umyślnie w swoich oczach, idealizował, przeceniał, podnosił, ubarwiał. Goldenkrantz zaś, którego wielu uważało za głupca, chociaż był bardzo sprytny, przyglądał się uważnie pro-

cesowi wewnętrznej walki, jaką staczał młodzieniec z siłami Feli i własnymi zmysłami. W jego poczciwym sercu wytworzył się rodzaj kultu i przywiązania do młodego malarza — przywiązania, opartego na szacunku prawdziwym. Zdawało mu się, że wpływ Felicyi na mężczyznę jest wszechpotężny, że na kogo spojrzy, z kim chwilę sam na sam pomówi, wnet oczaruje, spęta, zbałamuci, zepsuje... a tu jakiś biedny artysta, prawie smarkacz, stawia jej czoło i poddać się nie myśli. Tyle charakteru w tak młodym człowieku, taka zaćność, imponowała mu, dziwiła. On, który dzięki swemu domowemu pożyciu i praktyce finansowej, nauczył się — w gruncie duszy — lekceważyć najbogatszymi, najuczestniejszymi, najłatwiejszymi i najwyżej położonymi, w obec skromnego ucznia Szkoły rysunkowej, wobec biedaka — który może czasem obiadu nie jadał, a jeśli jadał, to pewno w jakiejś lichej garkuchni — musiał schylać czoło z poważaniem, a nawet z wdzięcznością, boć — koniec końców — cnota Stasia była dlań korzystną. Ale, o ile delikatny a stanowczy opór przed pokusą, oraz mężka siła woli naszego bohatera jednała mu serce pana Ignacego, o tyle irytowała panią Felicyę. Nie mogła go doprowadzić do tego, aby się jej oświadczył... ba! nawet nigdy nie złożył gorętszego pocałunku na jej rączce, na tej rączce, wypieszczonej i miękkiej jak aksamit, którą tyłu... tyłu pożerało namiętnymi spojrzeniami. To ją gniewało i upokarzało.

Tak stały rzeczy, kiedy pewnego dnia otrzymał Stanisław wezwanie stawienia się do poboru.

Poszedł o oznaczonej godzinie, z głową na piersi zwieszoną, pewny, że się nie wykręci. Istotnie o zbrakowaniu go przez urząd rekrucki, marzyć nie można było.

Młodzian, prosty jak świeca, o piersi szerokiej, wydatnej, barczysty w ramionach, o muszkułach ze stali, jednomyślnie uznany został za zdatnego do służby wojskowej. Nie dość na tem, po superrewizyi, przy losowaniu, wyciągnął jeden z pierwszych numerów... więc choć Marsowe rzemiosło nie uśmiechało mu się wcale, poddać się musiał przykrej konieczności, łamiącej jego karierę artystyczną.

Uwolniwszy się na parę godzin, ze „zbornego punktu“ na Pradze — gdzie zgromadzono wszystkich rekrutów — pospieszył do Goldenkrantza, żeby się z nim pożegnać.

Do Bolewskiej o zmianie swego położenia nie chciał jeszcze pisać, wiedział bowiem, że wiadomość taka będzie dla niej zbyt bolesnym ciosem. Pragnął ją wprzód przygotować, oswoić powoli z tą myślą przez szereg pism, coraz jaśniej malujących konieczność noszenia karabina, pani Irena bowiem wyjechała z Warszawy przekonana, że Staś — jako jedynak — wolny jest raz na zawsze od wojska. Zapomniała, że jedynactwo wraz z śmiercią matki przestało go bronić.

Bankiera zastał Stanisław w jego gabinecie do pracy. Poczciwy Goldenkrantz, dowiedziawszy się z ust artysty o wszystkim co się stało, zmartwił się mocno, ale i tym razem — mówiąc z żalem i nieukontentowaniem o położeniu rzeczy, istotnie dlań przykrem, a wytworzonym przez nadmiar delikatności młodzieńca, który przed faktem nie odwołał się do opieki protektora — nie mógł się pan Ignacy powstrzymać od zwykłego sobie nerwowego śmiechu. Śmiech ten zrosł się z nim poniekąd. Dla Warszawy, lubiącej się bawić cudzym kosztem, karykatura wydawałaby się niekompletną, gdyby Goldenkrantz śmiać się przestał.

— Czegożeś pan... panie Stanisław... nie mówił o tym całym barszczu dawniej, choćby tylko tydzień temu, może by się to było dało jakoś załatwić... hi, hi, hi... ale ja nie nie wiedziałem; nie a nie nie wiedziałem. Państwo wprawdzie potrzebuje dzielnych i zdrowych żołnierzy, ale na co ich ma szukać koniecznie między utalentowanymi malarzami... hi, hi, hi... Czemuś mi pan o tem wprzód nie mówił?

Przechadzał się szerokimi krokami po gabinecie z rękami, zanurzonemi w kieszeniach od spodni.

— Nie chciałem nudzić pana memi osobistemi sprawami.

— Co nudzić! jakto nudzić!... hi, hi, hi... To się nie nazywa nudzić... „Nudzić“ to brzydkie słowo i do mnie zwracać go się nie godzi. Mam dla pana dużo przyjaźni; posiadam... jak pan wie... rozległe, szerokie stosunki... Byłbym może obronił, jako artystę... Teraz za późno, kłamka zapadła... hi, hi, hi.

Śmiech piskliwy — dziś wyjątkowo nieznośnie świ-drujący w uszach — oraz gorączkowe latanie po pokoju, świadczyło jak Goldenkrantz musi być istotnie poruszony do głębi.

-- A czy przynajmniej przeznaczono pana do jednego z pułków, konsystujących w kraju? — zapytał nagle.

— Nie wiem. Dotąd z pośród rekrutów nie czyniono wyboru; wszyscy razem znajdujemy się na tak zwanym zbornym punkcie.

— To dobrze... hi, hi, hi... to dobrze. Pozwól już ja się tem zajmę; może uda mi się wsadzić pana gdzieś blisko Warszawy.. hi, hi, hi... może mi się uda.

Stanisław uściskał mu dłoń serdecznie.

— Idź pan prędko na Pragę i miej nadzieję. Ja... hi, hi, hi... pospieszę w pańskim interesie... Zrobię, co tylko będzie w mojej mocy; może tej biedzie przynajmniej damy radę.

Chwycił za kapelusz.

— Nie traćmy czasu... hi, hi, hi... każdy w swoją drogę.

Zabiegi bankiera uwieńczone zostały pomyślnym rezultatem; przy wyborze przeznaczono Stasia do saperów, stojących w obozie pod Warszawą.

Dla młodego artysty, karyera wojskowa zaczęła się dosyć znośnie.

Wieczorem przybył z gromadką rekrutów na Powązki. Wprowadzono go do obszernej izby, oświetlonej lampami naftowymi, gdzie odbywało się sprawdzanie papierów i pierwszy apel.

Przy zapisywaniu do listy, zdziwiło wszystkich, że Stanisław urodził się Paryżu.

— Jesteś zatem Francuzem? — spytał kapitan, obecny czynności dokonywanej przez pisarza.

— Ha! tak... niby.

— Dlaczegoż nie w kraju rodzinnym dopełniasz obowiązku służby wojskowej?

— Ojciec mój był Polakiem... Przybyłem z nim razem z zagranicy...

— To też to właśnie. W papierach, jakie posiadamy, brak aktu przyjęcia w poddaństwo rosyjskie. Jest w tem pewna nieformalność... ale mniejsza o nią... Należysz do naszych szeregów, bo złożyłeś przysięgę.. Wszakże złożyłeś przysięgę?..

— Złożyłem.

Kapitan, jakkolwiek człowiek dobrze wychowany, traktował Stasia *per ty*, bo jako przełożony, stał w hierarchii wojskowej tak strasznie wyżej od szere-

gowca, że nie mógł — nie miał nawet prawa — do niego inaczej przemawiać.

— Umiesz po francusku?

— Umiem.

Zamienili kilka wyrazów w narzeczu nadsekwańskim, Stanisław bowiem w towarzystwie Amelii odzyskał dawną łatwość władania językiem francuskim i posiadał nawet — przejęty od matki — akcent paryski, ów akcent wszechpotężny, który, na Wschodzie, podnosi każdego śmiertelnika nad poziom popolitości i najniższej sytuacji społecznej.

Kapitan uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Tem lepiej, tem lepiej... żołnierz wszystko umieć powinien.

Feldwebel, pisarz i dwóch starych szeregowców, patrzyli z podziwieniem na rekruta, tak długo zatrzymującego uwagę przełożonego, na rekruta, który mówi po francusku jak oficerowie o grubych epoletach, na rekruta, który, chociaż „rodził się w Paryżu“, służyć będzie razem z nimi, podlegać jednej władzy, słuchać jednej komendy.

— Pisziesz ładnie... kaligraficznie?

— O... tak — wyjął zaczęty list do Bolewskiej i pokazał.

— Nieźle, nieźle. A umiesz po rosyjsku?

— Trochę.

— Douczysz się tu reszty.

Zwrócił się do feldwebla.

— Używać go do kancelaryi przedewszystkiem. Poczem wyszedł.

Dla podoficera i jego otoczenia, rozkaz kapitana i łaskawe wyrazy, jakimi przemawiał do „prostego żołdata“, podniosły w ich mniemaniu znaczenie tego

prostego żołdata. Po opuszczeniu izby przez przełożonego, rzucili się do Stasia jak do starego druha.

— No brat, z ciebie musi być chwyt wielki, kiedyś tak od razu kapitanowi wpadł w oko.

— Będiesz mieć święte życie, bo on dobry dla roty jak ojciec

— Nie potrzebujesz się trudzić czyszczeniem broni, munduru, *szynela* i butów...

— Ani słać na noc tapczana, ani wody nosić, wszystko to za ciebie robi *diad'ka*.

Feldwebel, klepiąc Stanisława przyjaźnie po ramieniu, mówił:

— Przeznaczę ci *diad'kę* jakich mało; wszystko ci zrobi jak *deńszczyk* generalski.... zapłacisz mu za to coś miesięcznie....

Wziął go na stronę.

— Nie dużo, nie dużo... Nie trzeba tych ludzi psuć zbytecznie, to naród prosty, bez wykształcenia, bez edukacji....

Zamyślił się, jakby w głowie odbywał przegląd całej roty.

— Kogoby tu tobie wybrać... Aha! już wiem!... Dam ci Michała Kostrzewę, bo to twój *ziemlak*... no! nie Paryżanin, ale Polak, z gubernii siedleckiej... Tylko uprzedzam cię, że kanalia numer pierwszy... Chciał kiedyś uciekać z pułku. Złapany, skazany został jako zbieg przez sąd wojenny na sześć lat rot aresztanckich, na ciężkie roboty do fortecy. Po przebytej kaźni, wrócił do roty i dosługuje obowiązkowych lat służby... Może go nie chcesz?

— Owszem, .. proszę.

— Praworny, mówię ci, jak *deńszczyk* generalski. Pismo nosem rozumie, chociaż się czytać po rosyjsku dotąd nie nauczył. *Niegramotny* kanalia, bo żeby był

gramotny, to chociaż chmurny jak czort, zostałby chyba feldfeblem z czasem. Chodzi zawsze niby mruk, czarny na twarzy, z głową w ziemię spuszczoną, z podełba na towarzyszy pogląda i nigdy nie nie zafunduje... Nie kupił mi nigdy kieliszka wódki; ani razu prezentu na święta mi nie przyniósł... to też i wypłynąć na wierzch nie może. Starszyczna go nie lubi, koledzy nienawidzą... bo to w pułku jak i na świecie... ręka rękę myje. Chociaż wiem co za spryt w tej bestyi, skazuję go na najcięższą pracę, bo przecie także, takiego co z pod sztandaru uciekał, nie można traktować po ludzku... A! szelma straszny! gdyby chciał... gdyby chciał... wszyscy byśmy za nim przepadali, niezważając, że ujmę honorowi żołnierskiemu uczynił.

Posłano po Michała.

Wszedł żołnierz wysoki, chudy, z wyrazem znużenia i smutku na licach, o oczach podsiniawych i zapadłych, o źrenicach jak węgiel czarnych, a palących się chwilami w głębi czaszki — pod czołem — jak dwie oddalone a groźne błyskawice. Wszedł i wyciągnięty jak struna, stanął przy drzwiach.

— Będiesz diad'ką nowo przybyłego do roty, Stanisława Karolowicza Mowelskiego. Rozumiesz? — rzekł do niego feldwebel.

— Słucham

— On ci za to zapłaci.

— Słucham.

Staś zbliżył się do biedaka, więcej podobnego do automatu niż do człowieka.

— Czyście przypadkiem nie z Krasnosójek, Michale?

Żołnierz wtedy dopiero spojrzał na Stasia.

— A z Krasnosójek — odparł sucho.

— I nie poznajecie mnie?

Michał wpatrywał się czas jakiś w interlokutora. Milczał i przypominał sobie.... Nagle wrzasnął boleśnie, a w tym wrzasku odbiło się żałosne echo tęsknoty za strzechą rodzinną, za swoimi, za wszystkim, co za sobą pozostawił. Tak przynajmniej krzyk ten Stanisław sobie tłumaczył.

— Staś!... panicz jasnego brata! — zawołał i dodał po chwili, błędnym tocząc wzrokiem: — A panicz co tu robi?

— Widzisz, mam być takim jak ty żołnierzem, ty zaś moim diad'ką, nauczycielem...

— Powiedz sługą, bo gdzież mnie charłakowi równać się z paniczem.

Szepnął cichuteńko:

— Ja tu paniczu od psa gorszy.

Feldfebel nie dosłyszał tych wyrazów, ale zrozumiał, że Michał musi się uskarżać, huknął zatem na niego z góry gromko i gniewnie:

— Co za konszachty! Patrzajcie, jaki mi konfident!.. Precz, won, za drzwi... tam czekać... na dworze.

Żołnierz obrócił się — jakby poruszony sprężyną, wyprostowany jak lalka drewniana — i wyszedł.

— Nie trzeba z nim być poufale, bo powiadam, że to kanalia

Odsapnął i dodał:

— Możesz iść spać. Ten *brodiaga*, co czeka za drzwiami, wskaże ci przeznaczone miejsce do spoczynku. Jutro zaczniesz się obznajamiać z służbą. Rano, przyjdź do kancelaryi, kiedy tak kazał kapitan... A teraz dobranoc.

— Dobranoc — rzekł Staś, kłaniając się ze swobodą nie posiadającą jeszcze cechy wojskowej sztywności.

— Dobranoc — dorzucili chórem pisarz i dwaj starsi szeregowcy.

Na dworze — smutny, zadumany czekał na niego Michał. Staś go spostrzegł i chwycił życzliwie za rękę.

— Jakie szczęście, że zostaliście moim dziadka, będę mógł z wami rozmawiać...

— Szczęście i nieszczęście paniczu — przerwał. — Tu mnie wszyscy nie cierpią... Jak będziecie dla mnie dobrzy to i na was złość się ich obróci.

— Jakże nie mam być dla was dobrym, wszakże my swoi... wśród obcych.

Szli drogą ku koszarom.

— Kiedy wstąpiliście do wojska?

— Bogać ja tam wstępował!... Wzięli paniczku w rok po waszym wyjeździe z Krasnosójek, w rok po owym pożarze, co to dwór i gumna się spaliły... Pana i gumienego włóczyli po sądach; chcieli ponoś dochodzić wedle podpalenia, ale nic nie dowiedli... Miałem właśnie żenić się z Kaśką ze dworu...

— Z Kasią, która mi życie uratowała wynosząc z płomieni?

— A ino... Przyszła branka. Popędzili rekruta w kraj daleki, a z rekrutami i mnie w kupie. Cno mi było za chatą, za rodziną, za Kaśką, bom ją szczerze lubił... nawet miłował. Serce mało z żalu nie pękło. Pewnego dnia coś się tak mózgu uczepiło, że rady sobie dać nie mogłem. Jakieś poduszczenie wciąż szeptało do ucha „uciekaj i uciekaj“... Chciałem czarną myśl przespać, zapić... ani spanie ani picie nic nie pomogło... Zebrałem się w nocy i uciekłem... Trzy tygodnie biegłem w stronę zachodzącego słońca nockami, o zmroku i świtem, w dzień kryjąc się jak zwierz po lasach, po borach, dołach i jarach, żeby mnie nie schwytali. Pilno mi było jak do zbawienia, a znalazłem

piekło i zatracenie. Nakoniec zmęczony, podrapany od gałęzi, wynędzniały, prawie o siłę ostatku, przywlokłem się do Krasnosójk... ale cóż?... zastałem Kaśkę wydaną za innego....

— Biedny! — szepnął Staś i ze współczuciem ścisnął dłoń Michała.

— Ojcowie pomarli, chałupę z gruntem siostra i szwagier objęli jak swoje. Kiedy się upominałem, grozili, że mnie zaskarżą przed urzędem i panem naczelnikiem. Wszyscy ludzie w siole patrzyli na mnie jak na wilka, bo się kryłem, bo byłem zły i chmurny. Józek gumieny powiedział mi kiedyś: „Głupiś! czemu uciekałeś z próżnymi rękami. Kto chce na tym świecie robić podług swojej głowy a nie słuchać cudzej woli, musi mieć kaletę pełną, a tyś goły!“... Istotnie nie miałem i złamanego grosza przy duszy... Cno mi było znowu, chciałem się utopić z rozpacz, ale właśnie w owym czasie panowała zawierucha wojenna. Tego i owego werbowano do powstania. Myślę sobie: mam głowę położyć, to już lepiej na swoich polach... Wybierał się pisarz, gorzelany i organista... Nasz pan poszedł pierwszy ...

— Wuj poszedł? — przerwał Staś, słuchający opowiadania z gorączkowym zajęciem.

— A ino... Z panem i ja ruszyłem. Przypytali my się do jednego znacznego oddziału; nie mieliśmy tylko czasu się umundurować. bo naszych zaraz obsaczono... Rozpoczęła się batalia... Pan na bułanku, siwiuteńki jak gołąbek, jechał ci naprzód ładnie, szabelkę dzierżył w ręku i zachęcał, żeby się trzymać!... lecz dostał kulą w same piersi, zleciał z konia i nie powstał już więcej.

Łzy zakręciły się w oczach Stasiowi.

— Kubuś! wujaszek poczeiwy!... zginął jak rycerz... Poległ śmiertelnie ugodzony, powiadacie?

— Jak padł, tak ani zipnął, proszę panicza.. Przynajmniej się nie męczył... Dobrze było panisko, świeć mu Panie Boże nad duszą.

— Mówcie dalej.

— Człowiek, chociaż dawał folgę smutkowi, bijąc się po chłopsku, ostrożnie ale szczerze, na nic się ta ubijatyka nie zdała, bo nasi rozproszyli się nie ze strachu, a ino ze złej komendy i z tego, że nikt w bandzie musztrować się nie umiał.. Po przegranej, każdy, gdzie dopadł, szukał schronienia. Ja przespałem się w stogu siana, na łące, bom był swojak i wiedziałem, gdzie najbezpieczniej.. Nazajutrz rano myślę sobie: pójdę, zaciągnę się do innej bandy. Idę i idę, idę i idę... dzień, dwa, trzy... nigdzie oddziału ani śladu i powstańców nie widać. Czwartego dnia wieczorkiem kręcę się koło jakiejś wsi nieznaney, penetrując w duchu: „wejść do niej czy nie wejść!“ aż tu kozacy otaczają mnie dokoła. Byłem jeden, bezbronny... a ich dziesięciu. Wzięli, ręce związali, sprali plecy nahajkami i przyprowadzili przed starszyny, przed pułkownika, majora i wielu innych. Ci, jak zaczęli mnie macać, jak zaczęli dopytywać tak się przyznałem...

— Przyznałeś się?

— A juści, przyznałem się, ale ino do tego, że uciekłem z wojska, a o tem, że byłem w powstaniu, nie pisałem i słówka. Odesłano mnie do twierdzy i tam złożono nademną sąd wojenny.. Chcieli mnie skazać na rozstrzelanie, bo jako to była wojna; ale jeden ponoś uparł się przy swoim i tak radził, tak radził, tak gadał, tak gadał, że ułaskawili.. na sześć lat rot areztanckich! Oj! lepiej by może zrobili, gdyby zabić kazali, bo com ja się biedy najadł tam i tu, tego

opowiedzieć nie sposób, a zatracenie jakies wciąz mi miesza zmysly. Widzisz paniczku, dlugo prosilem Boga, zeby zabral dusze z ciała, ale Bóg nie wysluchal, a w sercu robak smutku i rozpaczy gryzie i gryzie.. Zrobilem sie czortem; za czorta wszyscy mnie tu maja.. Kiedy na swiecie ten tylko cos znaczy, co ma kalletę nabitą, wiec zbieram kopiejke do kopiejki, zeby uzbierawszy i wyszedlszy z wojska jak nalezy, bo juz teraz uciekac nie myslę, wrócic tam.. do nich.. do Krasnosójek i kazać się im poklonić przed memi rublami. Wszystkim pokazać muszę, co może ten, co pomsty szuka.

Tak biedny Michał opowiadał Stasiowi swoje przygody. Ten starał się goić rany jego serca przyjaznymi słowami. Chciał to serce rozdarte i napojone żółcią wyleczyć, chciał duszę pragnącą zemsty uczynić uległą uczuciom miękkim, domagał się od niego zapomnienia win rodziny i przebaczenia. W początkach jednakże rzecz nie była łatwa. Michał twardo stał przy swoim. Nienawiść zrosła się z istotą moralną nieszczęśliwego żołnierza. Za wszystkie krzywdy, doznane od swoich i obcych, pragnął choć raz w życiu zapłacić z lichwą. Dla tego też jak sknera zbierał pieniądze. Dostawał je od rekrutów jako diad'ka, zarabiał od oficerów, używających go do szczególnych posług, jako wielce sprytnego i prawornego. Temu nędzarzowi zdawało się, że posiada skarby nieprzebrane, a to co miał, nie wynosiło jeszcze całych stu rubli. Koledzy go nie lubili, bo nigdy żadnego nie zaprosił na wódkę, nigdy nikogo nie uczęstował, choćby cygarem Feldfeblowi — od czasu, jak z rot aresztanckich wrócił do szeregu — nie dał nic na obwinienie palca, pomimo oddawna praktykowanego zwyczaju, iż każdy żołdat, przynajmniej raz w rok, obdarzał najbliższego swego przełożonego —

z żołnierskich stopni — prezentem na Wielkanoc lub na gwiazdkę.

Pomimo tęsknoty za otoczeniem odpowiadającym więcej jego potrzebom duchowym i usposobieniu, pobyt w rocie nie wydawał się Stanisławowi zbyt przykrym. Przedewszystkiem, bez z góry ułożonego planu, bez zarozumiałości propagatorskiej i sztucznego kaznodziejstwa, oddał się cały umoralnieniu Michała. Zadanie to — które komu innemu wydałoby się może ciężkiem i niemożliwym — dla Stasia było rozrywką przyjemną, gimnastyką duchową.

Biedny męczennik przywiązywał się powoli do swego „panicza-rekruta“, w nim bowiem i przez niego odyskiwał część tego co utracił, z nim myślą powracał do rodzinnej wioski, z nim modlił się zamiast przeklinać, przez niego otrzymał pewne ulgi i obchodzenie się łaskawsze. Nie obciążano go jak dawniej zbyt nużącymi i wstrętnymi pracami. Dzięki wstawiennictwu Stasia, nie był zmuszony do codziennego czyszczenia kloak, czynności i obowiązku, który, przedtem, jego tylko był udziałem.

W kilka dni po zainstalowaniu Stanisława w „rotnej-kancelaryi“ — gdzie często rysował z natury a nawet malował studia i szkice, zabrał bowiem z sobą z miasta farby, pędzle, papier i płótno — przybył na Powązki Goldenkrantz, znał bowiem kapitana od saperów i pragnął dobrze go usposobić dla swego protegowanego.

Arseniusz Igorowicz Jakowlew był człowiekiem światowym, wychowanym starannie, miłym i uprzejmym. Lubił się bawić, bywał często u Goldenkrantzów, a wiadomo, ile dom ostatnich przedstawiał warunków przyjemnej zabawy. Przyjął pociesznego bankiera *à bras ouverts*. Dowiedziawszy się w toku rozmowy, iż rekrut,

który zwrócił jego uwagę przy pierwszym apelu, nie tylko jest Francuzem, ale nadto i artystą pełnym talentu, sam oświadczył panu Ignacemu, że w papierach Stanisława znajduje się pewna nieformalność, jaką przy staraniach i wyjątkowej łasce możnaby na jego korzyść wyzyskać, otrzymując dlań w wysokich sferach uwolnienie od służby.

— Niech pan jednakże nie o tem interesowanemu nie wspomina, byłoby bowiem rzeczą niewłaściwą, a może i niedelikatną, budzić w jego umyśle nadzieje, które może nie dadzą się urzeczywistnić.

— Bądź pan kapitan spokojny, ja.... hi, hi, hi.... milczeć umiem jak szczupak. Nawet słówkiem przed nim się nie zdradzę. Niech to będzie dla niego.... hi, hi, hi... siurpryza.

— Swoją drogą porób pan przedstawienia, które ja poprę bardzo gorąco, bo chociaż z radością widzę w armii naszej ludzi wykształconych i przyzwoitych, a z roty mojej pragnąłbym uczynić *une compagnie modèle*, rozumiem, iż państwo większą odniesiecie korzyść z jednego znakomitego malarza, niż nawet z najlepszego żołnierza.

— Podzielam zdanie pana kapitana zupełnie, zwłaszcza, że przekonany jestem, iż Stanisław.... hi, hi, hi.... może być tylko nader miernym żołnierzem.

— Zatem.... ani słowa.... *c'est entendu, n'est-ce pas?*

Goldenkrantz uderzył dłonią w podaną sobie dłoń przez dowódcę.

— Hi, hi, hi.... *c'est entendu*.

— A teraz, jeśli pan sobie tego życzy, pójdziemy zobaczyć *votre artiste-soldat*.

— Chętnie.... hi, hi, hi.... chętnie. Miałem właśnie o to prosić.

W kancelaryi Staś malował starego szeregowca, o ogorzałej od słońca i wichrów twarzy, jednego z tych, co to walczyli w Azyi, na Kaukazie, w Turcyi i przebyli oblężenie Sewastopola. Ustawił go z karabinem w ręku, w takiej postawie, jakby szedł na bagnety. Pisarz i feldwebel przypatrywali się postępowi roboty ciekawie. Kilku żołnierzy — obojętnych na wrażenia artystyczne — siedziało na ławie pod ścianą. Gwarzyli o wojnach spodziewanych i upragnionych, o odwadze Francuzów, o flegmatycznym spokoju Anglików, o dzikości Turków, o chytrłości Niemców, o ich doskonałych wynalazkach wojennych, o dalekonośnych sztucerach, armatach bijących celnie na mil kilkanaście, bombach zmiatających naraz całe bataliony.

— Jużto nie ma chytrzejszego narodu od lutrów — prawil jeden — to też chytrością w wojnie zwyciężają.

— Ot! niedawno zadali Francuzom bobu, że „biedniaszki“ długo go popamiętają.

— Szkoda Francuzów, bo to przecie nasze druhy.

— Ta i szkoda ... ale na niemiecką chytrłość nie ma środka.

— Cóż dziwnego?... przecież przysłowie powiada, że chytry Niemiec na utrapienie ludzkie, nawet małąpę wymyślił.

— Oj! wymyślił... i jeszcze więcej utrapień wymyśli, aby tylko sąsiadom zaleźć za skórę.

— Nam tylko nie zalezie, bo naszego brata nie zwalczy ani siłą, ani podstępem.

— Ta to i prawda, chwała Bogu.

— Chwała Bogu, i naszej sławnej armii.

— Dobrze mówisz... i naszej sławnej armii.

Drzwi się rozwarły; wszedł kapitan z Goldenkrantzem.

Wszyscy się uciszyli, jakby makiem zasiał. Żołnierze, feldwebel, pisarz i Stanisław powstali i wyprostowali się, sztywnie na szwy opuszczając ręce.

Jakowlew skinął na Stanisława, aby usiadł.

— Ty siadaj — rzekł — bo ty malujesz — a zwracając się do pozującego, dodał — i ty pozostań w pozycyi, bo ciebie malują.

Feldfebel, pisarz i żołnierz spojrzeli po sobie ukosem, tak im ten dowód łaski dla rekruta wydał się dziwnym i sprzecznym z wszelkimi rozsądnymi pojęciami o regulaminie i dyscyplinie wojskowej.

Dowódca, przez ramię artysty przyglądał się rozpoczętemu studyum z natury.

— Panie Goldenkrantz — szepnął — miałeś słusność... *il a du talent.*

Rozmowa, prowadzona w języku francuskim przez Arseniusza Igorowicza, bankiera i Stasia, popłynęła szerokiem łożyskiem. Mówiono o sztuce, o wielkich artystach, o szkołach malarskich, o ich różnicach i piętnach, jakie charakter narodowy i duch czasu na nich wycisnął.

— Musisz przyjść do mnie — powiedział kapitan do młodego malarza — pokażę ci moje rysunki, bo i ja ale w wolnych chwilach od zajęć, poświęcam się sztuce... tylko jako amator.

Po półgodzinnej, bardzo ożywionej i bardzo swobodnej konwersacyi, Goldenkrantz pożegnał się ze Stasiem i wyszedł, przeprowadzony do powozu przez uprzejmego kapitana.

Prawie na wsiadaniu, uścisnął życzliwie rękę Jakowlewa.

— Pan jesteś... hi, hi, hi... istotnie dobry człowiek.

— A! proszę mnie nie przeceniać. Robię to, co każdy zrobiłby na mojem miejscu. Zajmij się pan sprawą swego protegowanego w Petersburgu... Niemal pewny jestem, że go zdołasz uwolnić. Warto, warto... talent prawdziwy, istotny, który tu musiałby się zmarnować

— Chwili nie stracę. Telegraficznie... hi, hi, hi... elektrycznie wezmę się do dzieła.

Już siedząc w powozie, prosił:

— Pozwolisz mu łaskawy dowódco... czasem... w niedzielę... hi, hi, hi... lub święto mnie odwiedzić. Nieprawda, że pozwolił?

— Bez najmniejszej trudności. Każdy żołnierz ma prawo, raz w miesiąc, do dwudziestoczterogodzinnego urlopu, a jak teraz, to i częściej; dlaczegożby on, który zachowaniem się swoim zasługuje na względy, miał być z pod prawa tego wyjęty.

— Dziękuję... hi, hi, hi... do widzenia.

— Do widzenia.

W kancelaryi, po wyjściu dostojnych gości, panował jakiś przymus.

Feldwebel i pisarz, którym zaszczytne wyróżnienie rekruta, bądź co bądź, zaimponowało mocno — starali mu się nadskakiwać i przymilać, widać jednak było, że to przymilanie i nadskakiwanie nie idzie im sporo i szczerze. Zazdrość zaczęła nurtować w sercach tych ludzi, którzy z podziwu wyjść nie mogli, że dowódca honoruje takie zero, takie nic w hierarchii wojskowej, jak Stanisław, dla tego tylko, że „przybłęda“ umie mazać „kraskami“ po płótnie.

— Czort wie co — szeptali do siebie w kącie — głupcowi w głowie przewraca. Jemu się może teraz zdawać, że nam równy... Tfu! tak dawniej nie bywało.

Nie ma dumniejszej arystokracji i bardziej nadętych uprzywilejowanych jak szary koniec arystokratyczny i najniżsi z uprzywilejowanych. Jedni i drudzy nie lubią otwierać swoich kadrów dla intruzów, a szczególnie dla intruzów z talentem, choćby z tego tylko powodu, aby przez porównanie z przybyszami nie przestali być wielkimi w swojej małej parafii.

Od wizyty kapitana i Goldenkrantza, stosunki Stasia z najbliższem otoczeniem — jakkolwiek powierzchownie zawsze dobre — stawały się coraz bardziej naciągnięte. Już nie tak łatwo otrzymywał dla Michała jakieś ustępstwo, lub łaskę. Przy prośbie o wyjście na miasto w niedzielę zachodziły pewne trudności, do musztry wzywano go częściej niż dawniej; rewizya broni odbywała się surowo i ściśle. Najdrobniejszy ciemny punkcik na lufie — mniej więcej do rdzy podobny — wywoływał głośnie strofowanie i groźby aresztu.

Broni Staś sam nie czyścił, tylko Michał, a Bóg świadkiem, jak biedny diad'ka starannie czynił zadość obowiązkowi, aby jego „panicz kochany“ nie był narażony na najłżejszą przykrość. Przykrości jednak i dokuwania mnożyły się z dniem każdym.

Skryta, cicha, tajona niechęć zataczała szerokie koła, których centrem był młody artysta. Wprawdzie nie śmiała jeszcze wybuchnąć jawnie, bo u góry Staś był jak najlepiej widziany, ale krążyła wśród roty i rozgoryczała dlań umysły, zwłaszcza, że zarobek jego, zmniejszający się od pewnego czasu — obrazki bowiem obecnie malowane nie miały wcale pokupu na wystawie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych — urwał się nagle i zupełnie. Stanisław, pozbawiony pieniędzy, nie mógł fundować towarzyszom i obdarzać feldwebla.

Każdy objaw życzliwości kapitana dla „przybłądy“ — tak go nazywali żołnierze — przyjmowano w rocie szyderczemi żartami i niezadowolaniem.

Pewnego dnia dowódca, znalazłszy w klubie oficerskim dziennik ilustrowany rosyjski z drzeworytową reprodukcją jednego z obrazów Stanisława, zebrał kolegów — nawet wyższych od siebie stopni — i sprowadził do „rotnej kancelaryi“, aby pochwalić się „swoim malarzem“. Wszyscy podziwiali artystę, unosili się nad jego talentem, zachęcali do pracy i wytrwania.

Sołdatów irytowało to niepomąłu.

Drzeworyt pojawił się w petersburskiej „Niwie“, bo go tam Goldenkrantz umieścił, nie zawiadamiając nawet o tem Stanisława. Potrzebnem mu to było do jego planów i zabiegów wyswobodzenia młodzieńca z wojska, planów bliskich urzeczywistnienia, popierane były bowiem żarliwie przez koło ludzi wpływowych, miłujących sztukę szczerze, a którym „Gęsi na pastwisku“ i „Wieczera wigiliowa w Ochronce“ — umyślnie przez bankiera wysłane do Petersburga — podobały się niezmiernie.

Uwolnić z wojska poddanego rosyjskiego, byłoby może rzeczą całkiem niepodobną, ale Francuz (w przekonaniu wszystkich Staś był Francuzem), przez pomyłkę tylko objęty listą poborową, mógł liczyć na najzupełniejszą względność.

Goldenkrantz cieszył się i zacierał ręce, bo przyjaźń jego dla Stanisława — a może i trochę miłości własnej, tym razem ze wszech miar wytłómaczonej — popchnęły go do starań niełatwych, wymagających wielkiego taktu i zręczności, trwających już kilka miesięcy — wiosnę, lato i jesień — i mających właśnie rozstrzygnąć się ostatecznie około Bożego Narodzenia, według nowego stylu. Poczciwy bankier nie posiadał

się z radości, miał bowiem nadzieję, że „na gwiazdkę“ ofiaruje Stasiowi uwolnienie. najpiękniejszy i najwspanialszy prezent, jakim go mógł obdarzyć.

Potrzebował go wielce nasz bohater, nad głową jego bowiem wisiała nowa czarna chmura, zapowiadająca burzę i pioruny.

Było to jakoś w parę tygodni po świętym Marcynie. Wczesna zima zawitała z wichrami i mrozem. Pola powązkowskie zasłał biały całun śniegu; szron ukryształił gałęzie drzew i krzewów.

Do ogrzanej i lampami naftowymi oświeconej kancelaryi wszedł Michał. Oprócz Stanisława nie było w niej nikogo.

Młodzieniec na drzewku ilustracyjnem rysował las krasnosójecki, a pod nim polankę prawie nagą, kamienistą, tu i ówdzie tylko porosłą dziewanną i macierzanką. Na niej wyrastał nad poziom gruntu wysoki mur fundamentu pod budującą się karczmę. Z pośród czworoboku wybiegał w górę komin z cegły, oparty na pękatym piecu. Na poprzecznej belce, wspierającej się na dwóch przeciwległych bokach podmurowania, oparta o ów piec szeroki, stała Jania.

Staś utonął cały w drogich sercu wspomnieniach, tak że nie usłyszał skrzypnięcia drzwi i ciężkiego kroku diad'ki. Żołnierz musiał aż odkaszlnąć, aby zwrócić na siebie uwagę rysownika.

— A co tam Michale? — spytał młody artysta, odsuwając drzewko i kładąc ołówek na stole.

— List do panicza.

— Z miasta?

— Nie, pocztowy, bo są na nim marki zagraniczne.

Listy z Krakowa, adresowane były ciągle do dawnego mieszkania Stasia w Warszawie, nie zdobył się on bowiem dotąd na odwagę zawiadomić Bolewską,

że służy w wojsku. Odwlekał z dnia na dzień, uprosiwszy rządce domu, aby korespondencyę odbierał i przysyłał mu do obozu, przez okazyę.

— Marki zagraniczne, to pewno z Krakowa, zawołał. — Od babki, z Paryża otrzymałem pismo wczoraj, nie może więc być zkąd inąd, tylko z Krakowa.

Michał podał mu kopertę.

Staś rozdarł ją żywo. List był istotnie od Bolewskiej. Spojrzał na datę.

— Tydzień!... już tydzień, jak wyszedł... Czy na poczcie zalegał, czy rządca przetrzymał?!

Zaczął czytać.

„Drogie moje dziecko! — pisała staruszka — kreślić muszę te wyrazy pospiesznie, bo ani na chwilę nie opuszczam naszej kochanej Jani, która przed dwudziestu dniami zasłała mocno i leży w łóżku. Nie chciałabym cię martwić, ale chora wymaga, abym ci doniosła o jej niebezpiecznym stanie zdrowia. Jest wprawdzie obecnie trochę lepiej, ale może to tylko chwilowa ulga. Pragnie się widzieć z tobą, twierdzi bowiem, że ma ci donieść coś bardzo ważnego, mogącego wpłynąć korzystnie na przyszłe twoje losy. Użyj zatem wszelkich starań, aby pasport otrzymać i przybywaj do nas jak najspieszniej.

Czule cię kochająca przybrana matka

Irena.“

Staś zbladł jak chusta. W wyobraźni jego, łatwo stwarzającej obrazy, wnet przed oczami duszy stanęła postać chorej Jani, leżącej w pościeli, skinieniem ręki przywołującej go do swego łóżeczka. Serce ścisnęło mu się okropnie.

— Coś w liście niedobrego, paniczu... prawda?

— Bardzo niedobrego. Muszę wyjechać choć na tydzień, choć na dni parę, a nie wiem, czy na taki

czas urlop dostanę — i zaciskając zęby, bo ból straszny rozdzierał mu piersi, szeptał cicho — Jania! moja Jania chora! co ja pocznę nieszczęśliwy!

— Oj! paniczku, urlopu nie dostaniecie, bo żołdacy mają prawo tylko do dwudziestocztero-godzinnego wypusku. Ale choćby i nie to... choćby paniczku złoty, kapitan nasz, ludzki człowiek, wdał się w tę sprawę i zrobił dla was wyjątek, to jest inna bieda, bo ta nigdy nie przychodzi sama... Za jedną, ciągną drugie jak kruki i wrony.

— Cóż znowu?.. co się stało?

— Żle... całkiem źle...

— Mów, proszę cię spiesźnie. Oczekiwanie w takim niepokoju, gorsze od najprzykrzejszej rzeczywistości.

— Ha! ja powiadał, że jak będziecie dla mnie dobrzy, paniczku miły, to te psy przeciw wam się obróca.

— Cóż mi zrobić mogą?

— Mogą, mogą paniczku... bo już nawet zrobili.

— Co zrobili?

— Wiecie, że zaraz po naszych świętach ma być *smotr* broni?

— Wiem.

— Otóż karabin wasz...

— Mój karabin?!... Przecież ty masz o nim staranie i utrzymujesz go czysto.

— Ja go czyszczę jak najporządniej... ale oni wlali coś gryzącego w lufę, tak, że wewnątrz... cały... rdza obsiadła... i doczyścić się nie mogę.. Biedna moja głowo! biedna moja głowo!

— Nie będę przecie odpowiadać za cudzą psotę?

— Och! paniczku tak... Będziecie odpowiadać, bo śledztwo nie wykryje sprawcy, gdzie wszyscy w zmo-

wie, a wszyscy przeciw wam w znowie... nienawidzą was, zazdroszczą wam... Prawo wojenne powiada, że każdy żołdat winien sam o swym karabinie pamiętać... Karabin należy do skarbu, a ze skarbem żartów nie ma.

— No, cóż wreszcie straszego?... Wsadzą mnie na dwa lub trzy dni do kozy...

— Ta to właśnie, że przy takiej sprawie nie o kozę chodzi, bo tu u nas choć wojny nie ma, „liczy“ się „położenie“ wojenne.

— Co mówisz?

— A tak proszę paniczka, jak mi Bóg miły, mówię prawdę.

— Za zniszczenie broni czeka mnie zatem?...

Urwał i wyteńczył słuch, czekając na odpowiedź.

— Sąd wojenny... i...

Michał skończyć nie śmiał.

— I... i... — powtarzał Staś za nim.

— I roty aresztanckie.

Żołnierz westchnął, jakby to, co powiedział, przysięgnęło mu piersi kamieniem.

Stanisław, przed chwilą jeszcze niby trup blady, pokraśniał cały na twarzy. Z opowiadań Michała wiedział, czym są roty aresztanckie. Krew nabiegła mu do skroni, a w nich tętna waliły jak młoty, napełniając mózg jakimś szumem nieznośnym. Ogrom nieszczęścia — choroba Jani i wiadomość diad'ki — spadły nań tak niespodzianie, tak gwałtownie i nagle, że nie mógł zebrać zmysłów i zdać sobie sprawy z położenia bez wyjścia, w którym się znajdował.

Na myśl mu nie przyszło, czynić biednemu żołnierzowi wyrzuty.

Przez złe obchodzenie się ciotki Weroniki na wsi, przez despotyzm i okrucieństwo ojca, przez długie dokuczanie i niechęć kapryśnej matki, wytworzyła się

w jego charakterze spokojna bierność i uległość, pełna olbrzymiej, nieskończonej cierpliwości, dominującej nad temperamentem żywym. Jak dawniej, tak i teraz, poddawał się naciskowi z góry, biegowi wypadków. Szedł kolejną wyżłobioną przez zdarzenia. Czynił, co mu kazano, nie sprzeciwiał się, nie przeczył... ale w tak anormalnych jak obecna chwilach, odzyskiwał stanowczość wrodzoną. Szybko się decydował; tworzył postanowienia, rodzące się w jego umyśle jak błyskawice, i słuchał głosu serca — tylko serca.

Serce obecnie nakazywało mu lecieć do Jani chorej, choćby przez ciernie i głogi, choćby z narażeniem życia własnego... W jednej chwili powiedział sobie w duchu:

— Nie ma rady... Ucieknę.

Doprowadzony do ostateczności, — jak żółw w skorupie, zamknął się w swym uporze, którego by już teraz nikt nie zdołał przełamać.

Michał wpatrywał się w swego panicza z obawą i smutkiem.

— Cóż zrobimy? — zapytał.

— Ha!... ucieknę — głośno powtórzył Staś swój zamysł.

Zołnierz chwycił się za włosy obiema rękami.

— Bójcie się Boga paniczu, nie mówcie tego... to śmierć, to rozstrzelanie, a w najlepszym razie, aresztanckie roty.

— Które tak czy tak mnie czekają, które mnie nie miną.

— Ale was złapią.

— A może nie złapią.

— Nie znacie drogi.

— Pojadę kolejną, prosto jak strzelił do samego Krakowa.

— Nie macie środków.... pieniędzy.

— Pożyczę w Warszawie. Poproszę kapitana, aby mi pozwolił pójść jutro do miasta.... tam pożyczę.

— Och! nie, nie.... nie róbcie tego. Jeszcze kto wyda, zadenuncjuje....

„Wyda“, „zadenuncjuje“ — te wyrazy przykrym dźwiękiem obłyły się o uszy Stasia.

— Któżby był tak podłym! — szepnął cicho.

— Podłych nie sieją paniczu, sami wyrastają jak kąkol, jak chwast i pokrzywa.

— Cóż począć?... ja muszę uciekać.

Michał wiedział, co to poduszczenie, wołające: „uciekaj! uciekaj!“

— Chcecie nieodmiennie? — zapytał.

— Koniecznie.

— Bez zawodu?

— Stanowczo.

— To ja wam dam pieniędzy paniczku ... pożyczę.

Sknera, który grosz każdy ciężko uzbierany szanował jak żyd Boskie przykazanie, który najsroźszej przykrości osobistej nie okupiłby naruszeniem kopiejki ze swego skarbu, sam oświadczył gotowość przyjścia Stasiowi z pomocą, sam dobrowolnie kapitalik swój nadweręzał. Stanisław zrozumiał cały ogrom tego poświęcenia i rzucił się Michałowi na szyję.

— Mój dobry, mój poczciwy Michale — mówił ze łzami w oczach.

— Ta cóż, proszę panicza.... głupstwo! Człowiek dziś żyje, a jutro gnije... Wyście mi dali spokój duszny, nauczyliście ofiarować cierpienia Przenajświętszej Matce Częstochowskiej... a ja miałbym wam żałować parę *bumażek*.... Ot! powiedzcie, ile potrzebujecie?

— Dziesięć rubli wystarczy.

— Mało... bo potrzeba będzie zmienić odzież. W szynelu uciekać nie możecie... A bilet na kolej, a temu, co przez granicę przeprowadzi, bo przez granicę musicie iść piechotą.

Zkąd o tem wszystkim Michał wiedział, o czem Staś nawet nie pomyślał?

Ba! biedny żołnierz, ile razy feldwebel zalał mu sadła za skórę, rozważał nad swoją nędzą i układał plan nowej dezercyi. Za każdym wyjściem do miasta, ostrożnie, z ogródkami, rozpytywał się konduktorów, podróżnych z trzeciej klasy, maszynistów, chłopów z nad granicy. Teraz widząc, że nie on lecz panicz ruszy pierwszy w drogę, cały zapas wiadomości i nabytego doświadczenia pragnął na niego przelać.

— Mało będzie dziesięć rubli — powtórzył.

— To piętnaście.

— I piętnaście nie wystarczy.

— Więcej nie wezmę — zawołał Stanisław — a tożbym sumienia nie miał obdzierać ciebie, biedaku....

— No, no.... Sumienie swoją drogą, a pieniądze swoją.... pogadamy o tem później. Teraz ino rzecz całą trzeba ułożyć.... Pozwólcie paniczku usiąść, bo nie domagam, a zresztą siedzący można mówić ciszej.

Teraz dopiero spostrzegł się Staś, że od wejścia Michała i przeczytania listu, ciągle stali.

— Siadajmy — rzekł — siadajmy. Przepraszam, zem cię tak długo trzymał na nogach, ale w głowie mi się mięsza i kręci jak w trybunale... nie wiem, co robię.

Siedli na ławce obok siebie. •

— Do soboty, od dziś za tydzień, trzeba siedzieć cicho, jak mysz pod miotłą.

— Nie mogę... nie wytrzymam... Tam Jania chora czeka na mnie... List się spóźnił... gdybym tak długo pozostał, oszalałbym chyba.

— Nie ma to sposobu paniczku... inaczej nie ręczę za powodzenie — rzekł Michał, biorący powoli przewagę nad Stasiem. — Pojedziecie, ale was złapią.

— Dla czego?

— Bo żeby się wybrać jak należy, potrzeba dwóch dni urlopu, a taki urlop, dla was wyjątkowo da kapitan sam... nie feldwebel... tylko na dwa święta. Otóż zaraz po niedzieli... w poniedziałek... przypada Niepokalane Poczęcie Najświętszej Panny Maryi... Z niedzielą razem dwa święta... Rozumiecie paniczku?

— Rozumiem.

— W sobotę wieczorem pójdziecie do Warszawy i kupicie na żydach cywilną odzież... Powiecie, że kupujecie dla młodszego brata... Na Nowiniarskiej, z a r a po szabasie kilka ławek odmykają, tuż koło Franciszkańskiej... Z tandety ruszycie na Marszałkowską, tam je zajazd, mnie znajomy, pod Maszyną parową... w nim się przebierzecie i hajda koleją w drogę. W poniedziałek wieczorem nie stawicie się do apelu... ale to już furda, pustia ki, niech szukają wiatru w polu... wy już będziecie gdzieś daleko zagranicą.

— Dobrze, dobrze... wszystko spełnię co do joty.

— A ino!... inaczej nie można. Na granicy... w izbie trzeciej klasy... siedzi zawsze żydek rudy, nazywa się Icek Mursz, szwarcownik... on was suchą nogą przeprowadzi do Austrii...

Staś uściskał dłonie żołnierza.

— Jakaście to dobrze ułożyli mój Michale. Żeby rok myślał, takbym pewno nie wymyślił.

— Bo paniczku, wy macie rozum z książki, a ja prosty chłop ot z tego, co mnie nieszczęście na-

uczyło ... Żydkowi Ickowi nie dawajcie więcej jak trzy
bumażki.

— Dobrze.

— No, zrobicie wszystko jak powiadam?

— Powtarzam, ani na jotę nic nie zmienię w ca-
łym planie.

— A przed feldweblem gadajcie, że mu przynie-
siecie prezent z Warszawy.

— Dobrze, dobrze.

— Minę musicie mieć wesołą ciągle ... Z żołdata-
mi za pan brat... o karabinie ani słówka, jakbyście
paniczku nic nie wiedzieli... Przy sposobności to je-
dnemu i drugiemu kupcie wódki, araku...

— Kiedy nie mam grosza przy duszy.

— Tak? !... Weźcie rubla.

Wsunął w rękę Stasia papierek.

— Michale! czem ja wam za waszą dobroć za-
płacę?

— Gdyby panicz miał płacić, tobym nic nie
zrobił... Ja już dawno zapłacony?

— Zapłacony?

— A ino!

Stanisław patrzył z rozrzewnieniem w pocziwą
twarz żołnierza.

— Jesteś dla mnie jak brat rodzony... Gdybym
miał brata, więcejby dla mnie nie uczynił.

— A bo, proszę paniczka, na świecie bywają
źli bracia...

Chmura przesunęła się po czole niedawno nawró-
conego mizantropa.

— I złe siostry — dodał szeptem — co człeka
wyganiają z ojcowej chałupy. Ale niech im to Bóg
przebaczy.

— Tak, tak, mój Michale.... niech im Bóg przebaczy.

— Niech się stanie wola Jego święta.

Przeżegnał się i powstał.

— Paniczku! tylko zaklinam, milczcie jak głaz, jak opoka.... No, idę wam posłać tapczan. Nie rysujcie już długo.... Teraz wysypiać się trzeba, żeby mieć sił dosyć do drogi.

Pożegnali się uściskiem.

Michał wyszedł. Staś pozostał z gryzącymi mózg myślami o Jani chorej, do której dusza wyrывała się, a ciało — skrępowane okolicznościami — czekać musiało na sposobną do ucieczki chwilę.

XV.

Dezert er.

Tydzień wydał się Stanisławowi rokiem.

Rachował godziny i minuty, nie spał, nie jadł, wybladł, zmizerniał, ale do instrukcyj Michała, dotyczących postępowania z kolegami, zastosował się zupełnie, tak, że nie ściągnął na siebie najłżejszego podejrzania.

Po południu, z bijącym sercem, udał się do kwatery kapitana, prosić go urlop na czterdzieści ośm godzin.

— Nie mogę — odparł dowódca — to się sprzeciwia regulaminowi i najświeższym rozporządzeniom. Udzielę ci pozwolenia udania się do Warszawy, ale tylko na jutro.

To powiedziawszy, powstał z siedzenia, zbliżył się do biblioteki, otworzył w dużej, dębowej szafie drzwi oszklone, wyjął spory pakiet rysunków i złożył na stole w pośrodku pokoju.

Staś, odmową kapitana zmartwiony, gryzł wargi niecierpliwie, lecz odezwać się nie śmiał. Czekał na interpelację lub zawiązanie się konwersacyi, jaką Jakowlew zwykle i chętnie z nim prowadził.

— Wspominałem ci już, że i ja rysuję, a nie pokazałem dotąd prac moich. No, zobacz teraz i osądź, tylko bez pobłażania.... surowo, sumiennie, szczerze.

Stąś przystąpił do stołu.

Przygotowany bądź co bądź chwalić — bo w pochwałach tych obecnie pokładał jedyną nadzieję otrzymania na dwa dni urlopu — odsłonił cienką, lśniąca bibułkę, przykrywającą pejzaż zimowy, śmiało dwoma kredkami nakreślony. Spojrzawszy — stanął zdziwiony. Nigdy przez myśl mu nie przyszło, aby amator mógł tak dzielnie, z taką prawdą i siłą odtworzyć naturę.

— To pan? — Poprawił się, czyniąc zadość etykiecie, obowiązującej w armii rosyjskiej. — To wielmożny pan zrobił?

— No, czy tak źle?

— Ale gdzie zaś, tak dobrze. Jabym nie potrafił narysować podobnego krajobrazu równie wiernie, z równą brawurą i swobodą, nielekającą się trudności technicznych. . Śliczne, bardzo piękne, doskonałe!

— Pochlebiasz.

— Nie, wielmożny panie, nie... Mówię nie jak żołnierz tobie podwładny, lecz jak artysta, jak człowiek uczciwy, którego zapytano o szczerze zdanie. Wypowiadam je otwarcie; wielmożny pan ma talent olbrzymi i grzechem jest doprawdy, że go marnujesz w wojskowej służbie... Kto, jak wielmożny pan, rozporządza materyalnemi środkami, kto posiada talent i majątek, powinien poświęcić się sztuce całkowicie.

Kapitan podał rękę Stanisławowi, ten jednak, krępowany dyscypliną, trzymał ramię opuszczone wzdłuż szynela.

— Jesteśmy sami... uściśnij.

Na licach Jakowlewa wykwitł rumieniec zadowolenia; oczy jego błyszczały niezwykłym blaskiem.

— Wdzięczny ci jestem, bo widzę, że mówisz z uniesieniem, z zapałem młodzieńczym, w wyrazach zatem twoich może mieści się trochę prawdy...

— Cała wielmożny panie... cała.

— Dlaczego zaś nie rzucam munduru i epoletów oficerskich dla stalug i pracowni malarskiej, to łatwo zrozumiesz, boś widzę szlachetny. Tobie, jako Francuzowi, wolno lekceważyć służbę w rosyjskich szeregach, jesteś bowiem obcy, cudzoziemiec; ja, jako Rosyjanin, nie mam do tego prawa... dla mnie ojczyzna musi być pierwszą od sztuki.

Staś milczał. Są chwile, kiedy milczenie bywa najwymowniejszą odpowiedzią.

Kapitan odsłaniał rysunek po rysunku.

Każdy posiadał jakieś niepowседневnie zalety, każdy miał wyższe, artystyczne, nieamatorskie znaczenie. Niektóre — wywoływały ze strony Stanisława uwagi, spostrzeżenia, czasem nawet naganę i krytykę, ale życzliwą i słuszną. Arseniusz Igorowicz niemal na wszystko się z nim godził.

Z dyskusyi artystycznej, wywiązała się towarzyska rozmowa — uprzejma, ujmująca.

Mniemaćby można było, że ci dwaj ludzie, rozdzieleni stopniem hierarchicznym i sprzecznymi aspiracyami, jak przepaścią, stoją na jednym gruncie, są dwoma przyjaciółmi z lat dawnych, że zeszli się na to tylko, aby wymienić między sobą poglądy w przedmiocie obu równie drogim, aby wzajemnymi podzielić się wrażeniami.

Życie składa się z takich sytuacji dziwnych i kontrastów tajonych, a wytworzonych różnicą ras, zapamiętań, potrzeb społecznych, narodowych nieporozumień, fałszywie pojętych interesów... Tylko nieraz najbystrzejsi nawet widzowie oglądają zewnętrzny zarys dra-

matycznego węzła, obserwują jedynie zwierzchnią stronę medalu, nie trudząc się obejrzeniem odwrotnej, bo o odwrotnej — chociaż bardzo ciekawa — nie zawsze mówić można.

Już się ściemniało, kiedy Jakowlew, pogrążony w abstrakcyi artystycznej (sztuka bowiem, jakkolwiek ją kochał, wydawała mu się abstrakcją wobec tego, co uważał za święty obowiązek), przypomniał sobie wreszcie, że Stanisław przyszedł go prosić o urlop.

— Jakże to tam z twoją wycieczką do Warszawy? chcesz koniecznie dwa dni zabawić?

— Muszę wielmożny panie. Pudełko z farbami, jakie z sobą tu do obozu przyniosłem, nie do mnie należy; mam go zwrócić, aby nabyć inne, które jeden z młodych malarzy, wyjeżdżający zagranicę, odstępuje mi tanio. To mi zajmie dosyć czasu. Pragnąłbym przytem oddać przed świętami wizyty obowiązkowe, zaopatrzyć się w sklepach żydowskich w drobne sprawunki...

— Ha! cóż z tobą robić! Daję ci upoważnienie do przepędzenia czterdziestu ośmiu godzin w mieście, ale pod warunkiem, że zostawisz swój adres w kancelaryi, aby feldwebel wiedział, dokąd po ciebie posłać, w razie nagłej i nieprzewidzianej potrzeby. Znajdujemy się jeszcze w położeniu wyjątkowem, a przyznam ci się, że wobec tego, nie mam prawa wydawać dłuższych urlopów nad *maximum*, oznaczone przepisami.

— Dziękuję wielmożnemu panu.

— Proszę, pokłoń się państwu Goldenkrantz odemnie... i nie zapomnij zostawić adresu.

Stanisław wybiegł z mieszkania dowódcy rozpromieniony, ale i z niepokojem w duszy. Bolało go, że zawiedzie położone w sobie zaufanie.

— Taka dola jednak! — szepnął z westchnieniem — cofać się nie mogę... kości rzucone.

Przed oczami jego duszy przesuwała się ciągle postać Jani, leżącej w pościeli. Zdawało mu się, że ta postać woła go do siebie skinieniem białej jak alabaster rączki.... Spieszył więc, jak wołany.

Feldwebel, na wiadomość, że Staś bawić będzie w Warszawie całą niedzielę i poniedziałek, skrzywił się gorzko i złośliwie.

— Nu; nie wiem jak to jeszcze wypadnie!... muszę sam zapytać kapitana. Jeśli tobie pozwolił, to dla czegożby i drugim nie miał pozwolić. Są tacy... inni... co także proszą o dwudniowy *wypusk*.

Szczęściem bohater nasz, trzymający się wiernie wskazówek Michała, wspomniał od niechcienia, że musi kupić koniecznie piękny prezent, który zamierza ofiarować komuś na Boże Narodzenie, komuś zajmującemu w rocie dostojne stanowisko. To wpłynęło niepomału na wypogodzenie się chmurnego oblicza małego dygnitarza.

— Czort cię zabierz — zawołał udobruchany, klepiąc podwładnego po ramieniu — kiedy zostawiasz swój adres, to nie będzie wielkiej biedy. Wyszukamy cię ptaszku w danym razie... Ruszaj, ruszaj faworycie oficerski. Oczarowałeś naszego kapitana... i mnie oczarowałeś. Musisz ty być chwat, jakich mało, albo wielka z ciebie kanalia!

Pożegnanie z Michałem trwało krótko, ale było bardzo czułe i serdeczne.

Pocziwy żołdat, chociaż udawał spokój a nawet obojętność, nerwowo, gwałtownie przycisnął swego „panicza“ do piersi.

— Niech Matka Boska Częstochowska prowadzi i doprowadzi szczęśliwie do celu.

Staś, pomimo nalegań żołnierza, więcej nad piętnaście rubli wziąć nie chciał.

— Nie chcę cię obdzierać — mówił — wiem, że to co dajesz, znacznie nadweręża twój kapitałik, nie wiem zaś, kiedy będę w możności uiścić się z długu.

— Tylko paniczu, na miłość Boską proszę, nie odsyłajcie mi pieniędzy... Jeszcze byście mnie zgubili.

— Nie, nie.... Rozumiem; posądzono by cię o znowę ze mną...

— A ino.

— Bądź zdrów drogi Michale, mam w Bogu nadzieję, że się jeszcze zobaczymy.

— Byle nie prędko paniczku; już lepiej na tamtym świecie niż tu.

I dodał ciszej.

— Tu, w tym obozie, niedobrze byłoby się spotkać!

Mrowie przebiegło po ciele Stanisława. Spotkanie w obozie oznaczało rotę aresztanckie... kto wie?... może rozstrzelanie.

Raz jeszcze ucałował Michała, wziął z rąk jego pudło z farbami i puścił się żwawo ku rogatek. Kiedy wszedł do miasta gaz już się palił w latarniach.

Znał Warszawę jak własną kieszeń, zaraz zatem za rogatekami skręcił na prawo.

Brudnymi uliczkami, gdzie nigdzie nawet niezabudowanymi, przemknął się szybko po pustych, bezludnych, śniegiem pokrytych chodnikach. Minąwszy parkany pochylone i odrapane mury, niskie dworki kamieniarzy i obszerne podwórza wypełnione ciosowymi krzyżami i pomnikami grobowymi, zbliżył się do bogatej, zwarto zabudowanej — niemniej jednak brudnej — dzielnicy, przeważnie przez żydów zamieszkałej, zwykle — byle nie w szabas jak dziś — wręcz życiem i ruchem handlowym. Tu, w kilkanaście minut dotarł do Nowiniarskiej, szukając otwartych sklepów z tan-

detą. Jakby na złość w żadnym nie błyszczało ani jedno światełko. Ciągnęły się rzędem — pod filarami pomalowanymi na żółto i obryzganymi jeszcze jesien-
nem błotem — ciemne, milczące, zasłonięte czarnymi, okutymi drzwiami i ponuremi okiennicami, zaparte sztabami żelaznymi, pozamykane na rygle i kłódki.

Trzeba było odłożyć kupno odzieży cywilnej do jutra.

Ta nieprzewidziana przeszkoda, opóźniająca z góry ułożony porządek akcji, zmartwiła Stasia niepomalu. Do hotelu lub zajazdu iść nie chciał, obawiając się kosztów i wydatków; do Goldenkrantza zaś nie śmiał nawet wstąpić, żeby nie zdradzić tajemnicy, przysiągł bowiem Michałowi, że jej dochowa święcie, „choćby ojciec rodzony niespodzianie się zjawił w Warszawie“ i pytał o to, co zrobić zamierza. Zresztą pewny był, że gdyby się przed kimkolwiek wydał, ten — jeśliby go nawet nie zdradził — odwodziłby niezawodnie od zamysłu szalonego, stanowiącego obecnie cel jego pragnień najgorętszych. Staś nie wyrzekłby się teraz tego celu za wszystkie skarby świata, za koronę i purpurę królewską. Roty aresztanckie i rozstrzelanie — chociaż nie przedstawiały mu się jako alternatywy przyjemne — nie przstraszały go jednakże o tyle, aby zatrzymać go mogły. Serce zaś szeptało; „Tam Jania czeka.... Jedź do Jani, jedź do Jani“. Więc jechał, musiał jechać; — mniejsza, że jako dezterter — musiał.

Stał na śniegu w pośrodku ulicy i rozważał, co począć.

Nagle, przyszedł mu na myśl rządca domu, w którym znajdowało się jego dawne mieszkanie.

— Jaki ja waryat, że o nim zapomniałem! Pierwsze niepowodzenie pomieślało mi zmysły i z tropu zbiło. Do niego pójdę, przespnię się i jutro dopiero ubranie

cywilne kupię... Mam przed sobą dość czasu, nic jeszcze nie stracone.

W godzinę potem siedział przy ulicy Wareckiej, w niedużym, ciepłym pokoiku kawalerskim, przyjęty życzliwie i gościnnie. Po dwóch szklankach gorącej herbaty — przygotowanej w samowarze — i po gawędce politycznej, wyciągnął się na kanapce, zasłanej świeżą pościelą przez uprzejmego gospodarza, który chciał mu swego łóżka ustąpić, ale Staś się na to nie zgodził.

W kilka minut spał snem twardym, głębokim, bo w takim wieku i po takich wrażeniach, spałby może nawet przed rozstrzelaniem.

Nazajutrz obudził się Staś raniutko, zanim rządca otworzył. Ubrał się cichuteńko i pobiegł na ulicę Nowiniarską.

Zwiedził kilka sklepów ze starzyzną i przekonał się ze smutkiem, jak zapas pieniężny, jakim rozporządzał, był niezmiernie szczupły. Więcej nad piątą część drobnej, przez siebie posiadanej kwoty, nie był w stanie poświęcić na odzież, a za trzy ruble nie można było ani rusz nabyć potrzebnej garderoby, choćby starej, byle zimowej.

Handlarz spostrzegłszy rozdrażnienie wojskowego kundmana, oraz niepokój malujący się na jego twarzy, trzymał się w cenie uparcie i dopiero po niezmiernie długim i nużącym targu, dał mu za półczwarta rubla korcikowe, wytarte spodnie, palto poplamione, niewatowane, o cienkiej, wyszarzanej kamlotowej podszewce i czapkę szkocką, wełnianą, obwiedzioną tasiemką jedwabną. Według niego sama ta tasiemka warta była dużo więcej od sumy, jaką wziął od Stasia za cały „*fein garnitur*.“

— Jeśli to prawda, że wason chce brata młodszego oporządzić, to jak go jegomość w tego ubierze,

to go wason nie pozna, taki rarytny interes jegomość za psie pieniądze kupił. Wason się zna; jegomość wybrał same hrabskie kawałki... razem tanioszcz i elegancya

O kamizelce i butach, mowy być nie mogło, tak wymagania żyda były wygórowane.

— Bez kamizelki obejdę się — pomyślał Staś — a buty... o! butów nie potrzebuję zmieniać. Nie napisano przecie na nich, że są żołnierskie.

Teraz, kiedy już posiadał ubranie cywilne, należało się czempnąć w nie przyodziać, aby spieszyć na kolej.

Wrócił na ulicę Warecką.

Rządcy już nie było w domu, wychodząc jednak, polecił stróżowi, aby — jeśli się Stanisław zgłosi — dał mu klucz do mieszkania.

Stanisław wszedł do ogrzanej stancyjki. Naprzód siadł przy biurku i napisał listy: do swego gościnnego gospodarza, do Goldenkrantza i do kapitana. W pierwszym dziękował za nocleg, prosił o odesłanie odzieży żołnierskiej do obozu, również o doręczenie pism pozostawionych, według wskazanych adresów — lecz dopiero w poniedziałek, wieczorem.

Po ukończeniu korespondencyi, przebrał się i stanął przed zwierciadłem. Postać jego własna, odbita w lustrze, wydała mu się w świeżo nabytym stroju tak oryginalną i zabawną, że parsknął głośnym śmiechem.

— Już to — szepnął — nikt mnie nie weźmie za milionera.

Chwycił pudełko z farbami i wybiegł na ulicę.

Północny wichur z mrozem owionął go zaraz na świeżem powietrzu i przejął dreszczem. W cienkiej, zużytej, nędznej odzieży, było mu strasznie zimno.

— Pocieszyński posiada i złą stronę — pomyślał — ale mniejsza o to, wagony na kolei podobno są ogrzewane. Jakoś to będzie!

Na dworcu drogi żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej, spotkał go nowy zawód. Na pociąg, idący wprost do stacyi Granica, potrzeba było czekać do wieczora, bo pierwszy opuścił Warszawę o szóstej rano, a teraz była dwunasta.

Niedoświadczony, nagłym postanowieniem rzucony w przedsięwzięcie, którego trudności nie badał, nie znał i nie rozumiał, przy każdej, najdrobniejszej przeszkodzie myśleć musiał głęboko nad wyszukaniem furtki do wyjścia. Szczęściem głowy nie tracił, a nałamawszy jej trochę, wpadał na niezłe pomysły. I teraz pytał się siebie:

— Co robić?

Nie mógł pozostać na miejscu; do rządcy bał się wracać, pozostawione bowiem u niego listy zbyt jasno dawały do zrozumienia, co czynić zamierza... Może już je przeczytał... Nadto jeść mu się zachciewało, lecz nad głodem postanowił panować. Każdy grosz był dlań obecnie zbyt cennym.

— Nie, nie, nie wydam i jeść nie będę — zawyrokował.

Ścisnął w dłoni portmonetkę, w której znajdowało się tylko jedenaście i pół rubli; cały jego majątek.

— Ha! nogi za pas... pod okopy; tam najbezpieczniej.

Pomykał jak zajęć i dopiero za rogatkami moko-towskiemi zwolnił nieco kroku. Ośmnasto-stopniowy mróz z wiatrem, dokuczał mu okrutnie.

— Nie, nie szkodzi — myślał — pogimnastykuję się trochę, to się rozgrzeję... Ale gdzie?!

Znowu się zadumał.

— Wiem, wiem.... w Wierzbnie, na dole, w parku, są słupy i drabiny.

Poleciał do Wierzbna.

Słupów ani drabin nie znalazł; sprzątnięto je przed tygodniem... ale samo chodzenie, chociaż nużyło go mocno, rozgrzewało jednakże.

Tylko z ciężkiem pudełkiem z farbami była wielka bieda. Musiał je trzymać to jedną to drugą ręką za żelazną — zimną jak lód — antabkę. Ręce mu od niej marzły.

— Ba! z pudełkiem się nie rozstanę. Kto wie, czy w Krakowie dostanę podobne, tak wygodne, tak suto zaopatrzone.. Zresztą mam je i nie pozbędę się łatwo, dlatego, że tam łapy trochę grabieją!

Wracając już o zmroku do miasta i przez miasto na dworzec, patrzył na prawo i lewo. Lękał się, aby który z towarzyszków z roty, dziś za urlopem puszczonego do Warszawy, nie spostrzegł go w cywilnem, dziwnym, a surowo przez regulamin zabronionem ubraniu. Szczęściem wzrok miał wyborny.

— W danym wypadku, gdyby się który nawinął, zanim mnie zobaczy, już skryję się do pierwszej lepszej bramy, lub przemknę się przez przechodnią kamienicę. Znam wszystkie, jakie tylko są w Warszawie.

Szedł teraz wolniej, musiał się bowiem ciągle oglądać, a znużenie i głód, nabawiły go nieznośnej migreny.

Na świecie była już noc zupełna, kiedy przybył na dworzec, oświecony i zaczynający się ożywiać.

Śmiało otarł się o żandarma i kupił w kasie bilet trzeciej klasy do Granicy. Pozostało mu tylko sześć rubli i trochę drobnych.

Zziębnięty, udał się do bufetu. Spostrzegł z radością, że nikt na niego nie zważa. Publiczność, złożona z żydów i wyrobników, zapełniająca długą, lichą oświe-

tloną izbę, nadto była sobą zajęta, aby mógł ją zastanowić pasażer, koniec końców do ludzi podobny, chociaż ubrany w jesienne, splamione palto, cienkie wytarte spodnie i czapkę szkocką, obwiedzioną dokoła tasiemką jedwabną.

Napił się szklankę gorącej herbaty i zjadł dwie dwugroszowe bułeczki, tak zwane „Mularki“. Posiłek ten nie zaspokoił jego głodu; uczuł jednakże błogie ciepło, rozchodzące się po całym ciele. Nadto ból głowy, który mu przed chwilą dokuczał, ustał — jakby ręką odjął.

Po pierwszym dzwonku rozwarły się drzwi poczekalnej sali, prowadzące na peron.

Staś wysunął się z tłumem.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, wagon, w którym się ulokował, był zupełnie pusty. Mógł się wyciągnąć na twardej, drewnianej ławce, z nadzieją, że uśnie.

Pociąg ruszył.

— Ha! już jadę — mruknął z zadowoleniem. — Połowa zadania zrobiona.

Ani na myśl mu nie przyszło, że druga połowa będzie stokroć trudniejszą i bardziej przykrą od pierwszej. Pomimo dwóch drobnych zawodów, jakich już doznał w Warszawie, głęboko był przekonany, że dalej — wszystko — stać się musi i stanie według planów, ułożonych przez Michała.

Młodość żyje zaufaniem i wiarą. Kto nie ufa i nie wierzy, nie jest młodzieńcem lecz starcem, moralnie zgrzybiałym. Nieufność i niewiarę usprawiedliwić może tylko długi szereg rozczarowań i cierpień, których przyczyną złość ludzka i egoizm bliźnich. Mówimy usprawiedliwić... nigdy uniewinnić.

Staś drzemał, kiedy do wagonu w którym siedział, wszedł w Skierniewicach konduktor. Po obejrzeniu i ostemplowaniu biletu zaczęła się rozmowa.

— To pan jedzie tylko do Granicy?

— Do Granicy.

— Do znajomych na dworcu?

— Nie.

— W okolicę?

— Nie — poprawił się — a tak w okolicę.

Konduktor krytycznym okiem zmierzył podróżnego i pomyślał w duchu:

— Do kogo on może jechać w takim ubraniu.

Potem głośno i z uśmiechem zapytał:

— W okolicy z naszej strony, czy z przeciwnej?

Staś zastanowił się. Konwersacya przybierała charakter badania, indagacyi.

— Nie rozumiem o co panu chodzi — odparł.

— Rozumiesz bratku, tylko mój panie nie chcesz mówić prawdy. Już ja to widzę.. Znam się na tem, znam... Czy pan przypuszczasz, że go zdradzę?

Szczerłość i poczciwość malowała się na jego obliczu, Stanisław jednak, pomny na polecenia i zaklęcia Michała, wykręcał się jak mógł i umiał.

— No, no, nie trudź się pan... Kiedy nie wierzysz to trudna rada!

Pociąg tymczasem pędził całą siłą pary.

Konduktor sam zwrócił rozmowę na inny przedmiot. Opowiadał anegdoty, dykteryjki, dowcipkował, baraszkował, a jego młody towarzysz podróży śmiał się z conceptów i żartów, zapominając zupełnie o położeniu, w jakim się znajdował. Ile razy jednak pomyślał o Jani, twarz jego przesłaniała się chmurą smutku i westchnienie wyrывało się z piersi.

— Czy się pan przypadkiem nie kochasz, że tak często wzdychasz?

— O! nie, niestety!

— Toś pan chyba głodny?

— Trochę.

Zapytanie konduktora przypomniało mu, że ma w kieszeni kawałek bułki, jaka od herbaty w bufecie pozostała, a ponieważ apetyt się budził, zaczął zajadać ze smakiem.

Lokomotywa gwizdała przeraźliwie, zapowiadając bliską stację.

— Piotrków... Zatrzymujemy się kwadrans.... Możesz tu pan zjeść kolację.

— Dziękuję... już nie jestem głodny.

— To napijemy się razem kieliszeczek... Ja funduję. Stanisław pokraśniał.

— Dziękuję — odparł sucho.

— Ho! ho! Czy to z dumy pan odmawia?

— Nigdy nie pijam.

— W drodze nie szkodzi przetrącić i gardło popłukać... czasem nawet się to przyda — mówił z naciśkiem — zwłaszcza jeśli kto ma odbyć daleką drogę... piechotą.

— Wierzę... ale nie mogę.

Konduktor spojrzał nań z życzliwością i współczuciem.

— Pewno nikogo nie wpuszczają do tego przedziału?

— Będę za to panu wdzięczny.

— A jak pociąg ruszy, przyjsć na gawędę?

— I owszem... i owszem.

— Kto wie?... może się jeszcze panu na co przydam.

I to mówiąc otworzył drzwiczki, a wyskoczywszy na peron zamknął je na klucz.

Za chwilę, idąc wzdłuż wagonów krzychał raźnie:
— Piotrków... Piętnaście minut... Wysiadać!

Kiedy lokomotywa, ruszając z miejsca, szarpnęła naprzód, potem pociągnęła za sobą szereg wagonów, tworzących pociąg idący do Granicy, konduktor wskoczył do przedziału, zajętego przez Stasia.

— Chociaż pan podobno trunków nie używa, a jeść się panu nie chce, przyniosłem na wszelki wypadek butelkę piwa i trochę schabu na zimno. Sam się pożywię, a może i pan podzieli się ze mną skromną wieczerzą?

Zapraszał tak uprzejmie i gościnnie, że niepodobna mu było odmówić, zwłaszcza że nie dopytywał już więcej towarzysza o cel podróży i jej kierunek. Stanisław, wygłodzony, zjadł kawałek mięsa, a nawet na usilne nalegania, wypił szklanekę piwa.

W pogawędce o rzeczach obojętnych lub zabawnych — w tych ostatnich tematach bowiem konduktor był niewyczerpany — przeszła droga szybko, tak, że dezertor ani się spostrzegł, kiedy wagony wtoczyły się przed peron nadgranicznej stacji, jasno oświetlonej.

Klamka zaskrzypiała i w otwartych drzwiczkach ukazał się żandarm z dużą książką czy teką w ręku.

— Pasporta! — zawołał.

Ta nagła aparycja i to zagadnięcie, którego się Staś wcale nie spodziewał, nie będąc doń przygotowany, zmieszkało go mocno. Zbladł, a przez mózg jego, wypogodzony kilkogodziną wesołą rozmową, przeleciała jakaś zawierucha okropności i przerażeń, jakiś mroczny tuman ciemnych strachów, z których nie zdawał sobie sprawy, a które jednakże grozą swoją za-

tamowały mu oddech w piersi i nie dały słowa przemówić.

— Pasport! — myślał. — Żądają pasportu, a ja go nie mam...

Szczęściem konduktor, baczny na wszystko, w okamgnieniu przybył mu z sukursem. Przytomny, bo obyty z granicznymi zwyczajami, rzekł najspokojniej:

— Ten pan tu wysiada, nie jedzie zagranicę.

Żandarm, ciężkim, mierzonym krokiem ruszył dalej, i otwierając drzwiczki następnych wagonów, powtarzał głosem monotonnym:

— Pasport!... Oddawać pasporta!

— A widzi pan, że się już na coś przydałem — szepnął konduktor.

Stanisław milcząc, dłoń jego uściśnął. Zawierucha w głowie młodzieńca uspokajała się wprawdzie, jednak całkowicie nie ustała jeszcze.

— Idź pan do sali trzeciej klasy i poszukaj tego, do kogo masz interes. Gdybyś go nie znalazł, zobacz się ze mną.

Staś, z pudłem w ręku wyskoczył z wagonu, czyniąc tak, jak mu powiedział jego towarzysz podróży. Już weni nie wąpił, przeciwnie, czuł dla niego szczerą wdzięczność.

Izba, przeznaczona dla pasażerów trzeciej klasy, przepełniona była chłopstwem i izraelitami, najniższej kondycyi, ale rudego żydka, opisanego dokładnie przez Michała, nie widać było wcale.

— Trzeba poczekać! — pomyślał nasz ex-saper — może nadejdzie.

Minał kwadrans, drugi... Icek Mursz się nie zjawiał.

Rysopis kontrabandzisty, trudniącego się przeprowadzaniem zbiegów przez granicę, utkwiał Stasiowi tak

dobrze w pamięci, że mylić się nie mógł. Nie, — wśród tej całej czeready nie było go istotnie, ani tu, ani przed dworcem. Zniecierpliwiony, pełen niepokoju, obszedł gmach dokoła, potem — idąc wewnętrznym, środkowym kurytarzem — zajrzał przez oszklone drzwi do każdej komnaty. Nigdzie... Nigdzie ani śladu. Żadna ze spotykanych fizyonomij nie odpowiadała wizerunkowi, wyraźnie rysującemu się przed oczami jego wyobraźni. Zbył się zatem nadmiaru ostrożności i postanowił dowiedzieć się o rudego żydka.

Zbliżył się do bufetu, kupił rogalik i serdelek warszawski, poczem — głosem, któremu starał się nadać dźwięk, wolny od wszelkiego drżenia — zapytał:

— Nie ma tu Icka Mursza przypadkiem?

Otyła restauratorka wybuchła śmiechem.

— O! nie ma go... nie ma tego szachraja, oszusta, co bezpatentowy szynk skrycie prowadził, robiąc nam podryw. Od miesiąca siedzi w kryminale. Przyszła kreska na Matyska, tumanił on długo strażników pogranicznych, aż go nareszcie pojмали i to na gorącym uczynku, jak szwarcował okowitę z Austrii.

Staś zbladł znowu.

Człowiek, idący spokojnie po drodze, gdy ujrzy nagle przepaść, otwierającą się pod swojemi stopami, nie uczuje się niezawodnie równie jak on w tej chwili przerażony.

— Co począć? co począć? — dumał, przybity strasznym zawodem.

Wtem ktoś uderzył go z lekka po ramiemiu.

Stanisław drgnął nerwowo i odwrócił się... Był to konduktor.

— Nie znalazłeś pan?

— Nie znalazłem — wyjąkał machinalnie, nie rachując się już z wyrazami.

— Byłem tego pewny... Siedzi w ulu.

— Więc pan wie, o kogo mi chodziło?

— Domyśliłem się od razu... Abo to wielka sztuka!

— Cóż robić? — pytał Staś, nie myśląc dalej ukrywać swoich zamiarów.

Teraz konduktor się zadumał.

— Słuchaj pan — rzekł po chwili — nie ma innego środka. Pójdę pomówić z oberszafnerem pociągu pruskiego... Temu będziesz musiał zapłacić za przysługę, bo to człowiek obcy, cudzoziemiec... zaczekaj tu; zaraz wrócę.

Nie upłynęło pięciu minut, a już był z powrotem.

— Zgodził się... Pociąg za ćwierć godziny wychodzi do Katowic. Abyś był w Katowicach, to już reszta dzieciństwo. Tam, kupisz pan bilet do Krakowa... Musisz na mnie uważać. Stanę na peronie przed wskazanym mi przez niego otwartym wagonem. Rozumiesz pan, przez niego, przez ober... — nie dokończył, widząc, że Staś skinął głową. — Żeby to był nawet wagon pierwszej klasy, wskoczysz pan do środka szybko i stopy spuścisz. Zamkną cię i pojedziesz spokojnie. Dopóki jednak nie dam znaku, dopóki... ot tak... nie ruszę ręką, nie próbuj wskakiwać. Żandarmi, którzy ciągle się kręcą, mogą cię spostrzedz, domagać się otwarcia drzwiczek, zapytywać o pasport, a przekonawszy się, że go nie masz, uwięzić cię natychmiast. Po nitce zaś dojdą do kłębka... Rozumie pan?

— Rozumiem.

— W drodze, da pan oberszafnerowi trzy ruble... Chciał dziesięć, wytargowałem na trzy tylko.

— Dziękuję.

— Nie traćmy czasu; za moment wyjdź pan na peron i bacznie na mnie uważaj.

Przecisnął się wśród siermięg i chałatów — i zniknął za drzwiami.

Staś stał jak na rozżarzonych węglach. Serce mu biło, ręce drżały, w ustach zasychało, a oddech wydobywał się z piersi z trudnością. Oczekiwanie paru sekund w atmosferze, przepełnionej wonią cebuli, dymem fajek i cygar, dusznej, gorącej — nużyło go, wyczerpywało.

I on przesunął się niebawem z trudnością wśród ciągle zwiększającego się tłumu chłopów i żydów i wyszedł na świeże powietrze.

Promienie latarni oświecały w całej pełni pociąg pruski, gotujący się do drogi.

Lokomotywa sapała chrapliwie. Pod jej kołami kłębiła się para, ścieląca się nisko, pełzająca pod wagonami, jakby nie miała siły czy ochoty wznieść się w górę, w mroźne powietrze, pod czarne sklepienie nocego nieba.

Konduktor rozmawiał z oberszafnerem; chwilami zatrzymywał się przed jednym z otwartych wozów, rzucając na Stanisława znaczące spojrzenia; ręką jednak nie ruszał.

Zandarmi, pojedynczo i parami, przechadzali się po peronie tam i napowrót. Staś mniemał, że ich oczy zwracają się nań nieustannie. Te oczy zdawały się nie opuszczać go ani na chwilę, sięgać do głębi jego najtajniejszych myśli, świdrować w mózgu, nabawiając duszę strasznym niepokojem.

To nowe oczekiwanie pod wzrokiem Argusów męczyło go jeszcze bardziej.

Konduktor — chociaż o kilkanaście kroków oddalony — dostrzegł na jego twarzy oznaki niecierpliwości i fizycznego znużenia, zbliżył się zatem znowu do naczelnego kierownika pociągu pruskiego i zamienił z nim

parę wyrazów, potem, przesunął się niby od niechcenia koło Stanisława i szepnął:

— Za mną.

Poszedł przodem.

Zatrzymał się w pewnej dość znacznej odległości od dworca, gdzie noc panowała, światło bowiem z latarni aż tam nie sięgało.

Staś go szybko dogonił.

— Żle! — rzekł poseł-mediator — pierwszy plan się nie szykuje. Czas odejścia pociągu się zbliża, a żandarmi ani na momencik nie chcą opuścić platformy. Nie ma rady, musisz pan pójść kilkaset kroków dalej, naprzód... Kiedy usłyszysz trzeci dzwonek, a lokomotywa gwizdnie, wskoczysz do mijającego cię pociągu na platformę za maszyną, albo na węglarkę, albo w ostatnim razie do pierwszego wagonu za wozem z bagażami... Widzisz pan, ten, na wierzchu którego znajduje się budka ober-szafnera... Pozostawi on drzwiczki otwarte, tylko ruszyć klamką i wejść do środka. Pociąg iść będzie wolno... rzecz ułożona. Odważnie, śmiało... jednym susem, po konduktorsku. Bądź pan zdrow; życzę szczęścia.

Zanim Staś zdołał wyrzec słowo i prosić o szczegółowe objaśnienia, konduktor już zniknął za węglem, potem raptem wynurzył się z cieniów i szedł wzdłuż dworca spokojnie, po oświetlonym od latarni asfalcie peronu.

Nasz bohater, opuszczony nagle w stanie nerwowego rozdrażnienia, machinalnie chciał się za nim zawrócić, ale w czas oprzytomniał; stanął jednakże jak posąg, nie mogąc się ruszyć ani w prawo ani w lewo. Wlepił wzrok w jaśniejący od blasków peron, po którym przemknęło w dali małe grono pasażerów, zajmujących miejsca w wagonach, nieustannie zaś, tam

i sam, kroczyli po nim żandarmi — aż po granicę ciemniów, jakie Stasia obejmowały — równym, ciężkim, miarowym krokiem. Echo tych kroków, złączone z brzękiem ostróg i pałasza, rozlegało się monotennie, dolałując uszów biednego zbiega. Nie mógł oczu oderwać od postaci dla niego złowrogich. Widział złote hełmy, migocące tysiącznemi połyskami; — dopatrzył, że czerwone sznury od rewolwerów — skrzyżowane na piersiach, opiętych szarym szynelem — ginęły w głębokich kieszeniach zwierchniego umundurowania, że przechadzający się żandarmi mają podobne do niego buty petersburskie na nogach, że wąsy ich łączą się z ławorytami i dopiero po za nimi — po za linią owalu twarzy — podnoszą się w górę silnie zakręcone. Wszystko to widział — ciągle osowiały i jak posąg nieruchomy — przekonany, że i oni także widzieć go muszą. Nie zdawał sobie sprawy, iż żandarmi — olśnieni blaskiem kilkunastu jasno płonących latarni — nie w ciemni, w jakiej się Staś znajdował, dostrzedz nie byli w stanie. On widział... a to było wystarczającym, aby ubezwładnić jego władze fizyczne i rozstroić moralne.

Nareszcie pomyślał:

— Nie mogę tak tu stać i czekać aż mnie schwytają; trzeba iść naprzód.

Przewycięzył odrętwienie, niedozwalające mu poruszać nogami. Szedł minut parę; potem biegł kilkadziesiąt kroków w górę, w pewnem oddaleniu od szynkolei żelaznej. Nie czuł zimna, chociaż przejmujący wiatr wdzierał się pod jego lekkie palto — a unosząc drobne, zmarznięte, ostre płatki śniegu, siekł niemi twarz rozgrzaną wzburzeniem krwi — gwałtowniej niż zwykle — w żyłach jego krążącej.

Nagle usłyszał odgłos dzwonu, po raz trzeci odzywającego się na stacyi.

Zatrzymał się w miejscu.

Lokomotywa gwizdała przeciągle, a migotliwe, czerwone jej oczy, przysuwać się ku niemu zaczęły nisko, niemal po nad samą ziemią, niby oczy jakiegoś olbrzymiego gadu, pełzającego po białej powierzchni.

Trzeba było zbliżyć się do toru, ale na tor padały jeszcze promienie światła z latarni dworcowych i z latarek, wśród sieci relsów rozrzuconych, kołyszących się na żelaznych, w grunt wbitych prętach.

Lękał, obawiał się poruszyć, zdawało mu się bowiem, że skoro tylko wymknie się z cieniów, żandarmi go dostrzegą, rzucają się nań jak sępy i niechybnie złapią.

Tymczasem pociąg zbliżał się coraz raźniej, coraz szybciej.

Nie było i chwili do stracenia.

Teraz już pragnął bądź co bądź do szyn doskoczyć, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Zdawało się, że wrosły w ponowę, pokrywającą lodową, zmarzniętą twardą powłoką, otaczającej stacyę przestrzeni. Chciał je wyrwać, podnieść... lecz ciężyły jak ołowiane.

— Boże! Boże! -- myślał — czy mi przyjdzie tu zginąć!

Sekundy wydawały się wiekiem.

Ognisty smok o czerwonych oczach już nadlatywał blisko... bardzo blisko. Jeszcze chwila a minie go... i nadzieja ucieczki stracona.

Wtedy przed wzrokiem jego wyobraźni przesunęła się postać Jani, leżącej w pościeli i trzymającej w dłoni porcelanową figurkę Matki Boskiej, tę samą, jaką — będąc dziećmi — bawili się razem w Krasnosójkach.

— Przenajświętsza Panno ratuj! — krzyknął i rzucił się naprzód, nie wypuszczając z ręki pudła z farbami.

Lokomotywa zatoczyła pół kręgu po łuku jaki tworzyły tu szyny i przebiegła mu prawie pod stopy, w chwili właśnie, kiedy stanął nad torem.

Staś wygiął się w tył całym ciałem, wyteżył wszystkie siły... i skoczył.

Rutyna gimnastyczna odniosła zwycięstwo nad rozstrojem nerwów i znużeniem.

Młody człowiek końcem prawej stopy dotknął stopnia i w tenże sam moment trzema palcami lewej ręki uchwycił się antaby poprzecznej, przybitej do parowozu. Uczuł jednak, że druga noga uderzyła o ostry brzeg żelaznego stopnia i na dół zwiśla.

Położenie, w jakim się znajdował, było niebezpieczne, zwłaszcza, że prawą ręką rozporządzać nie mógł, przyciskał nią bowiem konwulsyjnie do boku pudełko z farbami, którego opuścić nie chciał. Trzema tylko palcami trzymał się antaby. Od gwałtownego pochwycenia jej z wyteżeniem niesłychanem, muskuły się w nich wyciągnęły, sprawiając ból okropny. Pęd powietrza — zdwojonego biegiem pociągu prującego je potężnie, — warczenie kół, szczykanie łańcuchów, ogłuszało go i pozbawiało zmysłów. Ból w ręce dokuczał i zmniejszał władzę ujęcia. Po lewej nodze przebiegało jakieś mrowie, rodzące odrętwienie nieznośne. Siły go opuszczały, lecz instykt zwierzęcy — gorliwy opiekun — dyktował co czynić wypada, by nie runąć na szyny.

Niemal zawieszony w powietrzu, czuł, że musi szukać pewniejszego oparcia. Powoli zatem opuszczał prawe kolano na stopień; dwa wolne palce u lewej ręki — dotąd nienadwerężone — zaciskał za antabę;

nogę bezwładną podnosił i przyciągał w górę. Nareszcie, po niełatwych wysileniach, obydwoma kolanami ukląkł na stopniu, a jednocześnie zdołał już całą dłońią objąć antabę i mocno się na niej wesprzeć.

Wszystkiego tego dokonał, w chwili, kiedy lokomotywa wbiegła w całym pędzie na most graniczny.

Szyldwach, stojący przed nim na warcie, pod bronią, wyprostowany, sztywny, patrzył ze zdziwieniem na tę postać dziwaczną, zaledwie uczepioną przy zewnętrznej ścianie platformy za parowozem, w cudackiej czapce na głowie, z połami paltota, rozwianemi na wolę wiatru. Nie przypuszczał nawet, że to człowiek być może — tem mniej zbieg z wojskowych szeregów; — mniemał raczej, że dyabeł niemiecki, tak chętnie zasztywający się w różne skóry, mami go i straszy. Splunął za pociągiem i przeżegnał się trzy razy.

Kiedy żołnierz, w zbyt dobrze znanym Stasiowi szarym szynelu, znikł w dali ciemnej, a z przeciwnej strony mostu mignął mu się tylko przed oczami inny, w odmiennem umundurowaniu, dezterter nasz zrozumiał, że przebył już granicę. Odetchnął pełną piersią, chociaż wiedział, że nie tu jeszcze kres niebezpieczeństw, że jeśli się zachowa nieostrożnie, może być wydany.

Wypocząwszy chwilę w pozycji powyżej opisanej, postanowił wygramolić się na wierzch wozu. Pomimo, że zadanie było nader łatwe, z trudnością przyszło mu je uskutecznić, bo wykręcona ręka i zdrętwiająca noga odmawiały posłuszeństwa, a przejmujący wicher mroził tem dotkliwiej, że w poprzednich wysiłkach rozgrzane i potem zroszone ciało, okrywała tylko licha, cienka, niedostatecznie przed chłodem zabezpieczająca odzież, kupiona w Warszawie na tandecie. Ledwie głowa jego wysunęła się nad prostopadłą ściankę platformy, pomocnik palacza dostrzegł ją i przełęknięty krzyknął:

— *Herr Jesus!*

Chwycił za drąg żelazny, by nim poczęstować nieproszonego gościa, pojawiającego się niewiadomo z kąd i tak niespodzianie, lecz towarzysz jego wstrzymał mu rękę już wzniesioną.

— Daj pokój! — rzekł — te odwiedziny zapowiedział oberszafner. Przybysz musi się nam opłacić. To mówiąc, dopomógł Stasiowi do wejścia.

— A teraz dawaj pieniądze.

Staś, chociaż nie umiał po niemiecku, domyślił się jednak, o co chodzi. Sięgnął do portmonetki, wy dobył trzy ruble i podał.

— Tylko tyle?

— Tak było umówione.

— To dla oberszafnera... a dla nas?

Dezterter wyjął znowu portmonetkę, otworzył ją i wskazał, że pozostaje mu tylko drugie trzy pojedyncze ruble i trochę drobnych. Na migi dawał do zrozumienia, że to cały jego majątek.

— A nam co do tego. Kiedyś uciekał, powinienes był zaopatrzyć się w pieniądze... Inaczej nie trzeba było uciekać.

Przy tych wyrazach, nie namyślając się długo, złapał wszystko i schował do kieszeni.

Pierwszą myślą młodzieńca było rzucić się na wydiercę i odebrać mu siłą jedyny fundusik, jaki posiadał i za który miał nadzieję dostać się do Krakowa, ale rozwaga nakazała umiarkowanie. Z głową na piersi zwieszoną, z rozpaczą w duszy, ale milczący, oparł się o ścianę, drząc z oburzenia i zimna.

Szczęściem, na przestanku, nadkonduktor, mówiący po polsku — służył bowiem niegdyś jako ofycjalista sądowy w W. Ks. Poznańskim — wszedł na platformę. Dowiedziawszy się o wszystkim, palacza i jego po-

mocnika złażał, Stasiowi zwrócił połowę wydartych pieniędzy i nauczył, jak ma sobie postąpić, przybywszy do Katowic.

— Wsiadłszy, nie wchodź na stację, bobyś mógł być przytrzymany. U nas włóczęgów obcych nie lubią. Obejdź gmach dokoła, i udaj się wprost do miasteczka.... I tak nie mógłbyś dziś pojechać do Krakowa, bo pociąg do Austrii wychodzi z Katowic dopiero o godzinie dziesiątej przed południem.

— Czy pieniądze, które mam, wystarczą mi na opłacenie biletu?

— Wystarczą. Możesz nawet za nie przespać się gdzie w szynku i zjeść skromną wieczerzę. U nas wszystko taniej niż u was ... strawa smaczniej przyrządzona ... bo u nas cywilizacya, nie tak jak u was. Chociaż za parę godzin będzie już dniało, sen nie zaszkodzi. Radzę jednak, nie proś o gościnę blisko dworca.... tam kręcą się żandarmi, a pasportu i papierów legitymacyjnych, pewno nie masz.

Rozśmiał się całym gardłem.

— Gdybyś miał, pewnobyś nie skakał tak wysoko, żeby uciec z twego przekłętego kraju. Wejdź do miasteczka, i daleko, daleko poszukaj noclegu.... Katowice nieduże, nie zmęczysz się bardzo.

W kilka minut potem, Staś wysiadał z ostrożnością, zastosowując się do poleceń nadkonduktora.

Obszedł stację i trafił na placyk, na którym stały powozy i wózki, przybyłe widocznie po pasażerów z kolei.

Jakoś tu było za ludno, obawiał się zatem zapytać o drogę do austeryi. Zresztą wszyscy mówili po niemiecku, on zaś lękał się zdradzić z niewiadomością miejscowego — a może tylko urzędowego — języka, niewiadomość ta bowiem świadczyła, że jest cudzoziem-

cem, że z niedalekich, lecz obcych stron przybywa. Wojskowi kręcili się w pobliżu dworca dość gęsto. Każda pikelhauba go przerażała, każdy hełm pruskiego żołnierza brał za kask żandarmski; sam zatem — nie dowiadując się o kierunek, jaki wybrać należy — ruszył równą i czystą uliczką, prosto przed siebie, gdzie oczy poniosą.

Istotnie, miał słuszną nadkonduktor: cywilizację znać tu było na każdym kroku; wszędzie widać ład, porządek, zamożność, dobrobyt. Domy tu stojące, chętnieby przeniósł do Warszawy, do wielu dzielnic odleglejszych, przedmieściowych, w których tak strasznie brudno i taka okropna nędza panuje wszechwładnie.

Mróz zelżał i wiatr ustał. Ruchem rozgrzany Stanisław, czuł, że krew raźniej znowu w żyłach jego krążyć zaczyna.

Szedł i rozglądał się ciekawie.

Głód mu dokuczał, noga trochę bolała, w rękę doznawał przykrego rwania, ale nie zważał na to wszystko, zdawało mu się bowiem, że już uniknął wszelkich niebezpieczeństw, że tylko dzień jeden... ba! kilka godzin zaledwie... oddziela go od radosnej chwili, w której uściska Bolewską i powita Janię. Oby tylko zastał ją zdrową!

Domy i sklepy w uliczce, którą kroczył, były pozamykane, — w pewnej jednak odległości, w bok, na lewo, w przecznicy... błysnęło światółko.

Ku temu światółku skierował się żwawo.

W miarę jak się zbliżał, poznawał, że blask dostrzeżony bił z okien szynku, w którym prawdopodobnie dostanie ciepłego pożywienia i przespi się parę godzin.

Z bijącym sercem stanął przed oszklonemi drzwiami.

— Wejść czy nie wejść? — myślał. — Wejdźmy!
Cóż mi się złego stać może!

Poruszył klamką i wszedł.

Miłe od kilku godzin nieznanie ciepło, chociaż zmieszane z ostrą wonią tytoniu w najlichszym gatunku, wionęło na niego przyjemnie.

Tuż koło drzwi, na prawo, za szynkwasem siedział gruby gospodarz w koszuli i kamizelce. Czarna, długa broda okalała twarz czerwoną o rysach wscho-dnich. Przed nim stały kufle i leżały cygara, za nim antałek pękaty, żelaznemi obręczami obity, z mosiężnym w dnie kranem, tronował na pulce dębowej. W izbie, oświetlonej lampą z blaszanym daszkiem, wiszącą u sufitu, rozlegała się gwarna rozmowa. Przy stołach z piwem siedzieli, podochoceni górnicy, a między nimi wojskowy w hełmie na głowie.

Z blaskiem tego hełmu spotkały się naprzód oczy Stasia.

— Zostać, czy się cofnąć — przebiegła mu wnet po mózgu myśl szybka jak błyskawica.

Wojskowy pruski zwrócił się ku przybyłemu i bezmyślnie może, ale bystro nań spojrział. W tem spojrzeniu zimnem i badawczem mniemał Staś, że czyta coś, co duszę jego nabawiło nowym niepokojem.

Nieszczęśliwe okoliczności ogólne i osobiste, wśród których się wychował i wzrastał, ciągnęła niepewność, co wolno a co zabronione, niejasno określone granice między dozwolonem a niedozwolonem, między prawem i bezprawiem, między faworem i słusznym przywilejem, wytworzyły w umyśle i organizmie jego drażliwość nerwową, zwiększoną obecnie wyczerpaniem i wstrząsającymi wrażeniami. Drażliwość ta nie miała nic wspólnego z charakterem śmiałym i odważnym, z sercem wyjątkowo dobrem, była raczej naleciałością

zewnątrzną, dziełem przypadku i anormalnego położenia. Stanowczo nie było sposobu poczytać go za tchórza; zresztą, świadczyło o tem najlepiej jego ostatnie przedsięwzięcie, ze świadomością grożącego mu niebezpieczeństwa podjęte — pomimo to jednakże, dawniej, w pewnych wyjątkowych razach, oraz dziś także, drżał na samą myśl o władzy a szczególnie o jej reprezentantach. Niegdyś i obecnie wydawali mu się oni czemś, czego unikać należy, przed czem chronić się wypada.

Gdyby tu i owdzie zastanowiono się nad głęboką niemoralnością, jaką podobne usprawiedliwione poniekąd mniemania wyradzają w stosunkach społecznych, oraz do jakich czynów popychają nawet wyższe i szlachetne natury, może....

Ale wróćmy do naszego opowiadania.

Staś rzucił rubla na szynkwias.

— Proszę o cygaro — rzekł do szynkarza.

Cygar nigdy nie palił, czasem tylko papierosa, ale zdawało mu się, że wszedłszy tu musi koniecznie coś kupić, aby zupełnie kontenansu nie stracić.

Gospodarz wziął papierek w rękę, obejrzał go bacznie, powoli — i po oględzinach dopiero podał przybyłemu długie cygaro i garść drobnej monety pruskiej, jako resztę ze zmienionego zagranicznego banknota. Według jakiego kursu go zmienił, to już była rzecz jego nie gościa, przychodzącego o tak spóźnionej godzinie.

Staś nie rachował pieniędzy, nie pytał, wiele ich otrzymał, tylko, rozdrażniony prześladowającym go wzrokiem, wybiegł na ulicę.

— To musiał być żandarm — myślał w duchu — gdybym powiedział, że chcę przenocować, byłby mnie o pasport zapytał,... o! zapytałby niezawodnie.

Niewiedząc, co począć z sobą, wałęsał się po mieście czas jakiś, szukając niby innej gospody, ale nigdzie

otwartych drzwi nie zastał... Wszystko, wszędzie było zamknięte.... Gdyby nawet znalazł otwarte, nie wszedłby pewnie.

Kroczył na oślep, strasznie zmęczony. Oczy mu się kleiły, zataczał się jak pijany.

Nagle posłyszał śpiewy jakiejś wesołej gromady, a potem coś podobnego do szczęku pałaszy i brzęku ostróg. Stanął i nadśluchiwał. Gwar zbliżał się ku niemu.

— To może patrol! — szepnął.

Zawrócił się, jakby siłą wewnętrzną poruszony i wązką, długą uliczką, po której przybył z kolei, dotarł znowu pod sam dworzec.

Tu — pomimo nocy — panowało pewne życie, jakieś chodzenie, nawoływania, sygnały. Zdawało mu się, że spostrzega mundury, pikielhauby, świecące guziki, wszystko co obecnie stanowiło dlań zmorę, widział, strachy — wszystko czem znużona, torturowana i senna wyobraźnia przerażała się przy lada sposobności.

Zboczył na prawo i po śniegiem okrytej pochyłości wdrapał się na wysoki nasyp drogi żelaznej.

— Pójdę wzdłuż szyn, tym sposobem nie zbłądzę — mrucał pod nosem. — Jak się rozwidni, wrócę tą samą drogą.... Chodzić muszę, inaczej mógłbym zamarznąć.

Dźwigał ciągle pudełko z farbami. W usposobieniu, w jakim się znajdował, upór bywa silniejszy od wszelkiego rozumowania. Nie chciał ani cisnąć ciężaru, ani go złożyć lub ukryć, choćby gdzie pod mostkiem.

Czarne myśli — czarniejsze od nocy — rozgościły mu się pod czaszką. Nigdy w życiu jeszcze tak żalobnie i ponuro na świat nie patrzył. Idąc, dumal o wszystkich swoich przejściach dzisiejszych. Konduktor, który go porzucił niemal bez objaśnień — wskazując jedyny środek

ratunku w czynie mogącym go o śmierć przyprawić — wydawał mu się teraz samolubem. Ludzie, którzy o mało co go nie ograbili z ostatniego grosza — zwierzętami. Oberszafner, chłodno, spokojnie, ironicznie, dający mu rady, czego się strzedz i czego unikać — głazem. Po raz pierwszy tak dumał, a od takich dumań bolała go głowa. Pochylił ją na piersi i czasem tylko mimowoli podnosił, jakby się budził z przykrego odrętwienia.

Raptem, myśl — innemi przywykła biedz tory — zwróciła się ku Kubusiowi, Michałowi, Bolewskiej, Jani.... i w mózgu, jak na niebie — gdzie brzask zaczynał już skraj horyzontu rozjaśniać — chmury ustąpiły miejsca pięknym i pogodnym obrazom. Ale po chwili i obrazy te rozplynęły się w jakiejś mgłę świetlanej bez granic i końca, w mgłę, jaka zasłaniała mu niegdyś, kiedy był dzieckiem, pierwsze, najcudniejsze wspomnienia. Już się nie czuł znużonym, bo popadł w dziwny stan błogości nieopisanej, rozkosznej. Ciepło mu się zrobiło, miło.... dobrze. Nie zdawał sobie sprawy z tego, co się z nim dzieje; nie myślał o niczem... pragnął tylko, aby to rajskie upojenie trwało tak dalej, ciągle, nieustannie....

Ból w rękę zastrzykał dojmująco; — ten ból go przebudził.

Widocznie, znużony bezsennością, upadł twarzą na śnieg miękkiej, który w ciągu dnia wczorajszego do północy napadał; wyciągnął się w nim jak na wygodnem posłaniu i drzemał.

Teraz ocknięty, podniósł się na kolana; — po chwili powstał na nogi — ale z trudnością zdawał sobie sprawę z tego co się z nim stało.

W końcu oprzytomniał zupełnie.

— Spałem... prawdopodobnie spałem. Mogłem być na śmierć zamarznąć... Czytałem i słyszałem od ludzi doświadczonych że ci, co zasypiają na mrozie, rzadko budzą się ze snu i rzadko kiedy powracają do życia...

Chwycił garść śniegu w dłonie i mocno nim sobie twarz wytarł. Chociaż przytem, palce u jednej ręki zaboląły go gwałtownie, że aż syknął, uczuł, że umycie się i otrzeźwiło go orzeźwiło niemal całkowicie.

— Dalej.... Trzeba poruszać się, chodzić — rzekł głośno.

Postąpił parę kroków, lecz nagle rwanie jakies w lewej nodze zatrzymało go na miejscu. But mu dolegał, a uwierając, krępował swobodę ruchów.

— To rzecz dziwna! Pali mnie w kolanie, jakby kto gorącym żelazem dotykał. Dotąd nie czułem podobnego bólu... Przed chwilą jeszcze, doznawałem innego wrażenia.

Usiadł nad torem na pudle z farbami i z trudnością ściągnął but z nogi. Krwawa posoka zaczerwieniła śnieg dokoła.

— Co to ma znaczyć? — sam siebie zapytał.

Podniósł w górę spodnie i zawinął je; obnażył nogę po za kolano i patrzył.

— Skaleczyłem się, przeciąłem skórę do żywego... Oho! jaka szeroka rana!

Zamyślił się, opierając ociężale głowę na rękę.

— Kiedy ja mogłem tej biedy się nabawić?!... nie przypominam sobie.... Nie pomnę.

Upływ krwi go osłabiał. Machinalnie spojrział na długi but żołnierski u stóp swoich leżący.

— A i cholewa, jakby brzytwą przecięta!

Rozsunął fałdy nad kolanem.

— I spodnie także !... Teraz rozumiem, rozumiem... Musiałem zranić się przy skoku... Stuknąłem tak mocno o ostry brzeg żelaznego stopnia... Noga mi wówczas zdrętwiała i zwiśla.

Wyjął chustkę z kieszeni, złożył z niej niby bandaż, pomiędzy składy płótna nasypał śniegu i obwinął kolano jakby kompresem. W oczach zabłysło mu tysiące świeczek od nagłego bólu, jaki wywołała ta operacja.

Po bólu, nastąpiło chwilowe pół-omdlenie. Zwiesił głowę na piersi i pograżył się w jakimś przykrem dumaniu, bez treści i przedmiotu.

Zimno szczypało obnażoną nogę. Po niedawnym śnie, który go rozgrzał, uczuwał teraz znowu chłód nieznośny, przejmujący do kości. Drzał i szczekał zębami.

Nie mogę tak siedzieć, jeszczebym się tu rozchorował na dobre, a może i skostniał.

Przyprowadził odzież do porządku, but włożył i ruszył naprzód.

Dzień się już robił — dzień ponury, zimowy, szary, ale jak każde — chociażby względne — światło, budzący nadzieję, dodający otuchy.

Staś szedł nasypem kolei żelaznej, mówiąc do siebie po cichu :

— Dojdę do setnego telegraficznego słupa, a później się zawrócę, aby przed samą dziesiątą przybyć na dworzec, ani później, ani wcześniej.

Oczy kleiły mu się znowu; stąpał niepewnie, chwiejnie, zataczał się i potykał, a potknąwszy się, spoglądał osłupiałym wzrokiem na pierwszy lepszy słup przed nim stojący.

— Dziesiąty czy dwunasty?!.. Pomyliłem się w rachunku... Niech będzie dwunasty.

I idąc dalej, szeptał:

— Dwunasty, trzynasty, czternasty....

Nagle w głowie mu się zakręciło. Uczuł, że ziemia z pod nóg się usuwa, że stacza się powoli po pochyłości, gdzieś na białe dno śnieżnej przepaści. Nie doznawał jednak ani obawy, ani wstrząśnienia.... Lekko mu było jakoś i miło, chociaż jak ołów ciężące powieki, przymykały i zasłaniały gasnące źrenice. Ciepło zawładnęło powtórnie całym jego organizmem, a omdlenie poruszyć mu się nie pozwalało. Teraz rozumiał, że zasypia, ale nie mógł, czy nie chciał się przebudzić. Łudził sam siebie, powtarzając w myśli:

— Spać nie można, nie należy... ja nie usnę. Kto spi na mrozie, umiera.... Oho! skoro tylko zechcę, wnet się zerwę na nogi.... nie usnę.... nie usnę....

Tymczasem spał, leżąc jak martwy.

Wyobraźnia — chwilę z nim razem wypoczywająca w błogiem *far niente* — zrywała się obecnie do lotu i wiodła Stasia w nieznane, odległe, północne krainy, gdzie wieczne zimno i lody. Oczami duszy widział ojca, siedzącego na szronem pokrytej skale... Na nogach Karola łańcuchy, ręka zwieszona na taczkę strzaskaną. Ponury był; mówił głosem surowym:

— Zapomniałeś o mnie... nie kochasz mnie więcej... nie ratujesz... opuszczasz....

— Kocham! — wołał Staś przez sen — kocham jak dawniej. Życie oddałbym za ciebie.

Wtem śnieżna zanieć — niby zasłona — spuszczać się zaczęła z chmurnego stropu.

Pomiędzy nich dwóch spadała, z początku: lekka, poruszająca się od powiewu, przezroczysta jak muślin. Później muślin ten pokrywał się białym haftem, a haft stawał się coraz gęstszy.... coraz gęstszy.... aż w końcu zmienił się w jednolitą, zwartą tkaninę.... Rozdzielała

ona syna od ojca... Staś naprózno wyciągał ręce do Karola... Widział go czas jakiś przez tańczące w powietrzu płatki śniegowe, ale z każdą chwilą płatków przybywało... tyle, tyle, takie mnóstwo... że wzrok ich przebić nie mógł.

Przebudziło go jakieś silne wstrząśnienie.

Obejrzał się w około i ujrzał, że leży u stóp nasypu, z którego widocznie zsunąć się musiał znużony i drzemiący.

Śnieg gęsty padał.

Zasypywał go i okrywał zarazem swoim białym, lekkim puchem stojącego przed nim w średnim wieku mężczyznę, przyodzianego w strój szląckiego, zamożnego włościanina, który pochylił się nad Stanisławem i badał, czy ma do czynienia z martwym już ciałem, czy z żywym człowiekiem.

— Co wasze tak w śniegu świętuje? — zapytał po polsku, ujrzawszy, iż Staś zdziwione, zaspane oczy otwiera.

Nie rychło jednak doczekał się odpowiedzi.

Młodzieniec tonął jeszcze w marzeniach, w widziadłach sennych — i nie od razu mógł przyjść do siebie. Powoli jednak rzeczywistość uprzytomniała się przed jego umysłem; zaczynał zdawać sobie sprawę ze swego położenia; powstał, otrząsnął śnieg z ubrania, wziął pudło w rękę i podziękował przechodniowi za uchronienie go od nieochybnej śmierci.

— Żeby nie wy, zginąłbym tu marnie.

— Za wiele mi przypisujecie zasługi. Nie ja... to kto inny, idący na mszę świętą, byłby was przebudził, wszak ci to obowiązek chrześcijański. Do zgonu było wam jeszcze daleko. Nie ma dzięki Bogu ani mrozu, ani wiatru, a że śnieg pada... no! to jeszcze

niewielkie rzeczy.... I za godzin dwie nie przysypałby was całkowicie... Dokąd droga waszeci?

— Do Katowic. Spieszę na dworzec, aby pociągiem, wychodzącym o godzinie dziesiątej, udać się do Krakowa.

— Oj! do Krakowa! Żeby godziło się zazdrościć, zazdrościłbym waszeci pewnie... Dawno już pragnę Kraków zobaczyć, a jechać nie mogę i pewno nie prędko pojedę... Do Katowic zaś idziemy razem. Wstąpimy na chwilę do kościoła; pokłonimy się przed ołtarzem Panny Najświętszej, zmówimy krótki pacierz, a potem doprowadzę was do kolei. Czasu mamy jeszcze dość!

Szli żwawo i raźnie, ciągle z sobą gwarząc.

Staś kulał na jedną nogę, a ile razy przypadkiem uraził się w bolącą rękę, westchnienie z syknięciem wyrwało się mimowolnie z jego piersi.

Towarzysz zapytał, co mu dolega.

Staś, zgorączkowany trochę, cierpiący — chociaż całą siłą woli panował nad cierpieniem — potrzebował się przed kimś wywnętrzyć, mówił zatem z wiekiakiem tak szczerze, jakby go znał od lat wielu. Wzruszeniem nie omylił się, pokładając w nim zaufanie. Wybawca jego był człowiekiem zacnym, posiadał serca i wykształcenia w rzeczach ojczystych tyle, ile potrzeba na usprawiedliwienie nieprawidłowego czynu, jakim była dezercya Stanisława.

W skromnej, katowickiej świątyni pomodlili się obaj gorąco, poczem włościanin udał się z młodym człowiekiem na dworzec, a przekonawszy się, że pieniądze, jakie Staś posiadał, nie wystarczą na opłacenie podróży — szynkarz bowiem oszukał go przy zmianie — dołożył swoich ze skórzanej kalety, kupił bilet do Krakowa i kupiony mu wręczył. Na posiłek, na

spożycie śniadania, nie było czasu. Dzwon kolejowy odzywał się już po raz drugi, bohater nasz zatem uściłaskał serdecznie dobroczyńcę i pośpieszył zająć miejsce w wagonie trzeciej klasy.

W drodze Staś drzemał wprawdzie, ale wypocząć nie mógł, wszystkie bowiem przedziały przepelniali liczni podróżni. Wszędzie było ciasno. Nie mógł wyciągnąć się na ławce. Musiał kontentować się małym kącikiem przy oknie. Otwierał je od czasu do czasu dla odświeżenia powietrza. Rana dokuczała mu więcej obecnie niż na chłodzie i w ruchu. Noga skurczona i zgięta w kolanie zaczęła puchnąć gwałtownie. W trzech palcach u lewej ręki rwanie wzmagало się co chwila. Ogólne osłabienie i niedomaganie wzrastało, a z cierpieniami przyszła gorączka, paląca ciało jak zarzewiem, mieszająca zmysły, wywołująca ból głowy nieznośny. Walczył z nią młodzieniec, o ile mocy starczyło. Nie chciał poddać się jej bezwzględnie; pragnął przynajmniej władze umysłowe utrzymać w równowadze... choćby tylko do Krakowa.

Wysiłkom tym stało się zadość. Wysiadł z wagonu, złamany wprawdzie, całkiem niemal jednakże przytomny.

Przebiegł ulicę Lubicz i plantacye, śniegiem usłane, pędząc jak szalony, zapytując siebie samego w duchu, czy to prawda, że już depcze bruk Rzymu polskiego, grodu skarbnicy najdroższych i najświętszych pamiątek, Mekki słowiańskiej, do której od dziecka rwało mu się serce, którą odtwarzał tyle razy wyobraźnią, którą kochał nie znając. Chciał widzieć wieżycę Maryackiego kościoła, Wawel sędziwy, mogiłę Kościuszki, odgadnąć, w której znajdują się stronie, odróżnić je od innych gmachów i pomników, poznać sam, nie od-

wołując się do informacji przechodniów... ale mury, baszty, domy, drzewa, latarnie, słowem wszystko, mięszało się przed jego oczyma w jakiś dziwny, migotliwy, różnobarwny chaos, męczący mózg, trawiony gorączką.

Skaleczona noga, po długim wypoczynku w wagonie, nagle teraz w gwałtowny i, przyspieszony ruch wprawiona, bolała jeszcze więcej niż w ciągu podróży.

Za bramą Floryańską zatrzymał jakąś staruszkę.

— Gdzie jest ulica Grodzka?

— Wprost pana.... jak strzelił.

Ruszył w kierunku wskazanym, mruczając sobie pod nosem adres Bolewskiej, jakby się bał go zapomnieć.

Jeden zegar wybił godzinę, później drugi, trzeci...

Wstrząsnęły nim te spiżowe, równe jakby mierzone uderzenia. Pod jego czaszką zerwała się zawierucha pełna szumu i jakiegoś szatańskiego wycia; oczy zasły mu mgłą wilgotną, krwawą, purpurową; po ciele przebiegały dreszcze.

Kiedy mijał starożytną świątynię Panny Maryi Krakowskiej, uroczę dźwięki hajnału rozbrzmiewać zaczęły w powietrzu.

Dźwięki te, zatrzymały go jak wrytego w miejscu.

Nietylko słuch niemi poił... Zdawało mu się, że dusza — na chwilę wolna od miotającej nią burzy — wznosi się do nich w przestrzeń niebieską, wtóruje im, z ciała ku nim wylata. Z tamtąd... z ukoronowanej, gotyckiej wieży, spływało nań ukojenie błogie. W sercu budziła się Wiara w przyszłość. Nadzieja, jak anioł piękna, łączyła dłoń swoją z dłonią Miłości, stanowiącej duszę jego duszy. Tym fantastycznym wyobrażeniem

tony hajnału dawały widome kształty postaci powiewnych i cudnych jak marzenia poety.

Czar uspokojenia nie trwał niestety długo.

Razem z ostatnim dźwiękiem, szatan gorączki, jakby zdziwiony potęgą tradycyi, tak pomyślnie oddziaływającej na „obcokrajowca“, urodzonego gdzieś aż nad Sekwaną, falą wezbranej i rozpalonej krwi o mózg jego uderzył. Nogi się pod Stanisławem zachwiały; uszedł kilka kroków wśród ustępujących mu się z drogi przechodniów, zatoczył się raz, drugi... i oparł nareszcie o mur zimny.

Był na Grodzkiej i szczęśliwym zbiegiem okoliczności znalazł się w bramie domu, w którym mieszkała Bolewska. Zupełnie już nieprzytomny, ale przecuciem wiedziony, wbiegł na drugie piętro i zadzwonił.

Otworzyła mu służąca. Przerazona twarzą czerwoną i strasznym wyrazem oczu dziwacznie ubranego młodzieńca, już chciała drzwi zamknąć, aby nie wpuścić podejrzanego intruza, kiedy Stanisław — instynktownie tylko domyślający się zamiaru dziewczyny — zwał się na podwoje całym ciężarem swego ciała i wpadł do przedpokoju, wołając:

— Mateczko droga!

Głos jego był zachrypnięty, gardłowy.. zdławiony. Pani Irena wybiegła z sąsiedniej komnaty.

— Staś! — krzyknęła — dziecko moje! co tobie? .. w jakim że stanie przybywasz?

Otworzyła ramiona jak do uścisku, ale on się w nie nie rzucił.

— Mów... mów... co ci jest?

— Uciekłem... Z wojska uciekłem — wybełkotał.

Bolewska pobladła. Chwyciła go za rękę i wprowadziła do salonu.

Stanisław oczami krwią nabiegłemi, szklanemi, patrzył chwilę na przybraną matkę, nie widząc jej wcale. Westchnął głęboko, obie ręce położył na czole, skronie niemi przycisnął... potem poddał się naprzód całym ciałem i runął pod stopy opiekunki.

XVI.

Uśmiech losu.

Długą i ciężką była choroba Stanisława.

Powolny powrót do zdrowia nie posiadał charakteru rekonwalescencji zwykłej, z początku bowiem, po tyfusie, przytomność wracała chwilami i chwilami tylko poznawał otaczające go osoby. Poznając je nawet, nie mógł się z nimi porozumieć i rozmawiać, nie mógł podziękować za czułe starania, jakimi był otoczony. W miarę postępu czasu, ciało mdłe i osłabione, krzepiło się trochę, duch jednak — tylu wstrząśnieniami zachwiany — potrzebował znacznie dłuższego wypoczynku i jakiejś cichej bierności, aby odzyskać dawną swobodę i moc dawną.

Nieraz pomiędzy jedną a drugą drzémką, pomiędzy snem jednym a drugim, widział Bolewską i Janię, krzątające się koło siebie z poświęceniem bez granic. Słyszał ich szepty, wyrazy rozumiał; — pomimo to nie był w stanie dać im poznać, że kocha obie równie szczerze i gorąco jak przedtem, jak przed laty, że sercem jest im bliski, a nie wyraża wdzięczności swojej słowami dla tego tylko, że brak sił na to nie pozwala.

Jania — która niedawno sama powstała z łóżka — czarująca zawsze wdziękiem ruchów, wydawała mu się cokolwiek zmienioną.

Chociaż nad oczami jego wisiała ciągle jakaś mgła purpurowa, niedozwalająca widzieć dobrze w ciemności — sztucznie wytworzonej w jego pokoju przez zakrycie okien grubemi frankami — dostrzegał — kiedy Jania nad nim się pochylała — że lica jej blade nie posiadały dawnej alabastrowej gładkości. Jakieś drobne plamki czy zagłębienia twarz jej pokrywały.

Nie łamał sobie głowy nad odgadnięciem, co to być może, nie mógł bowiem jeszcze myśleć, a każde wysilenie, czy dla rozwiązania tajemniczej zagadki, czy obudzenia pamięci, czy w celu zdania sobie jasno sprawy z obecnego położenia rzeczy, męczyło go okropnie, wywoływało ból głowy i dłuższy — że tak powiemy — atak letargiczny, bo inaczej trudno nam nazwać stan odrętwienia, w jakim często jeszcze pozostawał.

Pewnego dnia, przebudziwszy się, ujrzał w fotelu — zwykle przez panią Irenę zajęтым — obok swego łóżka, jakąś osobę obcą, prawdopodobnie służącą.

Upłynęło parę godzin, a ani matka przybrana, ani Jania nie zjawiały się, nie przychodziły. Dziwiło go to, może nawet udręczało, nie zdobył się jednak na wysiłek, aby usta otworzyć i zapytać, dokąd się udały i kiedy powrócą.

Czekał, leżąc nieruchomy, z zamkniętymi powiekami.

Weszły nareszcie obie razem... w czarnych, żalobnych sukniach, w długich, krepowych welonach.

Ktoś z krewnych czy przyjaciół umrzeć musiał... ale kto?!

Dźwięki hajnału, jakie kiedy niekiedy uszu jego dolatywały, dźwięki, które lubił, w które wsłuchiwał się z rozkoszą, były dlań wskazówką, że znajduje się w Krakowie.

Tu... w Krakowie... nie znał nikogo, niczyja też śmierć nie mogła go interesować bardzo; zwłaszcza, że dwie istoty ukochane — Irenę i Janię — widział przez lekko uchylone powieki, miał je przed sobą, odczuwał każdy ich ruch magnetycznie, każdy wyraz wyszeptany chwycił uchem.

— Zkąd teraz przybyły? — myślał.

Sługa opuściła pokój.

Bolewska, pewna że Stanisław spi ciągle — najlepsze bowiem drzenie nie poruszało jego rzęsami — zaczęła rozmawiać z Janią po cichu.

— Dawno już nie pamiętam tak nielicznego pogrzebu. Niestety! dziwić się ludziom obcym nie można; pan Filip żył tylko dla siebie, to też po śmierci nikt prawie o nim pamiętać nie chciał.

— A jednak przed zgonem, pogodził się z Bogiem i bliźnimi. Na cele dobroczynne pozostawił dość znaczne legata, Karolowi przebaczył, Stasiowi cały majątek zapisał...

— Dzięki twojej interwencji. Gdyby nie ty, moja Janiu, dobra jak anioł i poświęcająca się dlań jak córka, skarb jego ukryty, nigdyby nie oglądał światła dziennego, nigdy nie stałby się Stasia własnością. Tyś noce i dni trawiła przy dogorywającym powoli sknerze tyś na nim wymogła zmianę postanowień, oczarowałaś go, poprawiłaś... Za twoim wpływem przepędził ostatnie dni życia w skrusze i żalu za grzechy, ale zarazem to twoje oddanie mu się na usługi wyrodziło twoją chorobę... Zaskłabłaś z powodu znużenia nad siły...

— O! nie mateczko. Choroba przyszła z dopuszczenia Bożego; świadectwem to — i mówiąc te słowa, z uśmiechem wskazywała na bladą twarzyczkę, tu i ówdzie śladami ospy naznaczoną.

— Ta i cóż to?... dzieciństwo — rzekła swoim śpiewnym, litewskim akcentem pani Irena — o tem wspominać nie warto.

Przeszła się po pokoju i wracając do głównego przedmiotu przerwanej konwersacyi, ciągnęła dalej:

— Zaledwie powstałaś z łóżka, przybyło nam to dziecko drogie — wskazała na Stasia — w jakim stanie... Boże! w jakim stanie! I ty i ja, o mało nie oszaleliśmy z przerażenia i rozpacz. Mniemaliśmy, że zgubiony, że go utracimy na zawsze, w chwili właśnie, kiedy los zdawał się chcieć do niego uśmiechnąć... Cośmy ucierpiały!... Szczęściem Bóg pocieszył; nie mamy już powodu lękać się o jego życie... Lekarze jednomyślnie zgadzają się na to, że wyzdrowieje, a powrót do zdrowia tobie także prędzej niż mnie starej, niedomagającej, zawdzięczyć powinien...

— Ależ mateczko!

— Tak, tak... mówię tylko prawdę szczerą. Panna Najświętsza świadkiem, że chętnie życiem własnem jego życie bym okupiła, ale nie wiele mogłam i gdyby nie ty...

— Nie mów tego...

— Dzieliliś czas pomiędzy dziada i wnuka, tu i tam niosąc pomoc jak anioł, jak siostra miłosierdzia.

— Bo widocznie stworzoną jestem na szarytkę. To też prędzej czy później ostrzygą mi włosy...

— Te cudne twoje blond włosy! Nigdy na to nie pozwolę.

— Włożę na głowę biały kornet z dużemi skrzydłami...

— Nie mów tego, nie mów tego... Słyszeć o tem nie chcę. Życie powinno posiadać dla ciebie jeszcze dużo uroku.

— Posiada mateczko... posiada niezawodnie, bo robiąc, co robię i co zamyślam uczynić, czyż nie jestem najszczęśliwszą istotą na świecie!

Bolewska złożyła na czole dziewczęcia czuły pocałunek.

— Zresztą, jak wiesz — mówiła Jania — Franio się żeni i potrzebować mnie będzie, projekt zatem wstąpienia do klasztoru odłożyć muszę na później. W ostatnim swoim liście, pisanym z Petersburga, zapowiedział, że lada moment wezwie mnie do Warszawy, gdzie mam udać się bez zwłoki, aby mu urządzić mieszkanie i przyjąć państwa młodych na progu, z chlebem i solą.

— A Staś?

— Wyjadę dopiero wtedy, kiedy będę o niego zupełnie spokojną.

— A moje marzenia, moje pragnienia gorące, o których mówiłam z tobą nieraz?

— To tylko marzenia, droga mateczko!... Po między Stasiem i mną, rzuciła ospa zaporę nie do przebycia.

— Dziecko niedobre, żartujesz chyba! Naprzód, i teraz jeszcze, pomimo drobnych śladów ospy na twarzy, jesteś uroczo piękna... a później, czyż go nie znasz, czy nie wiesz, jakie to złote serce?

— To też przypuszczam, że on, jak zawsze dobry, kochać mnie nie przestanie, kochając po dawnemu, tylko jak siostrę.

Głos jej, dotąd dźwięczny i wesoły, zadrżał teraz i zniżył się o jedną oktawę. Zauważyła to pani Irena.

— Lecz ty... ty moja najdroższa, powiedz mi szczerze, jak... jak go kochasz?

— Jak brata.

Głos jej zdawał się jeszcze bardziej zamglony, bardziej drżący i cichy. Coś jak łkanie tłumiała w piersi.

— O nieprawda — zawołała Bolewska — tak być nie może.

— Tak być powinno.

— A gdyby on ciebie nie jak siostrę pokochał?

— Nie pokocha.

— Tażę przewidywać tego nie możesz, nie masz prawa — rzekła Litwinka, zdziwiona trochę tonem stanowczym Jani.

— Ty mateczko będziesz mu o mnie mówić tyle dobrego, tak podniesiesz moje niby-zasługi w jego oczach, tak starać się go będziesz olśnić, oszołomić, swoje przekonanie w niego przelać, że on przez wdzięczność, poświęci się i da mi serce swoje w jałmużnie. Pojmujesz, że takiego poświęcenia przyjąłbym nie mogła, zwłaszcza że teraz on jest bogaty, a ja nie posiadam wcale majątku, że on ładny chłopiec, a ja oszpecona....

— Och! dajże z tem oszpeceniem pokój, bo gotowam posądzić cię o kokieterię! Żeby zaś cię uspokoić co do moralnej strony..

— Wiem, wiem co powiesz....

— Nie wiesz!... Przysięgam ci, że o niczem, co się tu działo w Krakowie, nie wspomnę, że nie dowie się odemnie, iż z zaparciem się bezwzględnem nocie bezsenne przepędzałaś przy zgrzybiałym, wstrętnym, odrażającym skąpcu; iż z cierpliwością anielską znosiłaś jego cyniczne, pełne ironii pociski i żarty; że zapoznawałaś go z imieniem i charakterem Stasia, przedstawiając chłopca w najpiękniejszych kolorach; że znękane-

mu fizycznie i upadłemu na duchu starcowi wskazałaś jedyną drogę odkupienia w pogodzeniu się z Bogiem i ze światem; że ty jedna zdołałaś go skłonić, aby wynagrodził krzywdę, jaką wyrządził synowi i wnukowi, opuszczając ich zupełnie... Wszystko to przed Stanisławem zamilczę, ani słówkiem przed nim się nie zdradzę; ty jednakże, przysięgnij mi nawzajem, że do klasztoru nie wstąpisz, ofiary ręki jego i serca nie odrzucisz, kiedy on sam... dobrowolnie, z własnego natchnienia... przyjdzie je u stóp twoich złożyć.

Jania wzruszona, rozrzewniona, ze łzami w niebieskich — czystych jak błękit niebios — żrenicach — patrzyła na staruszkę, pełną jakiegoś świętego zapału i uniesienia.

— Pragnę szczęścia was obojga — mówiła pani Irena. — Może go nie doczekam, chcę zatem być pewną, że was nie minie... Przysięgnij mi, przysięgnij — powtarzała niecierpliwa, drżąca, z wypieczonym na białych jagodach rumieńcem.

— Przysięgam! zawołało dziewczę i rzuciło się w objęcia zacnej Litwinki.

— No! teraz umrę spokojna — szepnęła Bolewska.

Lekkie poruszenie Stasia na łóżku przerwało rozmowę.

Obie kobiety, jedną popchnięte myślą, przybliżyły się do chorego. Pragnęły przekonać się, czy cierpiący słyszał to, co mówiły z sobą przed chwilą.

Stanisław leżał jak martwy, z powiekami zamkniętymi. Zdawało się, że spi spokojnie. Twarz jego blada wyrażała znużenie tylko.

Pani Irena, milcząc, ścisnęła Janię za rękę; Jania odpowiedziała jej takimże samym, wymownym ale cichym uściskiem.

Od owego dnia, polepszenie w stanie zdrowia młodzieńca stawało się coraz widoczniejszym. Nie mówił wprawdzie jeszcze czas jakiś, ale ile razy jedna z dwóch jego opiekunek doń się zbliżała, uśmiech szczęścia i radości rozwierał mu usta, a wzrok błyszczący dziękował za czułość i starania, jakimi był otoczony. Dla Jani miewał jakieś uśmiechy — nie powiem życzliwsze — lecz bardziej pieszczotliwe, miłsze, wymowniejsze, pełne czci i miłości zarazem.

Czy był szczerzy, czy tylko dobrze udawał?... Trudno było odgadnąć

Wdzięczność i delikatność zakorzeniły się mocno i głęboko w jego sercu, usposobieniu i charakterze. Dla tego też niepodobna było określić, gdzie kończą się granice bratniego przywiązania do wielbionego od dzieciństwa dziewczęcia, a gdzie zaczyna się uczucie gorętsze, pospolicie zwane kochaniem.

Jak na drzewie nie ma dwóch listków zupełnie do siebie podobnych, tak wśród ludzi nie ma dwóch miłości zupełnie jednakich. Każdy ze śmiertelnych inaczej nią płonie i inaczej pojmuje; każdy, co o niej pisze, w odmienny sposób ją bada i definiuje. Od czasu, w którym miłość z trójnoga naukowego uznana została za popęd zwierzęcy, łączący samca z samicą w gorzej lub lepiej dobraną parę, a stosunki towarzyskie zredukowały jej doniosłość dodatnią do znaczenia czynnika, wytwarzającego mniej lub więcej korzystne asocjacje pracy i kapitału, od tego czasu straciła ona swój urok i czar idealny, z którymi tak jej było do twarzy. Czy na tem zyskali kochankowie i społeczeństwo?... Wątpię. Rozsądek — największy z realistów — twierdzi i dowodzi, że kochankowie częściej potrzebują być ludźmi niż zwierzętami, a gdzie są ludzie, ugrupowani w pewne gromady, tworzące gminę, państwo, naród,

tam pierwiastek ideału musi być brany w rachunek równie ścisły jaki pierwiastki materyalne, inaczej bowiem warunki wspólnego bytu się rozprzęgną, umowa socyalna utraci swój walor i strony kontraktujące zdzi- czeją, wydane na łup bezdusznemu samolubstwu.

Ale o tem wszystkiem Staś nie myślał; był wdzięczny i przez wdzięczność kochał Janię pomimo ospy, która ślady swoje wyryła na jej twarzy, do- tąd jeszcze ślicznej wdziękiem młodości i wyrazem dobroci anielskiej. Nie zastanawiał się zaś, w jaki spe- sób ją kochał, bo umysł jego — w ogólności bystry i twórczy — w krytycznej analizie nie szukał mate- ryалу do zajęcia, a dyssekowanie własnych uczuć, było dlań pracą zbyt mozolną i nudną, aby się chciał jej poświęcić.

Prawie nagle opuściła Jania Kraków, powołana do Warszawy przez niecierpliwego brata.

Franciszek, znany już rozgłośnie, chociaż jeszcze niemający adwokata, rozmiłowany namiętnie w swojej Lutce — której rękę oddał mu przed zgonem jej ojciec, hrabia z Zalesia, długim zrujnowany procesem — nie pytał, czy swem wezwaniem nie rozłącza serc dwojga kochających się także, chociaż inną cierpliwszą i spo- kojniejszą miłością. Jakże się miał drugimi interesować, kiedy sam — mimo wielkiej mocy i panowania nad sobą — jak na żarzących węglach oczekiwał na chwilę, w której w petersburskim, maltańskim, katolickim ko- ściele, połączy się na życie całe z ukochaną narze- czoną. Żeby zaś stanąć przed ołtarzem potrzebował mieć mieszkanie urządzone w Warszawie — do której pragnął i musiał się przenieść; — nikt zaś, tylko „sio- strzyczka“, dobra jak anioł, mogła podjąć się tej misyi i spełnić ją zupełnie tak, jak tego sobie życzył, czyniąc zadość wszystkim wymaganiom dobrego smaku, miarko-

wanego jednakże konieczną a niezbyt daleko posuniętą oszczędnością.

Staś już się z łóżka dźwigał, kiedy nadeszła oznaczona chwila rozłąki. Chwila ta nie wywołała wyznań miłosnych, zobowiązań wiecznego kochania, czułych oświadczeń i przysięg wierności. On i ona — jak nigdyś kiedy byli dziećmi — rozstawali się i teraz z żalem i smutkiem, ze łzami w oczach i drzeniem rąk, łączących się w serdecznym uścisku, ale ponieważ proste i czyste było ich uczucie, więc i pożegnanie nosiło na sobie charakter prostoty, wolnej od wszelkiej przesadnej tkliwości. Dlatego też obrazu rozstania kochanków nie oprawiamy w ramy romantyczne, pełne szczegółów misternie rzeźbionego słowa; chociaż przyznajemy, że pięknieby się w nich wydać mogła para... takich dobrych. Ale... opisujemy tu prawdę a nie zmyślenie, a dla prawdy i sztuka często ozdób się wyrzeka.

Postanowiono przed wyjazdem, że Staś, skoro tylko uczuje się zupełnie zdrowym, załatwi naprzód sprawy majątkowe, nietrudne do uregulowania, gdyż ś. p. dziad jego, pan Filip Mowelski, pozostawił tylko kapitały, a potem ruszy w świat szeroki. Zwiedzi Włochy, Hiszpanię i Francję, aby poznać arcydzieła mistrzów dawnych i kształcić się dalej w malarstwie, którego — pomimo sukcesyi — artysta wyrzec się nie chciał. Po podróży powróci do Krakowa, gdzie na stałe osiedzie... i gdzie może znowu się zobaczą. Jania zobowiązała się odwiedzić Goldenkrantza i zawiadomić go o zmianie losu Stanisława, oraz usprawiedliwić Stasia przed bankierem, dlaczego dotąd nie pisał do przyjaciela.

Po tych wszystkich postanowieniach, wygłoszonych w rozmowie urywanej, gorączkowej, przeplatanej to westchnieniami to łzą spływającą po licach, Staś

ucałował rączki Jani i odprowadził ją do przedpokoju. Dalej jeszcze, z polecenia lekarza, wychodzić nie mógł.

Dziewczę zatrzymało się na progu chwilę i patrząc na bladego młodzieńca, szepnęło łamiącym się głosem:

— Do widzenia.

— Do widzenia — wyjąkał Staś.

Bolewska, gotowa do wyjścia, bo odwieźć miała Janię na kolej, objęła ramieniem chwiejącą się panienkę.

Drzwi się za niemi zamknęły.

Rekonwalescent zbliżył się do okna, wychodzącego na rynek. Widział jak powóz zatrzymał się przed kościołem Panny Maryi, jak obie ukochane istoty wysiadły, jak w kilka minut potem wróciły... Poczem stangret skręcił konie w stronę ulicy Szpitalnej, a powóz zniknął za poczerniałym murem starożytnej świątyni

Pozostał sam..... znowu sam jeden... bo chociaż pani Irena za moment powróci, trzeba będzie wkrótce ją opuścić i iść samemu, wśród obcych, po twardej drodze życia... tylko z nowymi skarbami wspomnień w sercu.

Szczęśliwszym był od innych pod tym względem. Iluż to — ilu, odbywa tę peregrynację, przez osty i ciernie, nie niosąc z sobą nawet tego kordyału, umacniającego zbolałego lub zrozpaczonego ducha. Ale nie ma na świecie człowieka, któryby względne szczęście należycie ocenił. Staś zażawionem okiem patrząc za nikiem w oddaleniu powozem — wydzierającym mu Janię na długo — szeptał z ironicznym uśmiechem na ustach :

— Uśmiech losu!... oj! uśmiech losu!

W kilka dni po wyjeździe Jani, otrzymał następujący list od Goldenkrantza :

„Kochany Panie Stanisławie!

„Zle pan zrobiłeś, coś uciekł z wojska, ale złe nie jest tak straszne, jak się to Panu pewno z daleka wydaje. Wtedy, kiedy Pan myślałeś, jakby drapnąć, ja myślałem, jakby Pana z munduru i z pod karabina wybawić. No i wybawiłem. Akurat, w dzień, kiedy Pan nas, to jest mnie, poczciwego kapitana, rotę i Warszawę, puszczałeś w trąbę, nadeszło dla Pana uwolnienie od służby, jako dla poddanego francuskiego. Widzisz Pan, że jeszcze są przyjaciele na świecie, a do takich ja się liczę. Mocno szczęśliwy jestem, że Pan po ciężkiej chorobie do szlachetnego zdrowia powrócił, bo wszakże jeden wielki poeta powiedział: „szlachetne „zdrowie, nikt się nie dowie, jako smakujesz, aż zachorujesz.“ No, przyjemnie mi także że los się do Niego uśmiechnął i że Pan teraz majątny człowiek. Majątek — widzi Pan — nigdy nie zaszkodzi, nawet przy talencie, a Bóg daje dlatego talent, żeby człowiek majątek zrobił. Jedźże za granicę do pięknej Italii i do Paryża, ucz się dobrze i wróć do nas wielki jak Rafael i inne jemu podobne sławne malarze.

„Czego Panu życząc z głębi mego serca, wraz z moją Felą, która się już na Pana nie gniewa, pozostaję raz na zawsze

„szczerym pańskim przyjacielem
J. Goldenkrantz.“

— Będziesz mógł zatem, z czasem, po podróży, powrócić do Warszawy — powiedziała Bolewska, kiedy jej Staś list poczciwego bankiera przeczytał.

— Cieszę się z tego, pewny jestem, że tym sposobem wcześniej Janię zobaczę... Wątpię bardzo, czy będzie mogła przyjechać na stałe do Krakowa. Lu-

dwinia podobno nie lubi zajmować się gospodarstwem domowem. Ręczę, że Franio obarczy niem siostrę, a ona, przy swej anielskiej dobroci, chętnie podejmie się najtrudniejszych i najprzykrzejszych obowiązków.

— Masz słuszość; tak się stanie niezawodnie... Pamiętaj, bo ja stara jutra mogę niedoczekać, że wידzenie się wasze, od ciebie tylko zależy.

— Pamiętam, pamiętam droga mateczko... A nie zasmucaj mnie zbyt bolesnem dla serca mego wyrażeniem, za często pojawiającem się na twoich ustach. Doczekasz się szczęścia nas obojga. Zobaczysz...

Urwał nagle, nigdy bowiem w tym przedmiocie wyraźnie mówić nie chciał. Może lękał się zdradzić; może obawiał się kusić i wyzywać przeznaczenie. W krótkim stosunkowo życiu przeszedł już tyle kolei, że nie śmiał układać projektów na przyszłość. Ile razy sięgnął myślą w to, co będzie i wyobraźnią zaczął budować zamki na lodzie, wnet złotą przędzę marzeń rozpędzał, rozganiał, jak snujący się w powietrzu dym papierosa. Niby *memento* powtarzał w duchu:

— Zawiodłem się niedawno, dziś zatem lepiej czekać... Czekałmy.

Dawniej tak nie myślał; zawodów nie widział, nie doznawał. Dopiero po chorobie, wola jego w sprawach uczuć popadła w oscylację i wahanie, jakby mróz przedwczesnego rozczarowania zwarzył w nim niespodziewanie bujnie rozwinięty kwiat młodości.

Tymczasem rzecz się miała przeciwnie. Młodość krwi właśnie toczyła teraz walkę ze złotem sercem, wdzięcznem i poświęcić się gotowem. Prawa natury budziły zmysły, a on im się opierał, jak mógł i umiał. Oj! ci młodzi! Często porównać ich można do owego piwa z przysłowia, co to wyszumieć się musi. Drobne ślady ospy na ukochanej twarzy zakłóciły spokój jego umysłu

i poruszyły męty nawyknień warszawskich. Ciało buntowało się przeciw aspiracyom ducha.... Jak według słów Chrystusa inny podatek złożyć potrzeba cesarzowi, a inną daninę Bogu, tak i przyrodzie opłacić się należy, chcąc dla czystych uczuć mieć czyste i święte ofiary. Złote serca wtedy dopiero stają się zupełnie dobrymi, kiedy doczekają męskiej dojrzałości. Dojrzałości tej, Staś jeszcze nie dobiegł, musiał zatem walczyć ze skłonnościami zakłócającemi jego spokój i jak motyl nocny lecieć do ognia.... Tak było, jest i będzie **zawsze**.

Zaledwie otrzymał od lekarzy pozwolenie wychodzenia na miasto, wnet przy pomocy adwokata Bolewskiej zajął się interesami. Pilno mu już było w świat, na Zachód... choćby po rozkosz, której usta pragnęły.

Zdziwiło go potroszę, że ludzie w ogólności, — dawniej dla niego obojętni lub lekceważący nim przy lada sposobności — teraz kłaniali mu się nisko, na jego widok w pogodę przyoblekali twarze, witali go życzliwie, winszowali mu talentu, dzielili jego poglądy, chwalili powierzchowność. Nie od razu dał się chwycić na wędkę pochlebstwa. Przeskok od nędzy do bogactwa był za szybki, aby Staś się nie spostrzegł, że nie on, lecz złoty cielec stał się przyczyną nagłego uznania, sympatyj i szacunku. Ile razy niżsi stanowiskiem towarzyskiem lub społecznym zwali go „jasnym panem“ lub „panem dobrodziejem“, a wyżsi garnęli się doń bez powodu, szeptał sobie w duchu:

— Uśmiech losu!... o ten uśmiech losu!

Pomimo to, nie gardził bliźnimi — tylko ich żałował.

Pierwszą czynnością jego w interesach było wysłać znaczną sumę na ręce Goldenkrantza, z gorącą prośbą, aby zajął się ojcem na wygnaniu, aby staraniami i zabiegami najszybszemi i najgorliwszemi sta-

rał się umożliwić jego powrót do kraju. Do Karola napisał — według domniemanego adresu — błagając o odpowiedź. Wspomniał o widzeniu sennem pod Katowicami i datę dnia tego oznaczył. Ponieważ listy z dalekiego Wschodu długo wędrują, prosił ojca, aby pismo swe adresował do Paryża, do mieszkania pani Lepelletier, gdzie babka — zawiadomiona telegraficznie o wszystkim, co zaszło — niecierpliwie oczekiwała na przybycie wnuka.

W Szkole Sztuk Pięknych krakowskiej, wyszukał dawnego kolegę — zwanego Małpą — i obdarzył go znacznem wsparciem, aby trzy lata kształcił się w malarstwie, bez troski o niepewne jutro. Rozmaitych ubogich i nieszczęśliwych, protegowanych przez Bolewską sowicie opatrzył; tej i owej instytucji filantropijnej przesłał bezimienne ofiary; tylko na cele dobroczynne — o których drukują gazety — nie dał ani centa. Miał wstręt wrodzony do wspaniałości, szukającej rozgłosu. Przez Janię w Warszawie trafił do Michała. Dzieweczka całą duszą wdzięczną mu była, że może od czasu do czasu, wzywając do siebie pocziwego żołdata, rozmawiać z nim o „ukochanym paniczku“. Adwokata uprosił, aby wywiedział się o ciotkę Weronikę, — bo i tej pominąć nie chciał — gdzie się obraca, co się z nią dzieje, i aby mu o tem doniósł co najspieszniej. Cały swój, niemal milionowy fundusz, złożył w Banku Galicyjskim, a pożegnawszy się serdecznie z panią Ireną, uściskawszy przybraną matkę jak najczulej, ruszył w świat, zdrów zupełnie, wyleczony nawet z chwilowej hipokondryi, którą wyrodził uśmiech losu, czy też wymarzone rozczarowanie.

Nie będziemy towarzyszyć Stasiowi w jego podróży po klasycznej ziemi włoskiej, ani po Hiszpanii. Powiemy tylko, że młodzieniec w Italii dopiero zrozu-

miał prawdziwe piękno wielkiej sztuki, że oczy i duszę napełnił obrazami, które, raz w pamięci wyryte, nie zacierają się już nigdy.

Wobec arcydzieł egzaltujących umysł, ducha i serce, zamilkły żądze. Stanisław patrzył, podziwiał, uczył się, zachwycił i wzbogacał tekę swoją podróżną kopiami, szkicami i studjami z antyków i natury. W pracy pożytecznej rozwijał się, męźniał, dojrzewał. Depcząc gościńce starożytne, wykreślał w myśli kierunki narodowych szlaków cywilizacyjnego postępu. Jak pszczołka niesie miody do ula, tak on nabywał cenne rzeźby, malowidła, księgi, odnoszące się do dziejów polskich, a każdą podobną zdobycz na korzyść rodzinnego kraju przeznacział.

Wreszcie, po kilkomiesięcznej włóczędze, naglony częstymi listami babki — ścigającami go, gdzie się tylko obrócił — pełen nadziei, że w stolicy Francji znajdzie wiadomości o ojcu, udał się do Paryża.

W pierwszej chwili, kiedy jechał w fiakrze z dworca Kolei Żelaznej Śródziemnego Morza do dzielnicy europejskiej (*quartier de l'Europe*) — w której obecnie pani Lepelletier zamieszkiwała — nowożytny Babilon, w porównaniu do grodów włoskich, a nawet do Krakowa, wydał mu się dziwnie nieładny. Olbrzymi, gwarny, ruchliwy, ze swemi wysokimi niby z kart zbudowanymi domami, z gmachami publicznymi, rzadko rozsianymi wśród niezliczonych mieszczkańskich kamienic, ze swą błyskotliwością tandetną, z fizyonomią kupiecką, z problematyczną czystością, nie odpowiadał wyobrażeniu, jakie nasz turysta wytworzył sobie o Paryżu, stolicy świata, przodującej cywilizacji, narzucającej miastom i ludom, swoje pojęcia, mody, sztukę, towary, literaturę i zepsucie.

Automedon, wiozący Stanisława, pogrążonego w dumania, zatrzymał się przed 78 numerem na *rue de Rome*.

Młody człowiek wyskoczył z fiakra, wbiegł na schody i spotkał na nich babkę.

Pani Lepelletier nie czekała, aby ją wnuk poznał, sama mu się rzuciła na szyję, okrywając jego policzki tysięcznymi pocałunkami.

Wiek ją pochylił, przygarbił — ale nie zmienił wiele. Krucze włosy peruki lśniły jak niegdyś nad jej pomarszczonem czołem. Jaskrawy szal indyjski w palmy okrywał ramiona; z pod szala wyglądała pąsowa spódnica, garnirowana taśmą w żółte kwiaty.

Staruszka wołała, klaszcząc w ręce :

— *Mon Stanislas! mon bébé cheri!* Otrzymałam wczoraj twój telegram.... Jaki z ciebie ładny chłopiec, wszystkie Paryżanki będą za tobą przepadać... Całą noc nie spałam.... Te oczy, ten nos, ta broda.... istny portret mojej biednej Amelii.... Od rana siedzę w oknie i oczekuję.... Nic nie jadłam; napiłam się tylko kropkę koniaku.... Wierny wizerunek nieszczęśliwej córki... Zdaje mi się że na nią patrzę.

— Kochana babciu, wszyscy utrzymują, że jestem więcej do ojca podobny.

— Może... może.. i do ojca trochę... o! bo ona go tak kochała!... ale także do matki. Moja krew, dobra krew.... Poznałam cię od razu, kiedyś z fiakra wysiadał... Mówię do bony.... A! dobrze, że sobie przypomniałam... Rozalio! Trzeba wnieść kufry pana hrabiego na górę... Prędzej.

Rozalia jak sarna przemknęła szybko po schodach.

— Mówię do bony, do tej oto Rozalii — ciągnęła dalej staruszka — nie może być kto inny tylko mój Stanisław, *mon brave Polonais*... Głos krwi mnie nie myli.

Śmiała się i płakała naprzemian; chwilami nawet śpiewała.

Lokatorowie, zaniepokojeni niezwykłym hałasem otwierali drzwi na wszystkich piętrach i wychodzili na schody, pytając o przyczynę rejuwachu. Pani Lepelletier odpowiadała:

— *C'est mon petit fils*... blisko dwadzieścia lat, jak go nie widziałam... Sliczny, choć go pod klosz włożyć.

Concierge — baczny stróż domowego porządku — majestatycznie wspinać się zaczął po stopniach, a przybliżywszy się z mycką aksamitną w rękę do Berty, w kwiecistym stylu zwrócił jej uwagę, że radość, nawet tak szlachetna, bo spowodowana przybyciem wnuka, w „dystygowanej“ i „dobrze zamieszkaney“ kamienicy, powinna być ujętą w pewne karby *savoir vivre* i etykiety.

Pani Lepelletier, zawstydzona trochę, z dziecinnym gniewem cofnęła się w tył, ciągnąc wnuka ku drzwiom swego małego apartamenciku w entresolu.

Staś, dla udobruchania cerbera, wsunął mu w rękę dziesięć franków.

Ten, skinął głową grzecznie, ale z godnością jak na *concierge'a* tak „dystygowanej“ i „dobrze zamieszkaney“ kamienicy wypadało.

— *Merci monsieur le comte* — wyrzekł poważnie.

Rozalia pędząc po pakunki Stanisława, pozostawione w fiakrze, już mu zaraportowała, że nowoprzybyły nosi tytuł hrabiego.

Kiedy Staś zniknął za zamykającymi się drzwiami mieszkania pani Lepelletier, godność, powaga i uprzejmość znikły z oblicza odźwiernego. Wsadził aksamitną mykę na głowę, uśmiechnął się pogardliwie i schodząc powoli do swojej łoży, szeptał:

— *Tous ces étrangers ne sont que des sauvages.*

XVII.

P a r y ż.

Pierwszą noc w Paryżu, pomimo wygodnego, francuskiego łóżka, przespał Stanisław źle, niesmacznie. Wrzawa uliczna, turkot wozów i głowa nabita myślami, nie pozwalały mu wypocząć należycie. Wstał zmęczony, ale ciekawy poznać miasto, o którym tyle nasłuchał się od dzieciństwa, owo olbrzymie ognisko sławy, wielkości, upadku moralnego i pomysłowości tworzącej cuda.

Po śniadaniu postanowił wyjść na ulicę. Babka — zachwycona wnukiem — chciała mu towarzyszyć, oprowadzać, pokazywać Paryż i jego pokazywać Paryżowi.

— Dziś właśnie przyjmuje u siebie hrabina de Lallanues, moja serdeczna przyjaciółka.

— Ta, co odmówiła kiedyś babci stu franków w potrzebie?

— O! cóż to znaczy! Przyjaźń przyjaźnią, a interes interesem. Muszę cię jej przedstawić. U niej, szczególnie na wieczorkach, poznasz arystokrację, mężów stanu, uczonych, świat artystyczny, dziennikarzy i literatów.

— Ależ babuniu droga, czy to nie zawcześnie?... jeszcze nie znam miasta.

— Do godziny drugiej zwiedzimy jego centrum, na bulwarach, a to najważniejsza; reszta, ludzi naszej kondycyi mało obchodzi. Potem wstąpimy do hrabiny, potem zjemy objad w jednej z pierwszorzędných restauracyj... Pozwalam ci się na niego zaprosić... potem pójdziemy do teatru, a po północy wrócimy do domu i położymy się spać, używszy dnia przyjemnie i z korzyścią. Zapowiada się on ślicznie.... Widzisz, jak wesoło słońce świeci. U nas w Paryżu tak zawsze.

— A muzea, biblioteki, gmachy publiczne, wystawy?

— Na to będziesz mieć dość czasu jak się osiedlisz, bo nie wątpię przecie, że się tu osiedlisz. Mnie tak będzie dobrze przy tobie! Pojmujesz... wszędzie, na całym świecie wegetuje się tylko; w Paryżu jednym żyje się pełnią życia. Oprócz twojej lodowatej Polski, znam całą Europę, bo ś p. pierwszy mój mąż, hrabia de los Campados Esthevedos y Catalena lubił podróżować, a na podróże środków nam nie brakło. Drugi mój małżonek, nieboszczyk kapitan Vrignault de la Redorde, który trzy razy objechał całą kulę ziemską w około, dnie i noce opowiadał mi o brzydkiej reszcie świata: o Kafrach, Beduinach, Hotentotach, Chińczykach, czerwonoskórych mieszkańcach dziewiczych puszczy amerykańskich, o miastach, jak Meksyko, Pekin San-Yago, Kair, Nowy York, San-Francisko, Filadelfia i ktoby tam wszystkie spamiętał. Gaduła był wielki i posiadał czarujący dar opowiadania... wiem zatem, że i tam nie ma nic ciekawego, a przedewszystkiem nic miłego. Brudy, ohyda, brak cywilizacyi, rozpusta, zepsucie... nic więcej, nic więcej. Ot! ze wstrętem o tem wszystkim wspominał, twierdząc, że po roku nieobecności tęsknił już za Francją, dręczony nostalgią... Powiadam ci, tylko Paryż... Paryż tylko jeden na świecie jest ojczyzną wybranych.

To mówiąc, staruszka ubierała się jak dziwoląg, więcej podobna do mieszkanki jednej z tych brzydkich i barbarzyńskich krain — o których wyrażała się z dziecinną pogardą — niż do Paryżanki, słynącej z dobrego gustu i elegaucyi. Upinała w perukę pióra i kwiaty, kładła na przygarbione ramiona koronki i blondyny, na palce mnóstwo pierścieni najdziwaczniejszych kształtów, byle błyszczących; w stanik, pod szyję, wpięła broszę z fotografią wszystkich trzech mężów, którą umyślnie w tym celu wykonać kazała podług kopij z trzech olejnych portretów.

Kiedy Staś ujrzał ją tak wystrojoną i gotową do wyjścia, aż się przeląkł i w tył cofnął. Wzrok jego artystyczny, lubujący się w harmonii draperyj i zgodzie barw, cierpiał na widok tej dziwacznej fantazyi i jaskrawości nieestetycznej.

— Ależ babciu, w takim kostiumie nie można wyjść na ulicę. Palcem by cię wytykano.

— Patrzcie go; ten dziki Polak, uczy mnie gustu, mnie Paryżankę!... Lecz mniejsza o to; dziś zrobię wszystko co zechcesz, tak się cieszę z twego przybycia.... No, mów, jakże pragniesz, abym się ubrała?

Staś wyszukał w garderobie pani Lepelletier suknie odpowiednie wiekowi staruszki i przy pomocy Rozalii przebrał babkę zupełnie, nadając jej powierzchowności mniej więcej przyzwoity pozór. Nie mógł tylko uzyskać usunięcia broszy z trzema małżonkami.

— Wszystkich trzech gorąco kochałam, wszystkich trzech pragnę mieć zawsze jak najbliżej serca.

Stanisław, jakkolwiek niezupełnie skonwinkowany tym argumentem, uleść musiał.

— Możeby Rozalia zawołała fiakra?

— Nie potrzeba, o parę kroków od domu, mamy stację powozów do wynajęcia.

Kiedy wyszli, piękne przed chwilą niebo, zachmurzyło się i drobny deszczyk zaczął kropić.

— To nic, to przejdzie.. za moment będzie znowu pogoda. U nas w Paryżu tak zawsze.

Na rogu Batignolskiego bulwaru, wprost kolegium Chaptala, wsiedli do odkrytego fiakra. Istotnie deszcz wkrótce ustał i niebo zajaśniało czystym błękitem.

— Dokąd? — spytał woźnica.

— Do kościoła świętej Magdaleny, a później na Bulwary Włoskie — zawołała Berta, promieniejąca jak słońce.

Powóz potoczył się szybko to po kamiennym, kostkowym bruku, to po asfalcie, to po drewnianej, ściśle zwartej i gładkiej powierzchni, ułożonej z prostokątów, wyrobionych z sośniny polskiej i szwedzkiej. Na chodnikach mniej było przechodniów niż w Warszawie, ale środkiem ulicy uwijały się liczne wytworne ekwipaże, dorożki i olbrzymie dwukołowe wozy, ciągnięte przez kilka silnych, rosłych, wspaniale rozwiniętych koni, postępujących za sobą — jak to u nas mówią — szydłem, jeden perszeron za drugim. Olbrzymie domy, dość niesmacznej struktury, od góry do dołu zamienione na sklepy, wydawały się wielką wystawą towarów, najponętniej ułożonych w oknach i przy drzwiach na zewnątrz wywieszonych, aby przyciągały oko i wabiły nabywców. Tłumy kobiet cisnęły się do nich jak do świątyń.

Pani Lepelletier pytała.

— Prawda, że cudne są te ogromne magazyny nowości, gromadzące wszystko, czego człowiek potrzebuje i nie potrzebuje. One jedne cieszą się jakim takim powodzeniem, bo od wojny, a szczególnie od finansowego krachu, handel upada, interesa nie idą. Wszyscy się na to uskarżają.. Ale to potrwać długo

nie może. Nasz przemysł, jedyny w świecie całym, lada dzień zabłyśnie znowu... będziemy mieć wkrótce świetny odwet!

— Nie znam się na tem — rzekł Stanisław — ale upadku nie widzę.

— Jest... jest niestety! Mówię ci to w sekrecie...

— Lecz te tysiące dam, sług i wyrobnic, oblegających sklepy, toć one dawać muszą krociowy zarobek.

— To też one jedne tylko go dostarczają. Chociaż wszystko strasznie podrożało, biedne kobieciątka muszą przecie ładnie się przyodziewać. Kobieta stworzoną jest na to, aby się podobała, to jej los i przeznaczenie, a toaleta stanowi większą połowę jej wdzięku i uroku.

Staś myślał może inaczej, ale nie przeczył staruszce. Czuł, że w tem, co jak papuga powtarza, ukrywa się średnie, przeciętne przekonanie całego społeczeństwa.

— Dobrze było — paplała dalej babka — kiedy muślinowa sukienka, kwiatek świeży we włosach, różowa wstążka w pasie, wystarczały do podbicia mężczyzny. Dziś potrzeba zbytkowych i drogiej materij, aksamitów, atlasów, koronek, klejnotów, bo inaczej panowie nasi nie spojrzeliby nawet, ani na pannę ani na młodą mężatkę... Kobieta zaś musi panować nad sercami mężczyzn, kiedy nad ich umysłem panować jej nie wolno.

Powóz zatrzymał się przed kościołem świętej Magdaleny, podobnym do greckiej świątyni.

Scisku nie było wcale. Piękne wnętrze — niby wnętrze bogatego salonu — świeciło pustkami. Staś, który modlić się tu nie mógł, schodząc po wspaniałych stopniach na ulicę, zwrócił uwagę babki na brak pobożnych.

— Nie myśl, że tak jest wszędzie, w każdym kościele i o każdej godzinie. Przeciwnie; i u nas wielu, bardzo wielu ludzi modli się zrana gorąco, lecz nie przed temi ołtarzami. Święta Magdalena za blizka bulwarów. Każdego, co tu wchodzi, spostrzedz łatwo... Pobożność w czasach dzisiejszych niemodna, szkodzi nawet interesom; trzeba się z nią ukrywać.

— W imię swobody?

— Ba! i wolność ma swoje ciernie!

Staruszka rozśmiała się dziecinnie.

Kiedy wsiadali do powozu, przed schody, ogrodzone kratą żelazną, zajechał karawan. Za nim postępował orszak pogrzebowy.

— To tu ksiądz nie prowadzi konduktu żałobnego?

— Wita go tylko przed drzwiami kościoła. Widzisz mój drogi, na ulicy, wśród gawiedzi, źle usposobionej dla religii, kapłan mógłby być narażony na zniewagę.

Stanisław pochmurniał.

— Jakto! więc nawet cześć i szacunek, śmierci należy, nie zdołałyby go ochronić?

— Co kraj to obyczaj... Ale jaki ty jesteś poważny i jakie niewesołe przedmioty do rozmowy wybierasz!

Młodzieniec zamilkł.

— Teraz wysiadźmy i przejdźmy się trochę po bulwarach — rzekła pani Lepelletier przed Wielką Operą.

— Dobrze babciu.

— *Cocher!*... proszę nas z oczu nie tracić.

Szalony ruch panował już na szerokich, asfaltowych chodnikach. Tłumy cisnęły się, pędziły, popychały jak dwie fale przeciwne. Dawnej grzeczności francuskiej ani śladu. „Każdy dla siebie“ — hasło chwili — uwy-

datniało się w postawie i gestach niemal wszystkich kroczących za interesem lub goniących za rozrywką.

Przeważną część bulwarowej publiczności składały kobiety, jaskrawo ubrane, o twarzach umalowanych, o oczach wyzywających, o ustach wabiących uśmiechem rozkosznym. Witały się ze znajomymi głośno, obcych zaczepiały bezczelnie, nie roztaczały jednak wokoło siebie owego czaru i uroku, o którym Staś tyle się nasłuchał, a nawet naczytał.

— To tylko drobne rybki, płocie półświatka — mówiła staruszka. — Grubą zwierzynę zobaczymy w lasku Bulońskim. Pewną jestem, że dla ciebie ani jedne, ani drugie nie będą niebezpieczne; czekają cię tryumfy w świecie prawdziwym, w wielkim świecie. .. ręczę za to słowem.

Z dumą zmierzyła wnuka od stóp do głowy.

Gwar i wrzawa bulwarów ogłuszały Stanisława, rozstrajały, męczyły.

Tu, przed kioskiem, falcowano dzienniki, które czytelnicy rozchwytywali z pod rąk robotnicom; tam — dalej, przekupień sprzedawał zabawki dla dzieci, piskliwie zachwalając swój towar.

— Radość dzieci! spokój rodziców!

Roznosiciele wydawnictw tanich — nieposiadających ani dość znaczenia, ani zaufania u handlarzy, aby mogły być wystawione w kioskach — przelatywali wzdłuż kawiarni, wołając na różne tony:

— „*Skandal*“, pismo poświęcone wszystkim nikezmościom giełdowiczów i mieszczaństwa. Ostatnie oszustwo pana Jaluzot, dyrektora i współwłaściciela „*Printemps*“.... Pierwszy numer, bardzo ciekawy, sprzedają go za dziesięć centimów, czyli tylko za dwa *sous*.

— „*Marat*“, tygodnik ilustrowany prawdziwych republikanów. Zdrada pana Ferry i jego akolitów, nie-

zbitemi dokumentami ujawniona.... Czytajcie „*Marata*“ o zdradzie Ferrego.

— „*Les journal des cocottes*“, dziennik wesoły, każdemu młodemu człowiekowi koniecznie potrzebny... Pięć centimów, tylko pięć centimów!

— „*Gazeta Rogaczy*“ na żółtym papierze ... Kolor niepowodzeń małżeńskich, od których puchnie głowa. Matka córce szesnastoletniej dawać powinna tę publikację do czytania. Trzy *sous*, piętnaście centimów.

„*Dziennik morderców*“, redagowany w więzieniu Mazas, przez skazanego na śmierć. Ostatnia zbrodnia, popełniona dziś nad ranem. Kradzież, gwałt i zabójstwo!

Za tą czeredą szła jakaś dziwna para w łachmanach.

Mężczyzna kulał na prawą nogę i krzyczał cieniem sopranem:

— Sposób na złe żony... Pięć centimów. *susa*.

Kobieta, idąca za nim kulała na lewą nogę, powtarzając *basem*:

— Sposób na złych mężów. *Susa*, pięć centimów.... Sposób wypróbowanej skuteczności.

Na wszystkie strony wrzeszczano:

— Lista urzędowa wygranych na Loteryi Tunezyjskiej.... jedyna bez fałszu i błędu!

Jakiś młody człowiek w bluzie, z paką zadrukowanej bibuły pod pachą, przeciskał się przez tłumy, wołając:

— Prawda szczerą o mordercy Campi. Jego rzeczywiste nazwisko i wyjaśnienie krwawej tajemnicy. Arcydzieło sztuki reporterskiej, za dwa *sous* tylko!

Procesya biedaków, nędzarzy, istnych paryasów społecznych, z dużymi tablicami, zawieszonymi na piersiach i plecach, wysunęła się z bocznej uliczki i postępować zaczęła po asfalcie milcząca, krokiem po-

wolnym, mierzonym. Było ich z pięćdziesięciu; szli jeden za drugim z pochylonemi głowami. Na tych ruchomych, żywych słupach — automatach postępu — drukowana reklama zapowiadała rychłe ukazanie się na widok publiczny nowego dziennika.

— Co za życie! co za potęga cywilizacyi! Jak się tu pełną piersią odдыcha! jak się człowiek bawi — szeptała pani Lepelletier zachwycona — Nie prawdaż Stanisławie?

Staś chmurny milczał. Myślał o biednym kraju rodzinnym, takim nieszczęśliwym i zacofanym... Myślał i porównywał.

Niebo znowu się zaciemniło... Rzęsisty deszcz lunął.

— Szybko! uciekajmy, siadajmy do fiakra — mówiła staruszka — już czas jechać do hrabiny de Lallannes... *Cocher! avancez.*

Wsiedli znowu do powozu. Młodzieniec odetchnął głęboko; — w tym ścisku i wrzawie, Paryż wydawał mu się piekłem.

— Przez Vivienne na Faubourg Saint-Honoré, przy Polach Elizejskich — rzekła babka Stasia do woźnicy.

Stangret spojrział ze zdziwieniem. Nie rozumiał dla czego *la bourgeoise* wymienia ulicę Vivienne, znacznie przedłużającą drogę, ale przyzwyczajony do spełniania rozkazów tego, co płaci i daje napiwne, nie odpowiedział i słowa, tylko biczem zaciął konia i ruszył we wskazanym kierunku. Kiedy przejeżdżał przez plac, w pośrodku którego wznosił się gmach prostokątny — z kolumnadą na frontonie, opierający się na szerokiej podstawie, jak na wzgórzu kamiennem, podobny do świątyni greckiej — pani Lepelletier trąciła łokciem wnuka:

— Patrz, patrz... tu Paryżanie palą ofiary swemu Bogu. .. to giełda.

Przycisnęła chustkę do oczu.

— To miejsce przeklęte... Tu... trzeci mój mąż mnie zrujnował. Niech mu to w górze przebaczą, jak ja mu przebaczyłam... O! bo i jego kochałam bardzo... bardzo.

Na schodach, zbliżonych podobieństwem do stopni przed kościołem Świętej Magdaleny, cisnęli się jeszcze, mimo dość spóźnionej godziny, liczni agenci giełdowi, a wrzawa ich „ofiarowań“, tranzakcyj i układów rozgrzmiewała echem donośnem.

Kiedy woźnica zatrzymał się przed pięknym pałacym z ciosu przy Faubourg Saint-Honoré, pani Lepelletier była już zupełnie uspokojoną, a nawet wesołą. Dzięki lekkiemu charakterowi, uśmiech nader łatwo wypogodził twarz staruszki. Nieraz miała jeszcze łzy w oczach, a już śmiała się jak dziecko, radując z byle fraszki, na którą kto inny nie zwróciłby uwagi. Nie było dość silnego ciosu moralnego, któregooby nie zniosła, dzięki temu usposobieniu. Kochała trzech mężów, kochała córkę; pamięć pierwszych i drugiej była jej drogą, a pomimo to, utraciwszy wszystkich, którzy złożyli się na uprzyjemnienie jej życia, nie czuła do dalszego, długiego żywota najmniejszej odrazy; przeciwnie, w tem samem że żyła, znajdowała rozkosz i zadowolenie. Nie był to egoizm — w ścisłym znaczeniu tego wyrazu — ale jakaś swoboda umysłu, zajmującego się tylko światem zewnętrznym, jakaś niezmiernie szczęśliwa organizacya fizyczna, opierająca się wpływowi czasu, jakaś niespożyta młodość — nie serca, lecz nerwów.

Salon pani de Lallannes, do którego weszła pani Lepelletier z wnukiem, roił się od pań eleganckich i

dystyngowanych, stanowiących kożuszek śmietanki towarzyskiej. Nie było w nim ani jednego mężczyzny.

Paryskie recepcyeienne, obchodzą się dziś zupełnie bez płci brzydkiej. Panowie towarzyszą żonom na bale, rauty i wieczory, przed obiadem jednak — opóźniającym się od pewnego czasu coraz bardziej, więcej z potrzeb wielkiego miasta niż z mody — nie odwiedzają przyjaciółek swoich sióstr, połowie i matek, zwłaszcza jeśli przyjaciółki te są im osobiście obojętne. Tłómaczą się zajęciami, interesami, polityką, giełdą... tłómaczą się tylko... gdyż wielu próżniaków, przepędzających dzień cały na zbijaniu bąków i na rozrywkach, naśladuje pod tym względem zwyczaje pracujących istotnie.

Wypływa to z dwóch przyczyn jednakiej natury. Najprzód i przede wszystkim, stosunki towarzyskie rozluźniły się ogromnie, szarpane prędzej swawolą niż regulowane rozsądną, wykwinną i miłą swobodą. Panuje w nich teraz pewne *laissez-aller*, niemal niekępowane żadnym konwenansem. Następnie prawie każdy mężczyzna pomiata kobietą, chociaż nie przestał być jej niewolnikiem. Francuzi — więcej niż dawniej, więcej niż kiedykolwiek — uważają białogłową za przedmiot zbytku, za zabawkę, za istotę, darzącą mężczyznę rozkoszą zmysłową, nigdy za równouprawnioną towarzyszkę doli i niedoli, za siłę i czynnik moralny w społeczeństwie. Każdą, upominającą się o najśluszniesze przywileje chrześcijańskiej równości, poczytać gotowi za szaloną. Ulegając niewolniczo jej wpływowi, tak żonę jak i kochankę po za alkową — przy formach pozornie wytwornych — traktują z cynizmem i lekceważeniem, niegodnem narodu ucywilizowanego, dążącego do odrodzenia. Dlatego też może, nadzieja tego odrodzenia wielu wydaje się wątpliwą.

Ożywiona rozmowa wrzała w salonie, kiedy babunia przedstawiła swego wnuka pani domu i całemu towarzystwu.

Młodzieniec wywarł od razu na zgromadzeniu wrażenie sympatyczne. Termometr uprzejmości i galanteryi podniósł się zwłaszcza nagle, gdy staruszka wtrąciła w konwersacyę od niechcienia, że Staś — jakkolwiek z zamiłowania oddaje się sztuce — posiada majątek milionowy i nosi tytuł hrabiego. Pani Lepelletier upierała się przy tytule, pomimo, że Stanisław oponował jej w tym względzie stanowczo i odważnie, twierdząc, że nie ma do niego najmniejszego prawa, że nikt z jego rodziny w linii męskiej go nie posiadał i nie nosił. Wstydziło go to strojenie się w cudze, pożyczane pióra... upokarzało nawet... ale babka umiała tak zręcznie wyperswadować damom, że wnuk jej wypiera się hrabiostwa dlatego tylko, iż wyznaje zasady demokratyczne, że wszystkie mężatki, wdowy i separatki, zebrane w salonie, ścigające wzrokiem za pięknym chłopcem i otaczające go wieńcem, uwierzyły albo udały wiarę w autentyczność tytułu *du jeune et beau comte polonais*. Całe grono składało się z pań już trochę przekwitłych, trzydziesto i czterdziestoletnich, dość nieudatnie wiek swój ukrywających.

— Nie uwierzy pan — mówiła jedna — jak my we Francyi lubimy Polaków. Wyróżniamy ich z pośród wszystkich cudzoziemców, widzimy w nich bowiem naszych braci.

— Pan się zajmuje malarstwem — szeptała druga, nachylając się do jego ucha i igrając rączką małą jak u dziecka — ach! jak to dobrze. Sztuka to najszlachetniejsza rozrywka dusz wybranych.

— Zwłaszcza, że wymaga modeli, pięknych kobiecych modeli — dodała z naciskiem trzecia, spoglą-

dając niby ukradkiem na bucik atłasowy, opinający jej zgrabną, chińską nóżkę. — Bez dobrego modelu nie ma arcydzieł.

— *A propos* modeli, pozwolicie panie — wtrąciła gospodyni domu — że wam opowiem, jakim sposobem panny z półświatka urządzają sobie reklamę.

— Jakim? jakim? — zawołano zewsząd.

— Słuchajcie.

— Słuchamy.

— Oto... — cedziła hrabina de Lallannes, pragnąc wywołać większy efekt.

— Oto.... — powtórzyły jednogłośnie wszystkie.

— Oto ubiegają się o zaszczyt pozowania w stroju pierwszych rodziców naszych w szkole malarstwa dla kobiet w *Passage Panorama*, kierowanej przez słynnego malarza Juliana. Jak mnie zapewniano, profesorowie tego zakładu są niezmiernie surowi w swoich orzeczeniach o piękności kształtów ciała. Bardzo często niejedna Fryne, jakkolwiek przybywa w własnej karecie, zaprzężonej w prześliczną parę rasowych koni.... ofiarowanych przez naszych mężów.... po odbytych konkursie nie zadowalnia wymagającego areopagu i bywa.... jakże to powiedzieć... zbrakowaną, wyranżerowaną.

— Och! och! czy być może!

— Powtarzam paniom najszczerzą prawdę.

— Cóż dalej?

— Dalej?!... No.... wybrane, szczęśliwe, premiowane, pozują przed siedmdziesięciu uczennicami, a po za szkołą cieszą się szerokim rozgłosem. Podobno.... bywają dużo więcej cenione.

— Niech się pan strzeże cen wysokich — rzekła do Stasia właścicielka nóżki chińskiej — mógłbyś bowiem stracić nietylko jako milioner, ale także jako artysta.

— Mój wnuk nie myśli mieć cokolwiek bądź wspólnego z półświatkiem — zawołała pani Lepelletier.

— Tem lepiej, tem lepiej, droga pani, chociaż nie ręczę. Wszyscy młodzi panowie, zaraz po przyjeździe do Paryża przysięgają wytrwać w cnocie, z czasem jednak zmieniają postanowienia i wypierają się solennych przyrzeczeń.

— O! za mego Stanisława gwarantuję ci baronowo. Zresztą, czyż najlepszą dlań ochroną nie będzie towarzystwo, w którem obcować zamierza?.. Wprowadzając go do salonu prawdziwie wielkiej damy, stawiam między nim a błotem ulicznym... choćby złoconem... zaporę do nieprzebycia.

Hrabina de Lallannes uścisnęła czule dłoń starszki.

Oświadczenie pani Lepelletier — na termometrze zgromadzenia — podniosło temperaturę dobrych usposobień dla Stasia o kilka stopni wyżej. Wykwintne damy czuły do otchłani — w której ginęły majątki i honor ich braci i mężów — wstręt tak silny, że przez nienawiść dla niej, gotowe były — wszystkie, ile się ich tam znajdowało — podjąć się roli aniołów opiekuńczych, aby tylko niewinnego młodzieńca uwolnić od pokus i sideł szatańskich. Z tego powodu dalsza rozmowa — urozmaicona dworowaniem, jakiego te panie nie szczędziły jednemu reprezentantowi płci, o względy której ubiegają się teraz we Francyi kobiety, tak jak niegdyś mężczyźni ubiegali się o łaski białogłowie — nie odskoczyła zbyt daleko od poruszonego, a widocznie miłego wszystkim tematu. Trwałoby to może do późnej nocy, gdyby nie znużenie Stasia. Zmęczony bezsennością i pewnym rozstrojem nerwów, znudzony przesadną galanterią nadskakujących mu niewiast, powstał z siedzenia i przypomniał babce, że czas salon opuścić.

Kiedy oboje znaleźli się znowu w powozie, pani Lepelletier czule spytała wnuka :

— Może chcesz wrócić do domu?... Czy jesteś istotnie bardzo znużony ?

— Dla ciebie babciu nie, ale tam... nie mogłem już dłużej wytrzymać.

— Jakto ? nie podobały ci się nasze pierwsze elegantki ?

— O!... nie wiem. czy mi się nie podobały, czy podobały... czułem tylko zmęczenie w ich towarzystwie. Nudziłem się okropnie.

— Żartuj zdrów, barbarzyńco.

— To głowy i serca puste... pawie, papugi...

— Poczekaj, poczekaj, jak je poznasz lepiej, wydadzą ci się rajskimi ptakami. Musisz mieć migrenę... Świeże powietrze cię orzeźwi.

Staruszka pochyliła się ku woźnicy i zawołała :

— Do lasku Bulońskiego.

I lasek Buloński nic nie pomógł, nie rozerwał Stasia, po raz pierwszy od wyjazdu szczerze tęskniącego za Polską, za Janią i Bolewską. Napróżno babka wskazywała mu wszystkie słynne kurtyzanki, przejeżdżające się wokoło jeziora w pysznych ekwipażach, napróżno opowiadała mu o nich anegdoty drastyczne, wyliczała ich pałace, wille i kochanków, młodzieniec nie rozchmurzał czoła.

— Twoja gruba zwierzyna babuniu — mówił — mniej jeszcze warta od drobnych rybek. Tamte usprawiedliwia poniekąd młodość, niedoświadczenie i bieda ; te nawet do tych okoliczności łagodzących odwołać się nie mogą. Chyba... chyba... powinnyby wytoczyć proces całemu społeczeństwu, za to iż pozwoliło im wyrosnąć, krzewić się i dalej rozsiewać jak złe ziele.

— Chłopcze! chłopcze!... z ciebie straszny moralista. Czy wiesz, że to u nas nie popłaca?

— Mam milczeć?

— Nie przedemną mój drogi. Do mnie możesz mówić wszystko, co ci się podoba, lecz strzeż się wyrażać w podobny sposób przed obcymi... Wziętoby cię tu za pedanta i pozera.

Po wykwintnym obiedzie w jednej z pierwszorzędných restauracyj, pani Lepelletier i Staś udali się do teatru Porte-Saint-Martin, gdzie Sara Bernhardt występowała w „*Dame aux camelias*“ Dumas'a.

Genialna gra znakomitej aktorki zachwyciła młodzieńca. Podziwiał mistrzynię umiejącą w postać przez siebie stworzoną wlać tyle uroczej poezyi i prawdy. Paryż, dotąd dlań niesympatyczny, przedstawił mu się — dzięki czarodziejce — w innem, piękniejszym świetle. Artysta duszą, wdzięczny był artystce, że go oderwała od prozy brudnej i nikczemnej, wznosząc w idealne sfery sztuki, którą tak kochał. Wyszedł z teatru rozpromieniony.

U drzwi przykre wrażenia powróciły znowu. Jakiś roznosiciel obrazkowych tygodników dla ludu wykrzykiwał:

— *Tydzień ilustrowany* najświeższy numer z życiorysem „Sary Barnum“ przez Maryę Colombier. Kupcie panowie i panie skandaliczną biografię Sary Bernhardt; poznajcie z bliska tę, co was na scenie zachwyca... Dziesięć centimów, dwa sous.

— Więc i jej nie oszczędza pamflet oszczerczy? — spytał Stanisław staruszki.

— O! czyż pamflet tylko! Tłuszcza wielkich nie lubi. Posłuchaj... Przed kilku dniami jedna z moich znajomych, młoda guwernantka, Angielka, istotnie tro-

chę do słynnej artystki podobna, przechodziła dzielnicę ludową. Robotnicy z fabryki machin rolniczych, zdążający na śniadanie do pobliskiej garkuchni, rzucili się na nią z okrzykami: „Śmierć Sarze! śmierć pijawce, krew naszą wysysującej! śmierć żydówce“. O mało biednej dziewczyny nie zabili. Tylko czynnej interwencji dwóch młodych i silnych oficerów, spieszących do koszar, zawdzięcza życie... Trudno ją było wyrwać z rąk obalamuconych szaleńców.

— A policya?

— Policji nie było; tej nigdy nie ma w podobnych razach.

Staś znowu sposepniał. Cierpiał nie wymownie iż kraj, który za drugą ojezysnę uważał, który kochał, przedstawia mu się w tak czarnych barwach. On go sobie wymarzył inaczej... inaczej... trochę lekkim, wesołym... lecz wielkim, wspaniałym, szlachetnym, broniącym nieszczęśliwych, uciśnionych... prawdziwym „wielce chrześcijańskim krajem“.

Wracającego w powozie do *quartier de l'Europe* zastanowiły co kilkaset kroków pojawiające się illuminacje rześiste, na pierwszych piętrach niektórych domów przy bulwarach

— Co znaczą te okna tak suto oświecone? co to jest? — zapytał.

— Kluby.

— Polityczne?

— O nie. Są to po prostu szulernie, w których trzy czwarte intellingencyi paryskiej traci w nocy grosz, odziedziczony albo krwawą pracą nabyty. Mnóstwo ludzi znakomitych splamiło tu swój honor... wielu samobójstwem zakończyło świetnie rozpoczętą karierę.

Kiedy Staś, znalazł się nareszcie w swoim sypialnym pokoiku przy *rue de Rome*, myślał w duchu:

— Jania i mateczka lękały się dla mnie Paryża.... Nie było czego się obawiać. Niebezpieczeństwo niestraszne.. grozić mi nie może.

Mylił się jednak, bo nie znał Paryża.

XVIII.

Pod wpływem uroku.

Po przykrych i niemiłych wrażeniach pierwszego dnia pobytu w Paryżu, przyszły dnie następnie, modyfikujące zbyt surowy sąd Stanisława o stolicy ucywilizowanego świata. Czarne barwy obrazu zacierały się nieznacznie, a na ich miejsce występowały jaśniejsze. Wśród mnóstwa złego dostrzegał dobre, i to jeszcze tak dobre, jak w podobnie wysokim stopniu gdzie indziej znaleźć trudno. Przy płytkości i nieuctwie, przy stronnictwem zacierzewieniu się, usuwajacem ideę ojczyzny na plan drugi, przy egoizmie bez granic, połączonym z dziecinną arogancją, przy samochwalstwie gaskońskiem, dojrzał także dobroduszną szczerą, patriotyzm gorący, gościnność może trochę interesowną ale szeroką, olbrzymi zasób wiedzy specjalnej, materiał studyów niezmierny, zamiłowanie do sztuki, podniosłość poglądów, chętną i taną pomoc w nauce, przywiązanie nauczycieli do swoich uczniów, słowem wiele... wiele skarbów moralnych, przymiotów i zalet. Strona dodatnia, z postępem czasu, zakrywała ujemną, budząc w umyśle młodzieńca — życzliwie względem drugiej swej ojczyzny usposobionego — cześć dla geniuszu

Francyi. Po czci, można się było spodziewać i miłości. Stanisław, odbywszy naprzód pielgrzymkę pobożną po muzeach i galeryach, zapoznawszy się powierzchownie na wystawach z postępem technicznym malarstwa, wziął się sam do pracy, chociaż stosunki światowe od niej go odrywały. Kilka godzin dziennie malował u jednego z mistrzów, resztę zaś jasnego dnia przepędzał w pracowni własnej, którą wynajął w pobliżu mieszkania babki.

Wieczorami nie brakło mu rozrywek, o które starała się i wyszukiwała pani Lepelletier, oraz damy, jakie poznał u hrabiny de Lullannes. Baronowa — o małych nóżkach — prosiła go o portret i często przychodziła doń pozować. Biednej kobiecie uroiło się, że dla swego i jego szczęścia, musi posiadać serce młodego Polaka. Staś nie był zaiste skromnym Józefem, ale nie cierpiał narzucających się kobiet. Za wszystkie czułości i płomienne pół-wyznania płacił zimną, grzeczną obojętnością. Zmysły jego, rozbudzone znowu atmosferą paryską, pełną rozkosznych obietnic, pragnęły może upojeń, lecz upojeń nowych, nieznanych, innych, nie takich, jakie mu ofiarowano zbyt łatwo. Przeszedłszy czysty duchem przez zepsucie warszawskie, otrząskany — dzięki pani Felicji — z ogniem ponęt kokieteryi wyższej, intelligentniejszej, uledz nie mógł pierwszej lepszej eleganckiej *mondaine*, dlatego tylko, że posiadała trochę zdawkowego francuskiego dowcipu, toalety wykwintne, tytuł problematycznej autentyczności i drobną nóżkę. Pomimo to, w ściślejszych i szerszych kołach jego znajomych, zaczęto go poczytywać za szczęśliwego kochanka trzydziestoletniej separatki.

Na tle tem — cokolwiek zbliżonem do prawdy — haftowano jak na kanwie najprzeróżniejsze desenie przygód i awantur miłosnych, nieprawdopodobnych,

fantastycznych, uwłaczających honorowi i charakterowi młodzieńca. O jego powodzeniach erotycznych wiedział nietylko Paryż ale i Warszawa, do której wszystkie plotki szybko dolatują, jak do miłego im gniazda. W salonach z Mazowieckiej, Królewskiej i Marszałkowskiej — nieznanym mu wcale, — w Klubie myśliwskim, w Rursie kupieckiej i obywatelskiej, na Krakowskim Przedmieściu i Nowym Świecie, ba! nawet w Aleach Ujazdowskich, opowiadano sobie głośno, że młody Mowelski — wnuk bogacza skąpego — olbrzymi majątek, odziedziczony po dziadku, traci na szumne uciechy z kokotkami, na miłostki w wielkim świecie i na życie wystawne. Twierdzono, że posiada w Paryżu dom, urządzony z przepychem i zbytkiem, przechodzącym wszystko, co dotąd w tym rodzaju widziano; że dom ten jest punktem centralnym wszelkiej hulanki i wszelkiej rozpusty.

Staś, istotnie wydawał dużo, ale wydatki jego osobiste stanowiły zaledwie malutką cząsteczkę sumy ogólnej rozpraszanych pieniędzy. Wspierał biednych rodaków, dla przyjaciół miał kieszeń otwartą, uprzyjemniał życie babce, kupował dzieła sztuki, pragnąc z czasem zapisać swoje zbiory Muzeum narodowemu. Sypał w około siebie groszem wspaniale i lekkomyślnie, lecz intelligentnie i uczciwie. Rozrzutności jego, fatalnej w skutkach, niepodobna było nawet nazwać marnotrawstwem, lecz raczej złudzeniem złotego serca. Nie dość, że przedewszystkiem sam na tem cierpiał najwięcej — bo krocie odpływały szybko jak fale wezbranej rzeki — lecz nadto zarabiał na miano lekkoducha, utracjusza, dziurawego worka, niegodziwca i złego obywatela, marnującego polską fortunę zagranicą, wśród obcych. Jego zamiłowanie do piękna, dobroć, wspaniałość, odwaga w wygłaszaniu prawdy, odraza do występku i pobłażli-

wość sądu o występnych, zamiast mu jednać coraz liczniejszych, rzeczywistych przyjaciół, rozżarzała tajemne nienawiści, zwiększała ukrywaną zawiść, wyradzała najohydniejsze potwarze i oszczerstwa, które, dochodząc nad Wisłę, piętrzyły się się niby olbrzymie piramidy ludzkiej obmowy.

Piramidy takie, chociaż z lichego budowane materiału, są równie trwałe jak egipskie. Pomimo krwawych poświęceń ofiary, którą przygniatają swym ogromem, pomimo dzieł znakomitych i czynów bohaterских — pozostają zawsze wśród krajobrazu, a lada podmuch niechęci lub zazdrości, mgłę, zasłaniającą je, rozrywa.

Pogłoski, ujmę przynoszące Stanisławowi, obijały się czasem o uszy Jani. Cierpiała na tem ale nie wierzyła im wcale. Brat jej Franciszek, domyślający się przywiązania siostry do młodzieńca, dawał wiarę plotkom, lecz milczał, a nawet bronił niekiedy Stasia przed obcymi. Goldenkrantz dowodził, że chociażby tak było jak mówią, to nic nie szkodzi, bo „młody szampan“ wyszumieć się musi. Jużto z przysłowiami ciężko było poczciwemu bankierowi dać sobie radę, zawsze je przekreślił, a przekreślając i myśl ich wypaczał.

Staś nie domyślał się obmowy, nie przewidywał zatem, ile cierni i kolców czeka go jeszcze w życiu.

W oczy schlebiali mu wszyscy, cudzoziemcy i swoi; nikt z krytyką nie śmiał się odezwać. Unoszono się nad nim; zapewniano o przyjaźni. Pochlebstwo nie psuło go wprawdzie i nie wbijało w zarozumienie, lecz wytwarzało w około niego sztuczną, niezdrową atmosferę, szczepiąc w umyśle najfałszywsze pojęcia o ludziach i ich sprawach. Zdawało mu się, że jest otoczony tylko samymi dobrymi, że złych zupełnie nie ma nigdzie, że, sercem się rządząc, można przejść świat jak

długi i szeroki, nie lękając się rozczarowań i zawodów. Gdyby go kto w owej epoce życia chciał przekonać, że się myli, straciłby czas na próżno i nie przekonałby pewnie.

Mówił często :

— Złymi mogą być tylko nieszczęśliwi. Starajmy się zapewnić szczęście wszystkim, a zobaczymy, że złote ziarna w głębi serc ukryte, zakiełkują pięknie i bogaty plon wydadzą.

W gruncie rzeczy, może w tym poglądzie było dużo prawdy, ale do dania życia prawdzie podobnej nie wystarczają siły pojedynczego człowieka, potrzeba by zbiorowego działania i sił zbiorowych, których w tym celu ugrupować i połączyć nikt nigdy dotąd nie zdołał.

W ogólności, Staś czuł się w Paryżu niemal zupełnie zadowolony. Gdyby był pewny, że ojciec nie cierpi, i że wolność odzyskał, gdyby gdzie blisko była Jania i pani Irena, aby w ich towarzystwie mógł zapomnieć o prozie i płytkości tych, z którymi — z powodu stosunków wytworzonych przez panią Lepelletier — musiał stykać się codziennie, nicby mu do szczęścia nie brakowało.

Teatr był jedną z jego najmilszych rozrywek. Do teatru chodził często z babką, a niekiedy i sam. Staruszka, dzięki wrodzonej wesołości i swobodzie umysłu, trzymała się dosyć zdrowo, jednakże zaczynała czuć wpływ wieku, usypiała po obiedzie, potrzebowała czasami dłuższego wypoczynku, a ztąd ciszy i odosobnienia. Stanisław, pozostawiał babkę na *Rue de Rome* pod opieką przywiązanej do niej Rozalii, sam zaś — po dniu spędzonym na pracy przy stalugach — biegł do *Théâtre Français* lub *Gymnase*, gdzie go afisz nęcił tytułem utworu, nazwiskiem autora, albo długim szeregiem doskonałych wykonawców.

Pewnego wieczora spóźnił się do domu Moliera na przedstawienie „Hernaniego“.

Kiedy wszedł na balkon pierwszego piętra, sala już była przepełnioną, a widzowie wsłuchiwali się z rozkoszą w harmonijne wiersze V. Hugo, nieporównanie wygłaszane przez aktorów. Zajął miejsce swoje w fotelu, tuż koło dwóch pań, z których jedna — młodsza — zdawała się mocno zajętą sztuką i grą artystów. Siadając, mimowolnie potrącił i uderzył łokciem sąsiadkę, tak że ta, niedbale trzymany wachlarz, opuściła do krzeseł pod balkonem.

Zmieszłało go to mocno... Szepnął:

— Przepraszam, po tysiąc razy przepraszam. W atrakcie, pójdę wyszukać i nie wątpię, że go pani odniosę.

Młoda osoba nie odpowiedziała mu, nie spojrzała nań nawet. Słuchała dalej z natężoną uwagą, dopóki opuszczająca się zasłona nie oderwała jej myśli od czarodziejskiego obrazu, stworzonego wyobraźnią poety.

Stanisław powstał, zbiegł po schodach na dół i przy pomocy jednej z odźwiernych odnalazł wachlarz, szczęściem nieuszkodzony.

Powrócił i wręczył go sąsiadce.

— Dziękuję panu... przykro mi tylko, że się pan fatygował. Ta drobnostka nie warta była tylu poszukiwań. Widziałam ztąd ile kłopotu pan sobie zadał, aby wydobyć mój wachlarz z pośród publiczności, lubiącej wygodę i niełatwo dającej się poruszyć.

Gorący rumieniec oblał twarz młodzieńca. Usta wymawiające powyższe wyrazy były prześliczne, a głos harmonijny, dźwiękiem swoim trafiał wprost do serca.

Matka młodej osoby podziękowała także Stasiowi.

— Pan musi być cudzoziemcem — dodała — nasza młodzież paryska zapomina o grzeczności, którą szcyciliśmy się niegdyś przed całym światem.

Nasz bohater, ujęty uprzejmością dam, zachwycony ich dystynkcyą i tem, co Francuzi *grand air* nazywają, wymienił swoje nazwisko bez namysłu.

— Wszakże Polak?

— Tak pani.

— Jestem potroszę pańską współrodaczką. Rodzę się z Polki, córki emigranta z 1831 roku. Mowę polską rozumiem; już bym jednakże płynnie nią mówić nie zdołała.

— A pani? — spytał Stanisław bliżej siedzącej.

— O! ja..., jestem kosmopolitką.

— Jakto?

— Córka moja uważa się za Paryżankę.... Ojciec jej był Amerykaninem.

— Dziadek Niemcem, jedna babka Polką, druga Włoszką.... Skoligaconą jestem z Irlandczykami, Szwedami i Hiszpanami.... Urodziłam się na okręcie angielskim, przepędziłam pół życia w Londynie, drugie pół w Paryżu.... Widzi pan zatem, że nie mam prawa zaliczać się do jakiejkolwiek bądź narodowości.... Wszystkie mi są obojętne.... Umysłem jestem Paryżanką, ciałem kosmopolitką.

Mówiła to z pewną ciętością odważną i wyzywającą, a pomimo to zachowanie się jej było pełne przyzwoitej wytworności, oczy zaś — czarne, ogniste, duże — niemal tak skromne jak błękitne oczęta Jani.

— Mamo — szczebiotała — pan był tak uprzejmy, że się nam przedstawił, należy mu się wypłacić wzajemnością. Rolę mistrza ceremonii muszę spełnić sama, bo wszyscy nasi szambelanowie są dziś na urlopie.... Pani Mary Stewert, moja matka — rzekła, wskazując wachlarzem na towarzyszkę — ja zaś Emma Stewert do usług pańskich. Prezentacyjnego ukłonu dworskiego oddać nie mogę, bo jak pan widzi... sie-

dzę... Powstać nie chcę, aby w czasie widowiska nie stać się sama widowiskiem. Mama, *lady* bardzo *prude* i dbająca o konwenanse światowe, przeczytałaby mi to za niekonsekwencyę... a i pan, znalazłbyś mnie może *shocking*, bo Polacy przywiązują wielkie znaczenie do form towarzyskich... Ja nimi pogardzam... Ale cicho; zasłona się podnosi... Przepraszam... Wiktor Hugo, chociaż stary znajomy, wymaga większej od pana uwagi, a Donna Sol... jakkolwiek zbyt sentymentalna... jest dla mnie... ze względu na miłość swoją dla rozbójnika... wcale sympatyczną bohaterką... Dla niej i dla jej bandyty, muszę o panu zapomnieć.

Odwróciła się do sceny, oparła rączkę z wachlarzem na aksamitnej poręczy balkonu i utonęła duszą i oczami w dramacie, rozgrywającym się na deskach teatralnych.

Przedstawienie „Hernaniego“ straciło dla Stasia cały urok.

Tragedya, jej wiersz rzeźbiony misternie przez mistrza francuskiego słowa, aktorowie, dekoracje... słowem wszystko zniknęło, rozpląnęło się w mieniące się barwami tło, złotymi blaskami kinkietów i żyrandola oświecone.

Zajmowała go tylko ta dziewczyna, na poręcz pochylona, taka śliczna i taka oryginalna, do żadnej ze znanych mu kobiet niepodobna. Zagłębił się w miękkim fotelu i patrzył na nią swobodnie, ona bowiem nie zważała na niego wcale, albo przynajmniej udawała wybornie, że nie zważa.

Ani poeta, ani malarz nie wymarzyłby, nie stworzył... nic piękniejszego.

Mogła mieć lat ośmnaście lub dwadzieścia. Chwilami, kiedy twarz jej pozostawała w spokoju, nieporuszona najłżejszem niezadowoleniem wewnętrznem, wy-

dawała się daleko młodszą, niemal szesnastoletnią dziewczynką; chwilami zaś, gdy jakieś smutne zamyslenie chmurzyło jej czoło białe — do połowy zasłonięte gęstą grzywką — nagle przybywało jej wieku. Wtedy przypuszczać można było, że jest starszą; wtedy oczy jej ogromne, oprawne w długie, czarne, jak jedwab lśniące rzęsy, rzucały z pod brwi w łuk zatoczonej błyski prawie groźne, pełne dzikości surowej i gniewnej. Cera lic śniadawa — przesłonią leką mgłą pudru — harmonizowała z kruczemi włosami. Wiła się w nich gdzieniegdzie srebrna nić przedwczesnej siwizny. Duże warkocze wieńczyły i obciążały głowę kształtną, osadzoną na szyi o linii antyku, udatnie łączącej się z ramionami utoczonymi jakby z greckiego marmuru. Rączka jej malutka, duńską rękawiczką opięta, nerwowo ścisnęła wachlarz. Ubraną była skromnie, nawet niemiernie, ale z jakimś niezwykłym, indywidualnym wdziękiem, świadczącym, że strój jej, chociaż wykonany przez zdolną modniarkę, nie przez modniarkę był wymyślony. Każde jej poruszenie — jakkolwiek zupełnie naturalne i wolne od wszelkiej przesady — zdawało się wystudowane, takie było okrągłe, estetyczne, niekiedy ponętne i przyciągające, niekiedy dumne i posągowe. Posągowość jej gestu i ruchu tem zdawała się dziwniejszą, im więcej widz baczny się przekonywał, iż miss Stawert, nie jest wcale wysoką i rozwiniętą jak statuy bogiń starożytnych. Przeciwnie cała jej postać była szczupłą, prawie drobną Brano ją nawet za drobniejszą niż nią była w istocie.

Powierzchność Emmy wywarła na Stanisławie niezmiernie silne wrażenie. Czuł się wstrząśnięty do gruntu jej pięknoscą i urokiem, jaki roztaczała. Zdawało mu się, że o wszystkim co było po za nim, zapomniał, i że ona jedna tylko zapełniała jego przyszłość.

Brała go chętnie, chwycić ją na ręce i lekką jak piórko, bo lekką być musiała niezawodnie — zanieść z sobą do pracowni, postawić przed stalugami i kochając się w niej do szaleństwa — bo takie namiętności spadają na człowieka nagle i niespodzianie — malować jej portret, choćby życie całe, choćby dlatego, aby obdarzyć świat dziełem nieskończenie pięknem. Już to co prawda — natura, stwarzając Emmę, stworzyła arcydzieło, godne służyć za model najznakomitszemu artyście.

Rozmowa w drugim antrakcie i następnych, nosiła na sobie też same cechy, co i w pierwszym, silniej tylko akcentowane. Matka Emmy i Staś milczeli, albo odzywali się słówkiem, na to tylko, aby od czasu do czasu zaprzeczeniem lub grzeczną opozycją wykazać całą oryginalność umysłu, charakteru i poglądów tej, która z przekonaniem głębokim uważała się za kosmopolitkę bezwyznaniową, pogardzającą wszystkim co stare, co stanowi fundament bytu społecznego, wszystko, w co Stanisław wierzył i co kochał całą pełnią złotego serca. Emma, jakby umyślnie rozwijała program swoich wątpliwości i całej swej niewiary. W szczerości jej było coś dumnego i szlachetnego zarazem.

Zewnętrznie, pani Stawert, podobną była do córki, chociaż wiek i nieszczęścia przebyte pozbawiły jej lica świeżości i zmieniły klasyczną regularność rysów. Nadto w wyrazie twarzy, w spojrzeniu, pytającym Emmę o rozkazy, o informację, znać było istotę złamaną, bez woli, ulegającą posłusznie kaprysowi despotki, panującej samowładnie nad sercem i umysłem matki.

Staś widział to wszystko, oceniał należycie, domyślał się niebezpieczeństwa, jakie mu grozi ze zbliżenia się do nieznajomej i zagadkowej dziewczyny, a jednak czuł, że jakaś nieprzeparta siła, stokroć potężniej-

sza od wszelkich pokus dawniejszych, przyciąga go do uroczego Sfinxa.

Serce, jak rozum, lubi zagadki, tylko kiedy drugi, zwalcza je, rozwiązując, pierwsze pada ofiarą, w walce, niemal zawsze dlań fatalnej.

Po skończonem widowisku, Stanisław, wychodząc z teatru, spytał pani Stawert:

— Czy panie zgodzą się, abym je odprowadził do domu?

Matka wzrokiem badała córkę, a otrzymawszy nieznaczne przytwierdzające skinienie, odparła:

— I owszem. Będzie to dla nas nawet miłym. Paryż o tej porze niezbyt bezpieczny dla dwóch kobiet samych.

— Ja się niczego nie lękam — rzekła Emma. Jeszcze nigdy w życiu nie spotkała mnie rzeczywista przykrość. Ile razy domyślałam się, iż zuchwalec jaki ma zamiar mnie napastować, spojrzałam na niego takim okiem, że wnet utracił chętkę do napaści. We Włoszech uważano mnie za *jettatore*... a o mojem *mal'occhio* obiegały po Rzymie anegdoty pełne przesądnej obawy.

— Widocznie przesądnym nie jestem — mówił Staś drżącym głosem — bo chciałem właśnie prosić mamę pani o pozwolenie złożenia im w tych dniach wizyty.

Matka, i tym razem znowu, wzrokiem porozumiała się z córką

— Przyjmujemy według paryskiego zwyczaju raz na tydzień, w dzień oznaczony. W piątek zawsze nas pan w domu zastanie.

— W piątek... rozumie pan — dodała Emma — w dzień feralny.

Młodzieniec uśmiechnął się i dziękował z widocznem wzruszeniem. Na dzień feralne — poniedziałki

polskie czy piątki francuskie — nigdy nie zważał; a zresztą, teraz, gdyby był nawet przesądnym, wyrzekłby się wszelkiego zabobonu dla rozkoszy widzenia jej powtórnie co najspieszniej.

Droga do mieszkania dam, była dość daleka i długa — ale szczęśliwym czy nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności — okazało się, że mieszkają w tej samej co Staś dzielnicy, zaledwie o kilkadziesiąt kroków od jego pracowni. Nasz bohater, zawsze delikatny, nie chcąc zbyt natarczywem narzucaniem się zrazić towarzyszek, nie zaproponował powozu. Szli zatem w troje, połączeni coraz bardziej ożywiającą się i coraz szerszą rozmową.

Godzina blisko, upłynęła jak chwila, kiedy Emma, zatrzymując się przed jednym z domów przy ulicy *rue de Constantinople*, rzekła do młodzieńca:

— Już jesteśmy u siebie. Nie może pan zaprzeczyć, że jak na pierwsze spotkanie, starałam się być z nim zupełnie otwartą. Mówiłam o wszystkim bez ogródek... nie mówiłabym zaś pewnie w ten sposób, gdybyś pan nie oświadczył życzenia, bywania u nas. Ponieważ jednak galanterya rycerska Polaka nakazuje panu dawać dalej dowody uprzejmości dla dwóch obcych sobie kobiet, któremi zajmowałeś się w teatrze i odprowadziłeś do domu, wypowiedziałam się szczerze z moich przekonań, abyś wiedział, na co się narażasz, przestępując próg naszego mieszkania. Nienawidzę fałszywych pozycyj i więzów konwenansu, jakimi ludzie zwykli się krępować. Po koleżeńsku podaję panu rękę, mówiąc, do widzenia... Nie mam nic na sumieniu. Przedstawiłam się jak dyabeł, cała czarno umalowana. Jeśli pan znosi towarzystwo Asmodeusza czy Belzebuba, proszę nas odwiedzić, jeśli lękasz się piekła... możesz się cofnąć. Uprzedziłam pana... wiesz, co cię czeka.

Paluszki jej uściśnięły dłoń Stasia, potem spoczęły na mosiężnej ręczce od dzwonka.

— Do widzenia — szepnął młodzieniec, uchylając kapelusza.

Za zamykającemi się drzwiami, znikła Emma z matką.

Stanisław z tętnami bijącemi w skroniach, z krwią — jak potoki lawy rozpalonej — płynącą w żyłach, wrócił do siebie.

XIX.

Emma Stawert.

Dziwna to była istota ta zagadkowa dziewczyna, dziwna bardzo, a jednak realna i prawdziwa. Kobiety takie rodzą się w epokach przejściowych, kiedy stary porządek rzeczy rozkłada się i psuje, a nowy nie zdołał jeszcze wyłonić się z ruin, kiedy... „bogi i ludzie szaleją“.

Ojciec Emmy — jak to już powiedziała jej matka — był Amerykaninem. Syn milionera, przybył do Europy szukać wrażeń i rozrywek. Uczynny Paryż szybko spoufalilił go z ogromem bezdusznej rozpusty, jaką posiada na usługi młodych nabobów. Ralf Stawert, piękny, wykształcony, wychowany w zbytkach, gentleman, przez obycie się światowe, wytworny w manierach, wkrótce stał się Paryżaninem w całym ujemnym znaczeniu tego wyrazu. O jego stawkach krociowych w *baccarat*, pisywało „*Figaro*“ i inne dzienniki, konie jego wyścigowe na Longchamps współzawodniczyły w biegu o *grand prix* z najsłynniejszymi rumakami Anglii i Francji, jego awanturki zakulisowe i w półświatku posłużyły za treść do słynnego romansu, napisanego przez jednego

z najznakomitszych francuskich powieściopisarzy. Pod ogładą zewnętrzną ukrywał duszę nikezemną i pospolitą.

Ralf, chociaż dawał unosić się wszystkim namiętnościom, był zimny i rachować umiał. Pewnego dnia, spostrzegłszy się w czas, iż skarby, pozostawione mu przez ojca, bliskie są wyczerpania, jak wąż zmienił skórę i z hulaki i utracyusza, przedzierzgnął się w czynnego i przedsiębiorczego spekulanta. Otworzył biura agencji, pośredniczącej w stosunkach handlowych pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Francją, ureklamował ją zrećźnie tu i za oceanem, a zasłonięty parawanem — pono tylko sztucznego — powodzenia, zaczął się starać o rękę Mary, sieroty, pozbawionej moralnej, rzeczywistej opieki, wydanej na łaskę i niełaskę „szapronujących“ ją kuzynek, ciotek i stryjenek. Panienka, nieznająca ludzi i świata, charakteru jak wosk miękkiego, zakochana w pięknym Amerykaninie, znudzona przenoszeniem się ciąglem od jednej krewnej do drugiej, chętnie połączyła się węzłem dozgonnym z człowiekiem, posiadającym wszystko, czego potrzeba do zawrócenia głowy niezbyt bystrej dziewczynie. Wniosła mu przytem znaczny posag.

Stawert, w pierwszych chwilach pożycia, zdawał się uwielbiać żonę. Z natury brutalny ale zmysłowy, znalazł w objęciach niewinnej Mary rozkosze nieznane, któremi poił się czas jakiś. Rok spędził z nią w poślubnej podróży, niezmiernie ciekawej i ekscentrycznej, po oddalonych lądach i morzach. Owocem namiętnych upojeń była Emma, urodzona przedwcześnie, na pokładzie statku parowego, w powrocie z Australii do Europy. Kiedy dziecina przyszła na świat, była tak wątłą i drobną, że lekarz okrętowy nie przepowiadał jej kilkotygodniowego istnienia. Tymczasem po przybyciu do Paryża, otoczona najczulszemi staraniami rodzicielki, kar-

miona jej piersią, rozwijać się zaczęła normalnie i wyrastać na cudne stworzenie, budzące admirację powszechną tak swoich bliskich jak i obcych.

Ralf, powtórnie owiany niezdrowem i odurzającym powietrzem stolicy Francyi, znudzony czułością, która już nierozbudzała jego pragnień, zaczął znowu hulać i tracić majątek zbyt uległej, lękliwej i ciągle go kochającej Mary. Grał w klubach i przegrywał znaczne sumy, a staczając się powoli z upadku do upadku, ugrzązł w najohydniejszym błocie niecnej i brudnej rozpusty. Uragając przedstawieniom żony, szydząc z tego, co nazywał jej polsko-francuską „pruderyą“, pod dach rodzinny wprowadzał jednodniowe bohaterki swoich miłostek. Z cynizmem bezwstydnym zmuszał Mary i Emmę, aby je przyjmowały u siebie, aby im usługiwały, ulegały zachceniom i kaprysom kurtyzanek, aby udawały się do ich protekcyi, kiedy chodziło o wyjednanie dla dziecka trochę pieniędzy na sukienki i trzewiki. Cały kał rozwiązłości swojej odślaniał przed dziewczętkiem, nie ukrywając nawet materialnych jej pobudek i przyczyn. Nakoniec pewnego poranku, zadłużony po uszy, ścigany przez wierzycieli, umknął za ocean i od lat dwunastu nie dał znaku życia.

Podobne przykłady oraz widok nieszczęśliwego pozycia rodziców skrzywiły umysł Emmy, niesłychanie zdolnej, inteligentnej, pojmującej wszystko stokroć łatwiej od innych dzieci, równych jej wiekiem, z wszystkiego, co ją otaczało, wyciągającej krańcowe wnioski. Małą jeszcze będąc, patrzyła na świat z obrzydzeniem i wstrętem, z pesymizmem bez granic. Domyślała się wszędzie niesprawiedliwości i przewagi siły, panoszącej się pod płaszczykiem hipokryzyi, pod godłami zasad świętych. Serduszko jej dobre, zdolne było kochać i czuć szlachetnie, ale ze smutkiem pełnym dumy i pogar-

dy, mówiła do siebie: „na co?... nie warto!“ W ludziach widziała sprytnie zwierzęta, wilków i szakali, zagryzających się wzajemnie, maszyny, motorem których: namiętność, walka o byt i egoizm. Ideę samolubstwa — jako jedyną przyrodzoną i rozumną w ostatecznych swych wynikach — uznawała za słuszną ponieważ, usprawiedliwiała bowiem wszystko i wszystkich. W jej przekonaniu nikt nie był winien złemu, bo natura cała i życie było złem najgorszem. Nie rozumiała, że te wszystkie smutne i fałszywe poglądy rozbija i druzgocze w samym zarodzie bliskie jej poświęcenie matki, z którego ona pierwsza korzyść odnosiła.... Ale ta codzienna ofiara, prosta i prozaiczna nie raziła jej oczu i nie narzuciła się umysłowi tak silnie jak jaskrawe błędy ojca i jaskrawsze występki społeczne innych.

Mary opuszczona, słaba, niemądra — nieposiadająca niedawno jeszcze i za centima woli, kiedy trzeba było walczyć z mężem niegodziwym lecz kochanym — skoro tylko ujrzała otchłań czarnej przyszłości, otwierającą się pod stopami swego dziecka, zdobyła się na energię, z ducha wpojonego w nią chrystyanizmu wyssaną. Wzięła się do pracy, zaczęła dawać lekcye muzyki, haftować po nocach, przepisywać rękopisy dla autorów, role dla teatrów amatorskich, tłómaczyć amerykańskie reklamy, układać prospekta handlowe — i z tego zarobku, wyczerpującego siły i zdrowie, zbierała tyle, aby opędzić bieżące potrzeby, Emmę stroić jak laleczkę i kształcić w naukach. Dziewczątko kochało matkę, ale niedostatecznie ją oceniało. Uczyła się, nie żeby ją wynagrodzić i wywdzięczyc się jej za poświęcenie, lecz dla tego tylko, że nauka nowoczesna nęciła ją swoim kierunkiem materialistycznym; bo do pojęć przez Emmę z praktyki wysnutych, dodawała teorię, objaśniającą i klasyfikującą jej własne spostrzeżenia.

Nadto dumna, samowolna, gwałtowna, obdarzona niezłomną mocą charakteru, z matki uczyniła poddankę swoją posłuszną; od jej skinienia zależąca.

Szczęściem, dusza Emmy, jakkolwiek pogrążona w ciemnych głębinach pesymistycznego realizmu, mimowiednie zwracała się ku słońcu piękna.

Zachwycona kiedyś w „salonie“ dziełem jednego z wielkich mistrzów francuskich, postanowiła kształcić się w malarstwie. Od postanowienia do czynu było u niej zawsze nader blisko. W rok potem, publicznie przez nią wykazane postępy w sztuce władania pędzlem wprawiły w podziw artystów i znawców; w dwa — handlarze obrazów dobijali się o jej najdrobniejsze utwory. Dzięki malarstwu i literaturze — bo utalentowana panienska, zachęcona jednym powodzeniem, spróbowała chwycić za pióro także — dobrobyt, a nawet względny zbytek zapanował w domu, a Mary mogła zaprzestać pracować. Teraz podwójnie stała się niewolnicą córki. „Kuryery o modzie“, pisane dowcipnie do kilku dzienników, cieszące się wielkim powodzeniem wśród czytającej publiczności, oraz płótna rodzajowe, pełne impresjonizmu, miarkowanego wytwornym smakiem kobiecym, otoczyły czoło Emmy aureolą rozgłosu... niemal sławy.

Jak róża świeżo rozwinięta wabi roje motyli i owadów, tak Emma, utalentowana i piękna, niby bóstwo greckie, przyciągała ku sobie tłumy wielbicieli; jak pielgrzymi muzułmańscy ciągną do Mekki, tak na *rue de Constantinople* spieszyli: autorowie, dziennikarze, artyści, milionerowie, złota i pozłacana młodzież. Kto ją raz tylko zobaczył, chciał poznać, a poznawszy — kochał lub pragnął. Ekscentryczność jej nawet była tem silniejszym magnesem, ile że upoważniała ludzię się nadziejami łatwego tryumfu, — lecz, równie naiwni i

lękliwi jak ufnie w swoje siły, chłodni cynicy i sentymentalni romantycy, po krótszem lub dłuższem obłączeniu przekonali się, że serce kapryśnej dziewczyny jest twierdzą nie do zdobycia. Smutne doświadczenie, jakie nabyła, patrząc na okropne pożycie matki z ojcem, nikczemne postępowanie i ucieczka ostatniego, poznanie całej czeredy tych, które — społeczeństwo, w jakim wzrastała, uważa za kapłanki kultu Wenery i Amora — zohydziły jej miłość. Uważała kochanie za szalony zmysł tylko, prędzej czy później wyradzający rozczarowanie, boleść i rozpacz. Egoizm jej nie mógł się zgodzić na dzielenie losu wielu nieszczęśliwych; duma zabraniała uleść żądzom, które usprawiedliwiała i uniewinniała, kiedy chodziło o inne, lecz których sobie samej przebaczyć by nie mogła.

Mówiła często :

— Nie dziwię się, że kobiety kochają, a później tego żałują. Większość w pośród nich głupia i wychowana nierozsądnie, niepraktycznie; rzadko zaś która widziała prawdę tak nagą, na jaką ja patrzyłam. Fantazja przyrody zaopatrzyła mnie w obfitszą ilość mózgu, ztąd umiem obserwować i właściwie oceniam to, czego one nigdy dostrzedz nie zdołają. Jestem opancerzona; nie lękam się pocisków wroga serc niewieścich... Gdybym upadła, upadek mój poczytałabym za hańbę. Nie potrafiłabym sobie przebaczyć podobnej słabości... Pozbawiłabym się życia, które lubię, które mi sprawia przyjemność i z którym zbyt rychło rozstać się nie pragnę.

Po chwili dodawała :

— Zresztą wiem dobrze, że nie mogłabym kochać... zanadto kocham siebie samą. Jedyntym celem mojej abstrakcyjnej czułości może być matka, opiekunka

moja w niemowlęctwie, dziś towarzyszka wierna i cała duszą mi oddana.

Mary, pragnęła jednak bardzo, aby Emma pokochała jakiego zacnego młodzieńca i połączyła się z nim — jeśli nie przed ołtarzem, to przynajmniej przed panem merem.

— Och! — myślała w duchu — żeby Bóg łaskaw pozwolił, aby się kim bardzo... bardzo zajęła; ręczę, że zmieniłaby przekonania, takie dla mnie dotkliwie i dręczące.

Matki nie filozofują. Dla nich szczęście dzieci leży w tem, co od wieków uważano za szczęście, pomimo zawodów i rozczarowań, jakie mu nieraz towarzyszyły... i pono zawsze towarzyszyć będą.

Gdyby było inaczej, ziemia nasza stałaby się rajem, a wyroki wyższe nie kazałyby nam jej opuszczać po mozolnej, krótkiej i ciernistej wędrówce.

Ale dla Emmy, błękit ideału kończył się na krańcach atmosfery ziemskiej, wołała zatem nie narażać swego błogiego spokoju na wstrząśnienia, któreby ten spokój niemile zakłócić mogły. Kobieta jednakże i Pa-ryżanka, igrała z ogniem, pewna, że sama nigdy się w nim nie spali.

Zetknięcie się dwóch istot tak różnych, jak Emma i Stanisław, wytworzyło między nimi dziwne stosunki i dziwniejsze jeszcze uczucia. Staś, który dotąd nie przeszedł gorączki namiętności, nagle pokochał „koleżankę“ — tak się bowiem kazała nazywać — całą mocą krwi młodej, poruszonej i wzburzonej uroczą pięknnością cudnej dziewczyny. Uczucie braterskiego przywiązania do Jani nie straciło może na tem, nie zmniejszyło się, ale zostało zaćmione. Blaski, jakie miss Stawert w około siebie rozsiewała, olśniły go, osłepiły. Zapragnął pojąć zagadkowego dyabełka, zwłaszcza, że w dyabelstwo

jego nie wierzył. Zanadto był prosty, jednolity, aby skomplikowana, obca dlań zupełnie natura Emmy, mogła mu się wydać prawdziwą, nieudaną. Mniemał, że dla igraszki tylko przybierała maskę, że grała komedię dla rozrywki; zabawy bowiem pragnęła zawsze i nigdy nie miała jej dosyć. Szlachetny, jak dawniej, nie pomyślał nawet o drogach krętych, jakimi inni wielbiciele zdążali do celu, ale zarazem, po raz pierwszy egoista — bo miłość taka koniecznie samolubną być musi — postanowił zerwać nici zobowiązań wewnętrznych, tajemnych, ukrywanych, które niegdyś w głębi ducha względem Jani zaciągnął, aby razem z sercem oddać Emmie rękę i nazwisko.

Ofiarę tę pani Stawert powitała z niewymowną radością.

Jakkolwiek niezbyt bystra, zrozumiała w jednej chwili, że Stanisław uosabia wszystkie przymioty, jakich matka, kochająca swoją córkę, w zięciu pragnąć może. W niej więc znalazł Staś alianta, gorąco popierającego jego sprawę przed Emmą.

Dziewczę pierwszy raz w życiu spotkało człowieka, niepodobnego do lalek, mniej lub więcej intelligentnych, mniej lub więcej obdarzonych twórczością lub majątkiem, jakie od rana do wieczora cisnęły się do jej pracowni i salonu. Spostrzegła, że zdrow i silny ciałem, czysty duchem, prawy charakterem, zbliża się podobieństwem do ideału mężczyzny w pojęciu, jakie wyrobiła i przekazała tradycja. Chociaż uważała go za dziecko pod względem umysłowym — wierzył bowiem i wiary swojej nie ukrywał — nie mogła mu zaprzeczyć zdolności, ceniąc zaś swoje wysoko, nie lekceważyła talentu drugich. — Nie tak, jak „nasi wielcy“, dla których świat się od nich zaczyna i na nich kończy. — Powierzchnowość jego nawet wywierała na

niej przyjemne wrażenie, a delikatność, z jaką wyjawiał uczucia swoje naprzód matce — zanim się jej oświadczył — ujęła ją bardzo.

Wyznanie Stanisława przyjęła bez ironii i złośliwego uśmiechu na ustach, nie tak, jak wiele poprzednich, które wyszydzała nielitościwie.

Działo się to o zmroku, w pracowni, gdzie wschodnie kobierce, sprzęty starożytne, porcelany, obrazy, rzeźby, kwiaty i kostiumy jaskrawe, oblewała szara godzina cieniem tajemniczym.

Na otomance niskiej, obitej materyą wenecką, tonęła Emma wśród miękkich, złotem haftowanych poduszek, zadumana i poważniejsza niż zwykle. Prawie u jej stóp, na puszystym dywanie ze Smyrny, na wpół siedział a na wpół klęczał Stanisław, łokciem wsparty na wężgłowie aksamitnem, rzuconem mu przez artystkę. W głębi stała matka, oparta o poręcz hebanowego krzesła, wysadzanego macicą perłową. Przypatrywała się córce... i jej Romeowi. Niespokojna, ciekawa — z twarzy dziewczęcia odgadnąć chciała, co się dzieje w jej duszy, jaką odpowiedź da młodzieńcowi.

— Miły i dobry kolego — rzekła wreszcie Emma po namyśle — kochając mnie po swojemu...

— Nad życie, nad wszystko na świecie...

— Zgoda... nad życie, nad wszystko na świecie — powtórzyła bez sarkazmu w głosie — czynisz mi zaszczyt, za który jestem ci szczerze obowiązana, nie chcę cię bowiem porównywać do moich szambelanów, głoszących to samo co moment jak papugi bezmyślne. Muszę jednak zwrócić twoją uwagę, że nie zastanowiłeś się nad jedną rzeczą... Oto.. przeciwieństwa, jakkolwiek dosyć często przyciągają się wzajemnie, nie tworzą nigdy harmonijnej całości. Ty i ja, to ogień i woda... Jakimże sposobem pogodzić dwa sprzeczne żywioły?

— Miłością — szepnął Stanisław.

— Poświęceniem — dorzuciła pani Stawert.

— Tak... Gdybym mogła, gdybym umiała poświęcić się i kochać... ale nie umiem.

Głos jej był spokojny, czysty, pozornie wolny od wszelkiego wzruszenia.

W pracowni zapanowała chwilowa cisza.

Mary pierwsza przerwała milczenie.

— Obmawiasz się Emmo

— Czy nam chodzi o wyrazy? — zapytała artystka.

— O! nie! — zawołali matka i Staś razem.

— Nie!... Zatem odrzućmy na bok frazesa. To, co mama uważa za poświęcenie się moje dla niej, jest tylko moją przyjemnością... a może... wynikiem konieczności. Pracuję i zarabiam na wspólne utrzymanie i rozrywki, bo praca wypełnia moje życie, bo mnie zajmuje i bawi, jak teatru, wycieczki, koncerta, jak tłumy kornych wielbicieli, otaczających mnie niby królowę. Ani na chwilę nie poświęciłam siebie samej; na moment nie zaparłam się moich przekonań. Nie zaprę się ich nigdy... słyszysz kolego... nigdy.

Staś blady i smutny, milczał.

— Dlaczego stawiać na ostrzu noża, to, czego nikt nie porusza — szepnęła lekliwie pani Stawert, znowu przerywająca chwilową ciszę.

— Duma moja i wrodzona nieufność tego wymaga. Zdawało się, że głos jej zniżył się o jedną oktawę.

— Zresztą, nie kocham — dodała spokojnie, prawie zimno.

— Będiesz kochać — zawołał Stanisław — dowodami miłości bez granic, pozyskam twoją wzajemność.

— Może... Czekajmy zatem, nie dziś nie postanawiając na przyszłość.

Po tej rozmowie, lody, dzielące Emmę ze Stanisławem, nie pękły jeszcze, a wzajemne stosunki obojga nie zmieniły się wcale.

On, niemal dnie całe przepędzał w pracowni coraz bardziej gorejący płomienną namiętnością, ona — zawsze piękna i chłodna niby posąg z marmuru — malowała rodzajowe obrazki i z szatańską złośliwością, jak kot z myszą igrała z podrażnionemi zmysłami „szambelanów“. Dla Stasia była uprzejma, miła, dobra, ale obojętna. Pani Stawert jednakże — bacznie teraz ją obserwująca — spostrzegała czasem, że Emma — kiedy Stanisław nie gonił za nią oczami — wpatrywała się w młodzieńca wzrokiem pełnym dziwnej jakiejś tkliwości... Kto wie, może politowania tylko... Zaledwie zauważyła, że matka ją podgląda, wnet, w okamgnieniu, zmieniał się wyraz jej źrenic. W zwierciadle ich, znikwały łagodniejsze uczucia. Zastępowało je: szyderstwo lub surowość.

Mary, obawiająca się córki, nie wyjawiała przed Stasiem swoich spostrzeżeń.

Biedny zakochany, niepojmujący charakteru Emmy, zazdrościł całej czeredzie lekceważonych przez nich admiratorów. O każdy jej uśmiech, o każdą choćby najlżejszą oznakę poufałości, jak kósć psom ciśniętą żarłocznej gromadzie, byłby się pojedynekował sto razy. Nie rozumiał, że jej poufałość pogardliwa dowodziła właśnie, iż nikogo nie kocha.

Młody człowiek, zaślepiony namiętnością, o byle co wszczynał zwady, lecz ekscentryczna dziewczyna, z niesłychanym taktem i zręcznością — niby pogromczyni dzikich zwierząt, z lwami i tygrysami zamknięta w klatce — ukrócała uniesienia, powstrzymywała wybuchy, godziła nieporozumienia. Ile razy jednak Staś

był przyczyną niemiłej awantury, mówiła doń, gdy już wszyscy się rozeszli:

— Doprawdy, dobry mój kolego, przykro mi, że muszę ci to powiedzieć otwarcie, lecz ile razy się gniewasz, stajesz się podobny do innych mężczyzn... a wiesz przecie, za co ich uważam.

Stanisław przeproszał, przysięgał poprawę, ale przy pierwszej sposobności gotów był do nowej burdy, bo gorączka, która krew jego paliła, pozbawiała go zmysłów, wysuszała nawet serce nieskończenie dobre. O! bo w tem sercu panował dziwny niepokój, odzywały się w niem głośno wyrzuty o Janię... o Janię taką czystą, taką świętą, taką anielską. Porównywał jedną z drugą, a przy porównaniu, opuszczona, ospą oszpecona, stokroć wyższą wydawała mu się od Emmy — wyższą duchem, poświęceniem, a nawet umysłem. Chciał nieraz zerwać łańcuchy, przykuwające go do czarnookiej artystki, ale fałszywy wstyd i żądze, rozbudzone powietrzem paryskim, przyciągały go na nowo do stóp tej, którą w ciągu bezsennych nocy przeklinał. Życie jego stało się męczarnią. Walczył chwilami... lecz bez nadziei zwycięstwa. Dzielna jego, mężka natura przechodziła kryzys wybujałej młodości, zbliżającej się do pierwszych kresów dojrzałego wieku. Przesilenie musiało być tem silniejsze, o ile młodzian rozwinięty był fizycznie jak Herkules.

Rozwinięcie to jednak gwarantowało możliwość powrotu do moralnego zdrowia, do równowagi ciała z duszą.

Staś pracował teraz bardzo mało. Sprzeczne uczucia — rozpierające jego łono — nie dawały mu spokoju, jakiego przy tworzeniu koniecznie potrzeba.

Pewnego dnia rzekł do Emmy:

— Czy pozwolisz koleżanko, abym malował twój portret?... tu, u ciebie, w twojej pracowni.

— Chętnie.... Malując, zapomnisz o sprzeczkach, a ja będę mieć sposobność czegoś od ciebie się nauczyć. W twojem idealnem traktowaniu niektórych przedmiotów widzę nieraz nieznanne mi środki, bardzo efektowne.... Owszem, owszem, maluj.... bardzo proszę. Przy robocie we dwoje, będzie nam różniej.

Nazajutrz artysta ustawił stalugi, oparł na nich świeże, czyste płótno i z zapałem wziął się do dzieła.

Niestety! wierne odtworzenie rysów ekscentryczki nie udawało mu się wcale; nie mógł uchwycić podobieństwa. Chociaż technika jego posiadała niezaprzeczone zalety, chociaż draperye i układ postaci z mistrzostwem prawdziwym zaznaczył, sama postać i twarz — takie cudne, takie urocze — nie wyłaniały się z płótna z życiem i w należytych charakterze. Stanisław mazał, przerabiał, poprawiał... wszystko na próżno.

Przypomniały mu się wyrazy pierwszego nauczyciela.

— Nie mogę malować sercem, jak to mawiał niegdyś pan Artur — myślał w duchu. — Czyżbym jej nie kochał?!

Wątpliwość, nasuwająca się jego umysłowi, irytowała go, gniewała, nie chciał wierzyć, aby tak było w istocie... łamał pędzle.... w końcu rozdarł płótno ze złością.

— Daj pokój kolego memu portretowi — powiedziała Emma łagodnie — wielu innych, równie jak ty utalentowanych próbowało.... nikomu się nie powiódł. Kiedyś zrobię siebie sama, ale dopiero przed śmiercią, albo... w wilię mego ślubu.

Opinia ogółu paryskiego potępiała Emmę bezwzględnie.

Ludzie pracy, czytający o niej anegdoty i *faits divers* w dziennikach, wyobrażali ją sobie jako potwora zjadającego serca i majątki bogatej młodzieży. Najlekkomyślniejsze damy, które — jak twierdziła kronika skandalu — zgrzeszyły pono niejednym *péché mignon*, mówiły o malarce ze wstrętem i wzgardą. Nie można się im było dziwić. Trutnie i motyle salonowe opuszczały modne, wielkie panie, aby opalić skrzydełka w płomieniach, roznieconych błyskawicami czarnych oczu artystki. Pani Lepelletier, którą „romansik“ wnuka bawił z początku, która dla przypodobania się Stasiowi bywała nawet z nim razem u pani Stawert, widząc fatalny zwrot, jaki namiętność jego przybiera, zaczęła dokładać wszelkich starań sama, oraz wspólnie z hrabiną de Lallannes i baronową, żeby wyrwać „drogie dziecko“ ze szponów „zalotnej czarownicy“. Lecz, równie jej zabiegi jak i strategiczne środki „cnotliwych dam“ nie na wiele się przydały. Grzesznik tonął w piekle po same uszy, co właścicielkę nówek chińskich oburzało i doprowadzało do spazmów i rozdrażnienia nerwów, uspakajającego się wtedy dopiero, kiedy puściła w obieg na conto „zakochanej pary“ najzjadliwsze ploteczki.

Teraz plotki te nabrały istotnego znaczenia; posiadały siłę rzeczywistą i tak celnie trafiały w pozory prawdopodobieństwa, że kto nie chciał, musiał im wierzyć.

Nietylko biedna Jania, dowiadując się o nich w Warszawie, cierpiała niewymownie, lecz i Bolewska — do której w Krakowie dobiegły — przejęła się o przyszłość przybranego i szczerze kochanego syna. Tak jedna jak i druga nie myślały wcale o sobie; jeśli drżały to jedynie o Stasia.

Czy Emma kochała Stanisława?... Trudno było na to odpowiedzieć przez „tak“ lub „nie“. Wszystko, czego zagadkowa dziewczyna doznawała, rodziło się i przetwarzano w jej łonie inaczej, niż u reszty kobiet, chociaż w rezultacie dobiegało może do jednej i tej samej mety, wytkniętej przez mądrość nieskończoną.

Sprzeczność charakterów — która według jej przekonania nie pozwalała na wytworzenie harmonijnej całości — ta sprzeczność nęciła ją właśnie. Ciekawość — wrodzona każdej córce Ewy — szeptała z początku cicho, później coraz głośniej: „poznaj serce dobrego chłopca“.

— Poznaj — monologowała czasem — dobrze to mówić: poznaj... a po poznaniu przyjdzie rozczarowanie nieuchronne. Wrócę do mego pierwszego punktu wyjścia, lecz zrozpaczona i złamana, gdy dziś jestem swobodną i niemal szczęśliwą... Czy jestem szczęśliwą?! — zapytywała siebie. — Może niezupełnie... ale jestem spokojną, a i to już wiele... Zresztą zaprzętałam sobie głowę człowiekiem obcym, dlatego tylko, że nie abdykował ze swej męskiej godności... chociaż mnie kocha. Pragnąc mnie posiadać... w szlachetniejszych od innych zamiarach... nie wyrzekł się swoich zasad. Cóż to znaczy?!... Pomimo to, w innym kierunku, jak każdy mężczyzna, jest zwierzęciem.. Gwałtowny, zapalczywy!... ale nie hipokryta; przedstawia się takim, jakim jest, otwarcie, szczerze... Czy jednak mnie kocha prawdziwie i czy ja zdołam go kochać długo?.. oto pytania, na które z natury rzeczy ani on, ani ja nie możemy dać odpowiedzi.

Jak Hamlet nowy łamała sobie śliczną główkę, i jak Hamlet napróżno.

Naśladować we wszystkim królewicza duńskiego, jak on podpatrywał i badał króla-stryja, króla-mordercę,

tak ona badała i podpatrywała Stanisława. Tego rodzaju ludzi nie spotkała dotąd nigdy w swoim otoczeniu, trudniej zatem było jej z nim się zapoznać, niż ze wszystkimi „szambelanami“ i „poliszynelami“. Pomimo że uważała się za egoistkę skończoną, nienawidziła samolubów. Przebaczała tylko tym, którzy — jak ona — mieli odwagę przyznawać się do egoizmu. Lecz ci, — cynicy przeżyci — nie budzili interesu, nie zaprzęтали jej wyobraźni. Tymczasem Staś, w rozmowach z matką idealizowany przez Mary codziennie, fizycznie piękny, sercem dobry, równie ciałem jak duchem przemawiający do imaginacji — już w dzieciństwie rozkiełznanej i zbrukanej, a broniącej się całą mocą woli od wspomnień plugawych — zaczynał ją zajmować więcej, niżby tego pragnęła.

Najprzód bezwiednie, później dla zrobienia przyjemności pani Stawert, wyciągnęła do niego dłonie z życzliwością przyjazną. Pragnęła mu dorównać w delikatności, którą w nim ceniła bardzo... więc nie sztychła, kiedy mówił o miłości, nie wysmiewała jak całą zgraję wielbicieli drugorzędnych. Zbliżając się doń coraz bardziej — chociaż ciągle w granicach chłodnej obojętności — zaglądała w głąb jego duszy. Zachwycała ją jego prostota, prawość, zapał, nieudana młodość... lecz zarazem dostrzegła, że Stanisław nie oddaje jej całego serca, że lepszą połowę ukrywa... dla kogo?

— Dla siebie? — pytała się znowu. — Nie, to być nie może, za szlachetny na to... Prędzej... dla innej.

Ta myśl więcej niż smutne doświadczenie, więcej niż zasady, więcej niż duma nakazywały jej mieć się na ostrożności, ale zarazem rozżarzały — już nie ciekawość samą — ale i pragnienia. Miłość Stasia wydała się jej zakazanym owocem.

Wokoło niej zastawiano uczt niemało wspaniałych, rozkosznych, Lukullusowych.. Usuwała się od stołów z obrzydzeniem, bo zastawiający sami głosili z czego *menu* składać się będzie; zapowiadali dania, wyliczali nektary, anonsowali wety... On jeden dzielił się z nią cicho skromnym obiadem, lecz przy tym obiedzie, siedział już gość tajemniczy. Gość ten wydierał jej to właśnie, co ją nęciło, to, czego nie знаła, czego nie zbadała doświadczeniem, nie objaśniła wiedzą, czego matematycznie obliczyć nie mogła, a co przerastało wszystkie jej rachuby.

— Miałoby po za miłością materyalną istnieć jakieś inne uczucie czystsze i doskonalsze — pytała znowu siebie — uczucie, w które wierzyli poeci i romantycy, a o którym mówią jeszcze teraz niekiedy głupcy lub hipokryci?!

Postanowiła poznać przeszłość Stasia, dojść do dna tajemnicy, a wtedy — zbrojna w zupełną świadomość istoty rzeczy — postąpić według wskazówek rozsądku. Dotąd — pewna siebie — nie przypuszczała biedna, że dysekcyja uczuć nie tak łatwa jak analiza materyi, że przy badaniu namiętności można być porwaną uniesieniem, stracić równowagę i nie utrzymać z góry wytkniętego kieranku linii prostej.

Wkrótce, przez stosunki rozliczne — których jej nie brakło — dowiedziała się jaki rodzaj zobowiązań łączy młodzieńca z Janią.

W gronie osób, dwór jej stanowiących, znajdował się także — oprócz Stanisława — drugi Polak... bo gdzieżby się obeszło bez dwóch Polaków przynajmniej. Ten przyniósł jej najdetaliczniejsze relacye o „koledze“, zwiększając — może umyślnie, a może i bez złej myśli — znaczenie i wagę owych zobowiązań moralnych, jakie krępowały współziomka.

Hrabia Jerzy należał do rzadkiej już dziś, dzięki Bogu, kategorii młodzieży polskiej, co to wychowana zagranicą, wynarodowiona przez wychowanie, łatwo wyrzekła się obowiązków względem kraju rodzinnego. Z sercem, już w dzieciństwie wystudzonem dla ojczyzny, stworzył sobie na obczyźnie wygodne i pełne przyjemności istnienie. Don-Juan z nudy i braku zajęcia wybrał za cel życia miłą specjalność — specjalność „kurtyzowania“ wszystkich ładnych kobiet, z jakiego by nie były świata, byle osoba kurtyzowana, miała prawo zaliczać się do tak zwanych „gwiazd“ artystycznego, teatralnego, lub towarzyskiego firmamentu. Przystojny, w gruncie niezły chłopiec, miły w obejściu, niegłupi, dystygowany, ale zimny i trochę sztywny w swym konwencyonalizmie gentlemańskim, jednym rzutem oka ocenił opaly serdeczne, w jakich znajdował się Stanisław. To go zniechęciło do awansowania się zbytecznie w sentymencie dla Emmy. Jeśli bywał w pracowni, to dlatego tylko, że uczęszczanie do niej uchodziło za *chic* modny i że panie salonowe oraz półświatkowe damy ciekawie dopytywały o to, co się dzieje w zaczerowanem, ekscentrycznem gnieździe malarki.

Niebaczne słówko, jakie od czasu do czasu wyrывało się z ust roznerwowanemu Stasiowi, potwierdziło w znacznej części opowiadania hrabiego Jerzego.

Kiedyś wypadł mu z kieszeni list od Jani. Emma go podniosła, a niezbyt już rachująca się ze względami delikatności i dyskrecyi, kazała matce przeczytać i przetłómaczyć. List był przyjazny, życzliwy, ale podobny raczej do korespondencyi siostry z bratem niż narzeczonej z narzeczonym. Emma, niezdająca sobie sprawy z uczuć, w ten sposób miarkowanych i trzymanyh na wodzy, w takie oziębłe formy ujętych, błąkała się wśród cieni, nie mogąc rozwiązać interesującej ją za-

gadki. I ona, już na dobre zajęta „kolegą“, panowała nad namiętnością, wkradającą się do jej łona, rozbu-
dzającą zmysły, ale ona — w swoim przekonaniu —
była wyjątkiem, istotą wyższą, umysłowie doskonałą,
z którą nikt równać się nie był w stanie. Gniewało ją
to i rozdrażniało, że nie może zrozumieć i zdefiniować
przywiązania dwóch dusz, kochających się inaczej od
wszystkich rozmiłowanych par, jakie obserwowała w swo-
jej pracowni i na bruku paryskim.

Uciekła się zatem do środków, które ją nigdy nie
zawiodły, a jakimi sondowała „szambelanów“, i „poli-
szyneli“ wystawiając ich uczucia na różne próby. Przesta-
ła być dla Stasia dobrą i uprzejmą. Zaczęła go dręczyć,
męczyć — doprowadzała go do rozpacz i złości. Sta-
niśław wprzągnięty w upokarzające, żelazne jarzmo nie-
wolnictwa, cierpiał okropnie, ale lękając się zerwania —
którem mu Emma groziła nieustannie — znosił teraz
tortury z cierpliwością anielską.

Od pewnego czasu bywał w pracowni młody Ame-
rykanin, piękny jak Antinous, bogaty jak Rotschild,
dumny jak Rohan, szorstki i brutalny jak mieszkaniec
puszcz dzikich. Zwał się krótko — William. Świeży
sercem, gwałtowny, namiętny, pokochał ekscentryczną
dziewczynę, a nie zważając na pogłoski, oczerniające
dobrą sławę, charakter i przeszłość artystki, — jak
Stanisław — oświadczył się pani Stawert o rękę córki.
W każdym innym czasie byłaby go Emma wyszydziła
i odepchnęła — przez pamięć bowiem na ojca, nie
cierpiała Amerykanów — lecz teraz postanowiła go
użyć do gry zaangażowanej ze Stanisławem, gry,
w którą rzuciła serce własne jako stawkę.

Jak Stanisławowi, tak i Williamowi, odpowiedziała
na oświadczenia dwuznacznie. Do niczego nie zobowią-
zała się stanowczo, pozostawiając... całą nadzieję.

Zamiast udanej obojętności, a zarazem wielkiej dobroci, jaką w początkach okazywała naszemu bohaterowi, dyabelską istotnie kokieterią zaczęła łądzić i przyciągać Williama, wbijając go w zaufanie. Staś, wobec niebezpiecznego rywala — niczem niepodobnego do szambelanów i „poliszyneli“ — tracić zaczął krew zimną, trzymał się jednak na baczności i strzegł wybuchów jak ognia.

Obaj współzawodnicy wiedzieli, że jeden drugiemu zagraża drogę do szczęścia, obaj mierzyli się okiem nienawistnem, obaj jednakże unikali silniejszego nieporozumienia, wszelka bowiem gwałtowniejsza scena mogła doprowadzić do sromotnego wypędzenia z pracowni, będącej dla obydwóch rajem.

Chociaż Staś — dzięki swej wierze i przekonaniom — nie lekceważył życia bliźniego i nie chciał dojść do celu pragnień po trupie przeciwnika, czuł jednak, że walka z tym człowiekiem, prowadzona dotąd skrycie — milczkiem prawie — prędzej czy później rozstrzygnąć się musi jawnie i z bronią w ręku. Doprowadzony do stanu strasznego nerwowego rozstroju, wyczerpany długą męczarnią, panować nad sobą nie mógł i nie umiał. William dominował nad nim przedewszystkiem przychylnem wyróżnieniem, okazywanem mu przez Emmę, a nadto taktem, wrodzonym swojej rasie, tak szczęśliwie obdarzonej od natury i zahartowanej w rycerskich i myśliwskich obyczajach wschodnich Stanów wielkiej, zjednoczonej rzeczypospolitej.

Pewnego dnia, Staś spóźnił się nieco i wszedł do pracowni przy *rue de Constantinople*, kiedy już *atelier* przepełnione było tłumem wielbicieli. Wszystkie siedzenia były zajęte. Przy stalugach Emmy, na poduszce aksamitnej — nazywanej „poduszką Stanisława“, przeznaczoną dlań była bowiem oddawna i przez nikogo

nietykaną — siedział William, skurczony po turecku. Trzymał paletę artystki i podawał ją, ile razy na niego skinęła.

Emma, przed wejściem Stasia, zajęta tylko malowaniem obrazu, skoro we drzwiach ukazał się „kolega“, obdarzyła Williama zalotnym uśmiechem. Przybyłego nie powitała nawet.

Jakby chciała spocząć na chwilę, oparła się o poręcz krzesła, rzuciła pędzel na bliski stoliczek i rzekła do Amerykanina, wpatrującego się w nią z miłością:

— Wiesz Williamie, że pragnę cię uwiecznić... Zrobię twój portret w pozie, w jakiej znajdujesz się obecnie, tak mi się bowiem podobasz najbardziej.

— Bylebyś mnie odmalowała u stóp swoich — odparł William — o resztę nie dbam i będę ci wdzięczny. Sam... cóż znaczę?! Jestem twoim cieniem.. Tyś mojem niebem, mojem słońcem... Bez ciebie i na portrecie istnieć nie mam prawa..... nie mogę.

— Żądasz wiele, lecz co odmówiłabym obojętnemu, tobie nie odmówię, zwłaszcza kiedy cię kochać będę,

— Więc mnie jeszcze nie kochasz?

— *Chi lo sa...* może.

Krew w żyłach Stanisława zawrzała.

Nigdy jeszcze Emma tak wyraźnie nie upoważniła jego rywala do nadziei, nigdy jeszcze w obecności wszystkich nie przyznała się do uczuć, jakie zwykła była wyszydząć i wyśmiewać.

Jednakże zawładnął wzruszeniem i zbliżając się do artystki, powiedział z udanym spokojem :

— Zapominasz koleżanko, że według danego słowa, nie wolno ci żadnego z tu obecnych pokochać, dopóki się nie przekonasz, kto cię kocha najwięcej.

— A ty kolego zapominasz, że od pewnego czasu mogę już wiedzieć, kto mnie najmniej kocha i kto przez to utracił prawo głosu w dywanie, jakiemu przyduję.

— Wymień nam imię i nazwisko tego najmniej kochającego.

— Wymień! wymień! — zawołali „szambelanie“ chórem — wszyscy cię kochamy na zabój czarodziejko, pani nasza, królowo samowładna!

— O dajcie pokój!... Ty wicehrabio kochasz mnie mniej od swojej klaczy wyścigowej, bo nie mogłabym przynieść ci w zysku miliona, jaki gniada *Limousine* wybiegała dla twoich wierzycieli na kursach wiosennych. Ty baronie, mniej mnie cenisz od seryi dwunastu *rouge w trente et quarante*, po którą co jesień jeździsz do Monte Carlo... No, przyznaj, że wyrzekłbyś się moich względów za „dobrą rękę“ w klubowym *baccarat*... Ty sir Robercie Barnumfield, pozwalasz sobie mnie pożądać wtedy dopiero, kiedy lady Midlefort uda się do Nicei, w pogoń za swoim włoskim tenorem. Ty hrabio Jerzy nie śmiesz się przyznać pannie Cellinette z teatru *Bouffes*, że u mnie bywasz... Van Zandt, nie poświęciłby dla mnie swojej kolekcji tulipanów, Sabbattini zbioru bronzów starożytnych, które zamierza sprzedać sir Robertowi... bardzo drogo. Von Oberdorf nie oderwałby się od kufła bawarskiego piwa przy którym drzemie po obiedzie, a Hosterhazy nie zamieniłby za mój uśmiech swego lotnego charta, biorącego wilka w pojedynkę... Wy inni, gdybym broń Boże oszalała i któremu z was uległa, sprzedalibyście mnie taniej niż Ezaw swoje prawo pierworodztwa, taniej niż Judasz Chrystusa... ale mniejsza o to; nie mam wam tego za złe i z góry was uniewinniam, bo pomiędzy wami gorszy jest od was wszystkich...

— Gorszy!! — krzyknęli „poliszynele“ prawie jednogłośnie.

— Gorszy, bo hipokryta... Nie kupił mnie jeszcze swoją udawaną miłością, a już mnie sprzedał.

— Sprzedał! — powtórzył chór wielbicieli.

— Sprzedał innej kobiecie, którą porzucił, opuścił naprzód, a zdradzi potem, jak mnie zdradzić pragnął.

Rozogniona, z błyskawicami w czarnych oczach, gniewna i dumna, podniosła się z krzesła i cisnęła artyście pod nogi list od Bolewskiej.

Stanisław osłupiały, niemy, schylił się jak automat, podniósł papier i zaczął czytać po cichu. Pani Irena, widocznie przerażona plotkami, które ją doszły w Krakowie, pisała do Emmy z gorzkiemi wyrzutami, błagając o zerwanie „stosunku“, mogącego zniweczyć szczęście dwojga — drogich jej i kochających się wzajemnie — dzieci. List ten grzeczny w formie, ale surowy tonem — w znacznej części niezrozumiały dla tej, do której był pisany — mógł się wydać Emmie bardzo obrażającym. Nadto, mogła nawet zeń wnosić, że był ułożony i użyty przez Stanisława jako fortel, ułatwiający złamanie danego słowa i cofnięcie przyrzeczeń. Miłość własna obrażona... a może i zawiedziona miłość zakazanego owocu... popchnęła ekscentryczną dziewczynę do wybuchu, który wywarł na słuchaczach nader silne wrażenie. Wszyscy — nie wiedząc co list w sobie zawiera — dzielali jej oburzenie, wszyscy szmerem życzliwym wyrażali jej swoje współczucie, chociaż dziwili się gniewowi, nigdy bowiem jeszcze nie widzieli Emmy tak niewładającej sobą.

Staś gwałtownym ruchem zmiażdżył list w dłoni.

— Pozwól się wytłómaczyć, usprawiedliwić... — szepnął.

— Nie chcę tłumaczeń ani usprawiedliwień się pańskich — zawołała artystka i pochylając się nad klęczącym przed nią na poduszce Amerykaninem — Williamie — rzekła — proszę o moją rękę; masz ją na zawsze.

Rączka jej drobna, śliczna, spoczęła w silnej, męskiej dłoni Williama, który dar drogi z niewypowiedzianą radością do ust gorących przycisnął.

Teraz inny wiatr powiał.

Szambelanowie spojrzeli po sobie z niedowierzaniem i niezadowoleniem widocznym. Wyborna *haute comédie* przechodziła w *drame bourgeois* z małżeństwem na zakończenie. Dla Paryżan, ze spalonym podniebieniem, rozwiązanie wydało się ekliwem i mieszczańskim.

Stasiowi purpurowa mgła zasłaniała oczy. Cała pracownia z obrazami, kobiercami, rzeźbami i makatami zaczęła się w około niego kręcić. W uszach rozlegało się jakby oddalone, głuche jęczenie dzwonów pogrzebowych. Widział przed sobą tylko pięknego Williama, klęczącego na aksamitnej, do niego należącej poduszce i całującego rękę Emmy. Ryk podobny do ryku dzikiego zwierza, zranionego przez myśliwca, wyrwał się z jego piersi; poskoczył ku Amerykaninowi, chwycił go oburącz za szyję i zsunął z poduszki.

— Precz, ztąd!

William uwolniony z żelaznego uścisku, zbladł jak trup. Wargi mu drżały febrycznie.

— Drogo mi to zapłacisz — wrzasnął.

Sięgnął w zanadrze. Wydobył mały, sześciostrzałowy, bogato srebrem okuty rewolwer i zmierzył zeń wprost między oczy rywala. Ten, na widok broni w rękę przeciwnika, wyprostował się. oprzytomniał i czekał na strzał jak głaz nieruchomy.

Wicehrabia, baron i inni Francuzi, porwani i zachwyceni odwagą młodzieńca, klasnęli z całych sił w dłonie.

— Brawo Mowelski! brawo nasz Polak! brawo! brawo!

Sir Robert jeden znał zaciekłość Yankesa; od razu pojął, że to nie żarty, że życie Stanisława wisi na włosku. Przysunął się żwawo do Amerykanina i w chwili właśnie kiedy naciskał już cyngiel.. uderzył go lekko w łokieć. Ramię i ręka mierzącego z rewolweru, skrzywiła się pod kątem prostym i podskoczyła w górę. Rozległ się huk niezbyt donośny i mała kulka ugrzęzła w suficie.

Sabattini zawołał:

— Panie Stanisławie, winienesz Madonnie grubą świecę; gdyby nie sir Robert, już byś w tej chwili tak dumnie na przeciwnika nie spoglądał.

— W ten sposób zajście nasze skończyć się nie może! — krzyknął Amerykanin, pieniący się od złości.

— Nie ulega wątpliwości, że tak, jak miałeś zamiar skończyć... skończyć się nie może — rzekł flegmatycznie Jerzy. — W Europie, ludzie honoru rozprawiają się inaczej i na właściwszem polu.

— Do pojedynkowej rozprawy gotowi jesteśmy służyć panom za świadków — dodali wszyscy chórem.

— Aby prędko — mówił rozgorączkowany William.

— Choćby natychmiast — szepnął Stanisław, ale niewyraźnie i drżącym głosem, bo oczy jego mimowolnie spotkały się z czarnymi, ogromnymi, uroczymi oczami dziewczyny, która teraz strasznie blada, obie ręce skrzyżowała na piersi i przyciskała niemi gwałtownie bijące serce.

Chciała mówić, a wyrazy do ust przymarzały; chciała się poruszyć, nogi odmawiały posłuszeństwa; chciała powstrzymać zwaśnionych, uspokajać, godzić, ale jakimś nagłym, okropnym żalem i wstydem zdjeta, spuściła głowę i łkała cicho. Dreszcz ziębił jej ciało, po twarzy spływały łzy gorące.

Natura kobieca odniosła zwycięstwo nad dumą rogatą.

Staś, gestem wymownym wskazał wszystkim nie-szczęśliwą.

— Panowie — szepnął — wychodźmy stąd, tu nie miejsce do naszych układów.

Cisza zaległa w pracowni.

Zgromadzeni, jeden po drugim, wymykali się ukradkiem, milcząc, bez pożegnania, prawie bez ukłonu.

Na ulicy zbliżył się Stanisław do Jerzego i do sir Roberta.

— Czy panowie raczą mi sekundować?

— Z prawdziwą przyjemnością — odpowiedzieli obaj razem.

— W ręce wasze powierzam mój honor, z zaufaniem bezwzględny. Wszystkie warunki strony przeciwnej z góry przyjmuję. Oczekiwać będę na was u siebie.... tu.... o kilkaset kroków....

Wskazał dom, w którym zamieszkiwał.

Świadkowie wybrani przez Williama wsiedli „z polskim hrabią“ i Barnumfieldem do jednego, poczwórnego powozu.

Cała reszta gromady „szambelanów“ i „poliszyneli“ rozproszyła się w różne strony miasta.

Na górze — w pracowni — Emma Stawert zano-siła się od płaczu. Pieszczoty czułej i przywiązanej

matki utulić jej nie mogły. — Śliczną główkę — gorącą, rozpaloną — przyciskała do łona Mary, a jej usteczka — te usta, które o miłości mówiły zawsze z szyderstwem i niewiarą — powtarzały teraz:

— Mamo! ja go kocham.... ja go kocham mamo!

XX.

Po pojedynku.

Kiedy Stanisław — poraz pierwszy przytomny — ocknął się jakby po śnie długim i ciężkim, spostrzegł przy swoim łóżku Janię i Bolewską. Zdawało mu się, że jeszcze marzy, że sen przeniósł go w przeszłość, kiedy leżał w Krakowie chory, a one — jego dwa anioły opiekuńcze — czuwały nad nim z pieczołowitością siostrzaną i macierzyńską. Rzucił błędnem okiem w około, a otaczające sprzęty i umeblowanie przekonały go, że znajduje się w Paryżu, w swoim mieszkaniu przy *rue de Rome*.

Wyciągnął blade ręce, aby uścisnąć dłonie obu kobiet.

— Wam pewno zawdzięczam życie.

— Nie nam, lecz Bogu — odpowiedziała Bolewska.

— Pojedynkowałem się.... byłem ranny? — pytał.

— Tak; ale niech pan nie mówi... proszę się nie męczyć.... — szepnęła Jania.

Wyraz „pan“ w jej ustach, niemile obił się o ucho Stanisława, nie śmiał jednak protestować, nie śmiał zapytać, dlaczego Jania „panem“ go zowie.

— Nie lękajcie się o mnie — rzekł — czuję, że już mi nic złego nie zagraża. — Po chwili dodał: — Życ będę, żyć muszę...

Kobiety unikały w rozmowie wszystkiego, coby mu mogło przypomnieć niezbyt oddaloną przeszłość, ale on sam, pierwszy, zaczął mówić o niej spokojnie, chłodno, poważnie.

— Ciężkie dopuszczenie spadło na mnie w tem przekłębem mieście!... W pierwszej chwili miałem do ciebie żal mateczko za twój list do... — nie wymienił imienia ani nazwiska, jakby krępowany wstydem, którego ujawnić jednak nie chciał — ale dziś błogosławię cię, jak za wszystko dobre, które w życiu mojem dla mnie uczyniłaś. Dziś czuję się zdrowym, nietylko fizycznie ale i moralnie... Szał minął widocznie z krwi wpływem...

— Dałby Bóg, aby tak było w istocie — powiedziała pani Irena.

— Tak jest... wierzajcie mi. Zaraz po odzyskaniu sił, wracam z wami do kraju... Czy nadeszły do mnie jakie listy?

— Są — odparła Jania.

— Proszę o nie.

— Czy nie byłoby jednak lepiej wstrzymać się z odczytaniem... Pan jeszcze bardzo osłabiony.

— Nie... nie... przeciwnie. Złe czy dobre, muszę przeczytać... Lepsza przykrość znana, niż niepewność budząca niepokój.

Wyciągnął rękę. Jania oddała mu dwie koperty. Jedna z nich opatrzona była licznymi markami pocztowymi i pieczęciami. Gdzieś z daleka wędrować musiała. Staś spojrzał na nią naprzód, a wyczytawszy adres, zawołał:

— To od ojca!... Bogu niech będą dzięki!

Oczy jego zabłysły radością. Drżącemi palcami szybko rozdarł kopertę, ale jakby znudzony wzruszeniem niespodzianem, opuścił ją na kołdrę z nawpół wysuniętym listem.

Nastała chwila milczenia

— Może przeczytać? — spytała Jania.

— Proszę.

Blady, opuścił głowę na poduszki i wlepił oczy w Janię, która czytała głośno co następuje:

„Kochany Stasiu!

„Przejęty jestem wdzięcznością za twoje listy, oraz za starania i zabiegi, jakie czyniłeś dla wyjednania dla mnie ułaskawienia. Powiodły się one w znacznej części, jestem bowiem już wolny i mieszkam w Irkucku, gdzie natychmiast po przybyciu otrzymałem posadę prywatną, bardzo korzystną. To kraj jedyny do zrobienia majątku — powiadam ci — jedyny. Przy moich zdolnościach i pracy, której oddam się cały, nie wątpię, że mi się powiedzie, że dojdę nareszcie do bogactwa, a z niem do znaczenia. Wtedy będę mógł prawdopodobnie zwrócić ci wyłożone dla mnie pieniądze. Uważam je za pożyczkę tylko. Może, po jakimś czasie, nie pożałujesz swego dobrego serca, ja tu bowiem nie myślę czasu marnować z bezczynnie założonemi rękami. Proszę cię tylko, pisuj do mnie rzadko i nie zamierzaj odwiedzić mnie w Irkucku. Zabraniam ci tego stanowczo. Chcę być sam, zupełnie sam. Może to dobrowolna ekspiacya, za to, że was — mojej biednej Amelii i ciebie — nie umiałem dostatecznie ocenić.... może tylko dobrze zrozumiany interes. Lecz to już do ciebie nie należy, bo wiem, że ojca sądzić nie możesz i nie będziesz. Ale, ale.... a *propos* rzeczy i spraw duchowych... Donosisz mi

„o twojem widzeniu w Katowicach. Nie wiem jak je
„tłumaczyć i nazwać; czy przecuciem, czy szczegó-
„nym zbiegiem okoliczności. Istotnie, wówczas właśnie,
„za zamysł ucieczki — zamysł, z którym nosiłem się
„w głowie długo, w początkach wygnania, a który, szcze-
„ściem nie powiódł się ani mnie, ani moim towarzy-
„szom — skazany zostałem na ciężkie roboty przymu-
„sowe. Pod brzemieniem niedoli, zwracałem się często
„myślą do ciebie.... I teraz mam cię w pamięci.... lecz
„inaczej. Wszystko złe minęło, możesz być o mnie
„spokojny i pozostawić w spokoju zupełnym, nie do-
„wiadując się więcej, — o co cię proszę bardzo i po-
„wagą woli ojcowskiej nakazuję.

„Przyjmij uścisk serdeczny i zastosuj się bezwzględnie do tego, co tu piszę.

„Wdzięczny i kochający Cię
Ojciec.“

— Mój Boże! — jęknął Staś boleśnie wzruszony — zabrania mi pospieszyć do siebie.... Na zawsze od obcowania z sobą oddala!

— Kto wie, czy na zawsze — rzekła pani Irena — niezbadane są wyroki boskie.

Stanisław westchnął głęboko.

— Możeby drugiego listu nie czytać? — spytała Jania.

— Sam przeczytam — odparł cierpiący.

Domyślał się, od kogo bilecik, który Jania trzymała teraz w białych jak wosk i drżących rączkach.

Poznał go po woni, zanim nawet spojrział na charakter pisma na kopercie. Wziął ją, złamał pieczętkę i rozwinął papier, opatrzony monogramem, splecionym z trzech liter: *E. S. W.* Pod potrójną cyfrą kobieca ręka nakreśliła następujące wyrazy:

„Dobry mój kolego!

„Kiedy list ten otrzymasz, niebezpieczeństwo zgonu przestanie życiu twemu zagrażać.... mnie zaś oddzieli od ciebie olbrzymia przestrzeń błękitnego „oceanu.

„Kochałam cię.. a że kochałam szczerze i bez „egoizmu, świadczy obecność w Paryżu tych dwóch „istot, które Ty umiłowałeś całą mocą twego złotego „serca.

„Wiem o tem.... Przekonałam się, kiedy leżałeś „w malignie, a na ustach twoich błąkało się ciągle „imię Jani... nigdy moje.

„Kochaj ją, kochaj.... Zasługuje ona na to bez- „względnie, stokroć więcej.... odemnie nieszczęśliwej.

„Ja telegrafowałam po nią, ja skłoniłam, aby „wraz z twą matką przybraną przybyła i zajęła należne „jej miejsce przy twojem łożu.

„Wody bystrej rzeki w tył się cofają nigdy. .. „tak i w życiu, czasu ubiegłego nikt nie zawróci, nikt „szkody przezeń zrzędzonej nie naprawi...

„Pomimo tego przekonania, pragnę cię na zawsze „uwolnić od mego fatalnego wpływu.... a może także.... „ukarać się za winę, do której się przyznaję, ja.... co „wszystko uniewinniałam.

„Poślubiam Williama... człowieka, który targnął „się na drogie mi twoje życie, który pragnął ci je „odebrać.... I on przez to ukarany będzie.... Przykuwa „do nóg swoich ciężar ołowiany; ciało tylko.... nie „ducha.

„Tak jednak potrzeba.... Między tobą a mną stać „on będzie jako wieczna zaporą, niezezwalająca na na- „sze połączenie, choćby szal zmysłów chciał nas do „siebie kiedy zbliżyć“.

„Bądź zdrow i szczęśliwy, dobry mój kolego...
„Gdybym głowę tylko słuchała, powiedziałabym, żeś
„mnie zabił... ale serce mi szepcze, żeś ducha mego
„umarłego wskrzesił“.

„Wspominając o mnie... pamięci mojej nie prze-
„klinaj“.

„Emma Stawert-William“.

Jania i Bolewska, wpatrzone w lica Stasia, śle-
dziły na nich wrażenia, jakie list Emmy wywoła.

Obie wyjść nie mogły ze zdziwienia... Stanisław
był smutny, lecz razem spokojny. Upalny wichur, wysu-
szający niedawno temu jego serce, musiał odlecieć
gdzieś daleko... daleko, bo łza nawet szczerzego współ-
czucia dla ekscentrycznej dziewczyny kręciła się w jego
oku, ale pogodne źrenice spoczęły z miłością na Jani.

Kiedy skończył list czytać, szepnął z westchnie-
niem :

— Biedna !

— Jeśli pan ją kocha, jeśli pan za nią tęskni,
mogę powstrzymać jej wyjazd. Jutro dopiero połączyć
się mają z Williamem w Hawrze i jutro wsiąść na sta-
tek, wyruszający w podróż do Ameryki.

— Nie, nie... niech jadą. Powiadam wam; już
jej nie kocham... wyzdrowiałem zupełnie.

Po chwili wziął w obie dłonie rączkę dziewczęcia.

— Janiu — rzekł — chcesz przyjąć ofiarę mego
serca ?

Dziewczę pokraśniało i cofnęło się w tył gwał-
townie.

— O ! nie... nie mogę.

— Nie dziś jeszcze... Rozumiem, że mną teraz
pogardzasz.

— Nie pogardzam, broń Boże... ale tyle rzeczy nas rozłącza...

— Ja zbyt wielu przeszkód nie widzę, chociaż obawy twoje podzielam, moje drogie dziecko — powiedziała Bolewska, mieszając się do rozmowy.

— Jeśli tylko mnie kochasz — mówił Stanisław głosem wzruszonym — nie masz się czego obawiać... Powtarzam, że to był tylko szal chwilowy...

— Który powrócić może...

— Przysięgam, że nie wróci... Czuję to w głębi serca... Nie przestało do ciebie należeć, twojem było zawsze.

— Och! nie mówmy o tem... pan majętny, piękny... ja uboga i...

— Jesteś najpiękniejszą dla mnie... wierzej mi... najpiękniejszą. Patrz, czytaj, co ona sama pisze — wziął list i podał. — Kiedy leżałem w gorączce nie jej obraz, nie Emmy lica nawiedzały moje marzenia... tylko twoje, tylko twoje, Janiu ukochana... Widzieć cię musiałem oczami duszy.

— Taką jaką byłem w Krasnosójkach?

— Taką jaką byłeś w Krakowie, jaką jesteś dzisiaj...

— A cień uroczej, zachwycającej Emmy... nie stanie nigdy między nami?

— Nigdy.

— Tak słodko byłoby panu wierzyć!...

— Ufaj mu, ufaj drogie dziecko — mówiła pani Irena rozrzewniona

— Pragnę ufać... ale poczekajmy.

— Czekać będziemy tak długo, jak zechcesz, jak każesz.

Dłonie ich splotły się w uścisku.

W tej chwili weszła do pokoju pani Lepelletier.

Jednym rzutem oka objęła scenę i zrozumiała, co się dzieje.

— Już widzę, że mnie opuścisz, że powrócisz do swojej lodowatej Polski — zawołała.

— Wrócę babciu, ale i ty z nami.

— O! nie, nie.... ja bez Paryża żyć bym nie mogła. Jedź! jedź... tylko nie zapomnij o mnie całkiem.

.
Staś szybko odzyskał zdrowie, bo i zdrowie często — jak ludzie — szczęściu dworuje, a Stanisław był teraz bardzo szczęśliwy.
